TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 11 – 17 marca 2026 | nr 11 (4001)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Nowy premier prezesa

Czy będziemy pracować do końca życia

Buntowniczka w Kościele

Emi Buchwald: są duchy na Dobrej

Kosmos i Bóg: 90 lat ks. Michała Hellera

ZATOKA PERSKA
I KONFLIKT W IRANIE

DUBAJ: LUKSUS I WOJNA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 6b5ff1c250

eprasa.pl 6b5ff1c250

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Obronność na dwie ręce
MAREK RABIJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Osoby osobne
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Nadchodzi nowa era wsparcia osób z niepełnosprawnościami – ogłasza rząd. Ale czy to na pewno przełom?*

19 Śnieżna kula
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Praca na emeryturze powinna być wyborem, nie koniecznością*

22 Profesor z ludu
MAREK KĘSKRAWIEC: *Jarosław Kaczyński uznał, że „lepszy zły znany niż dobry nieznany”*

■ ■ OPINIE

26 Pod parasolem Macrona
MARCIN GIEŁZAK: *Francja oferuje Europie udział w systemie odstraszania nuklearnego. Czy jej oferta zwiększy nasze bezpieczeństwo?*

■ ■ ŚWIAT

30 Irańskie lekcje
OLAF OSICA: *Obie wojny – Iran i Ukraina – pokazują, że świat to system naczyń połączonych*

34 Jak znów rozniecić ogień
PATRYCJA BUKALSKA *o Słowacji osiem lat po zabójstwie Jána Kuciaka i Martiny Kušnirovej*

36 Za kulisami
ROZMOWA Z MARTINEM KRCIEM, SŁOWACKIM DRAMATOPISARZEM: *W polityce, nie tylko na Słowacji, wielu jest ludzi gotowych na wszystko*

37 Globalny wyścig o AI
ROZMOWA Z SAMEM WINTEREM-LEVY'M *o sztucznej inteligencji w geopolityce*

■ ■ WIARA

40 Buntowniczka

ANDREA SABBADINI / ALAMY / BE&W

ROZMOWA Z MARTHĄ HEIZER, DZIAŁACZKĄ: *Kiedy rozpoczęliśmy działalność, otrzymałam dwie groźby śmierci*

TEMAT TYGODNIKA

10
Dubaj: luksus i wojna
ANNA DUDZIŃSKA
Największe budynki, najsłynniejsi influencerzy, cały świat w jednym mieście. Marzenie szejków o stworzeniu bezpiecznego azylu zostało zachwiane kolejnym konfliktem w Zatoce Perskiej. Czy tak jak nasze marzenie?

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

■ STRONY SPECJALNE ■

56 KOSMOS I BÓG
90 LAT KS. MICHAŁA HELLERA

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
24 OLGA DRENDA
54 ELIZA KĄCKA
84 PAWEŁ BRAVO
90 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

REDAKTOR PROWADZĄCY:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

44 Zen trafia na Zachód
MACIEJ BIELAWSKI: *Ta praktyka, importowana z Japonii, wiąże się z introspekcją i analizą samego siebie*

46 Dać Słowu głos
JAN MACIEJEWSKI: *Czy muzyka jest jedynie „rozrywką”, odwracającą naszą uwagę od trudów życia? Czy może raczej materializacją odwiecznego porządku świata?*

49 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

50 Nalot nadziei
MIKOŁAJ GÓRSKI: *5 marca 1982 r. na plaży na Bornholmie zjawiła się grupka Francuzów. Przez kolejne godziny napełniali helem kolorowe powłoki z logo Solidarności*

■ ■ KULTURA

72 Dusiołek z Powiśla

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

ROZMOWA Z EMI BUCHWALD, REŻYSERKĄ: *Razem z przyjaciółmi tworzyliśmy jako dzieci bandę. To w niej upatruję źródeł mojego podejścia do robienia filmów. Gram zespołowo*

76 Proroctwo
KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT *o węgierskim powieściopisarzu i polityku Miklósu Bánffym*

78 Powrót mistrza
JACEK WAKAR: *Czas odcisnął na „Wycince” Krystiana Lupy piętno, ale dodatkowo pogłębił i wyostrzył jego znaczenia*

81 Polecamy

82 Szczyle i typiary
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” w reżyserii Emi Buchwald*

83 Przekroczenia
LEKTOR *o książce Zbigniewa Majchrowskiego „Trans/dygresje”*

■ ■ ZMYSŁY

86 O czym wierzby nie szumią. Pieśń o świcie
RADEK RAK: *Uśpione na co dzień zmysły, tęsknota za domem, doświadczenie obecności czegoś, co nas przekracza*

eprasa.pl 6b5ff1c250

KS. ADAM

Boniecki: *Moje pożytki z pracy na emeryturze*

Najpierw była pasja odkrywania możliwości. Pierwszą świadomie odkrytą było czytanie. Pamiętam doskonale: kiedyś wszedłem na drzewo i kiedy z niego zszedłem, umiałem czytać (oczywiście nie wejście na drzewo o tym zdecydowało). Pamiętam tytuł: „Kiddi, dziecię obozu". Samej książki już nie za bardzo. Miałem wtedy sześć, może siedem lat.

Po latach i wydarzeniach, które nie należą do tematu, zostałem księdzem. A potem zacząłem pracować w „Tygodniku Powszechnym" i do czytania doszło pisanie. Moim mistrzem był niezrównany Tadeusz Żychiewicz, autor „Poczty ojca Malachiasza". Zaczęło się od odpisywania na kierowane do niego listy czytelników: Tadeusz czytał wszystkie moje odpowiedzi, korygował, skreślał, dopisywał, dyskutował ze mną: jednym słowem przeszedłem wtedy prawdziwą szkołę. W miarę czasu pisałem coraz więcej, czasem znacznie więcej (Boże odpuść), niż miałem ochotę. Taki zawód.

To nie jest zresztą szczególnie interesujące. Interesujące się zaczęło, kiedy (już dobrze po osiemdziesiątce) zachorowałem i nie mogłem pisać. A potem, po trochu, znów mogłem. „Tygodnik" zapraszał, drukował, ale już nie było tak jak dawniej. Mniejsza o szczegóły, ale byłem inny. Inaczej myślałem, inaczej patrzyłem na świat. Stopniowo uczyłem się tego nowego sposobu istnienia. Dzięki terapiom nauczyłem się ukrywać niedostatki mózgownicy, ale pisanie przychodziło mi z trudem. Czekałem, aż koledzy powiedzą mi, żebym przestał. Nie powiedzieli.

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Cytaty tygodnia*

Bardzo nie chcemy robić sobie kontentu na całej tej sytuacji" – wyznała w kolejnej porcji swego kontentu influencerka Andziaks, przebywająca na wywczasie w Dubaju. W wersji Andziaks Dubaj wygląda trochę tak jak jej poród, który Andziaks również transmitowała, tylko nieco wcześniej – nie ma tu za wiele zbędnego bólu. Przeważa luksus, uśmiech i beztroska, mimo iż Andziaks usłyszała, przebywając na hotelowym basenie „trzy mocne huki" (o historii Dubaju, miasta bogactwa i influencerów, a teraz wojny i luksusu, przeczytacie w tekście **ANNY DUDZIŃSKIEJ**; analizę konfliktu zbrojnego Iran-Izrael dostarczy na dalszych stronach **OLAF OSICA**).

„Mam być maszynistą, ale kierownikiem pociągu jest i będzie pan prezes Jarosław Kaczyński" – uspokajał w weekend Przemysław Czarnek, eksminister, *in spe* polski premier. Pociąg ku „normalnej Polsce", do której będzie pędzić maszynista Czarnek, staranuje planowo „europejskie lewactwo" i „jawną opcję niemiecką". Co się

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 25

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 6b5ff1c250

Piszę więc co tydzień ten niewielki tekst, rodzaj edytorialu. Człowiek, niby krytyczny wobec siebie, myśli, że to jest coś warte. Wiem, że nie mam narzędzi, by to oceniać, jednak piszę te teksty i co gorsza: nie wyobrażam sobie, żebym ich nie pisał. Smutne jest to, że napisanie większego tekstu chyba przekracza moje możliwości. „Chyba" wynika z tego, że nawet nie próbowałem. A tekst na początku numeru musi zainteresować (czasem potencjalnego) czytelnika.

Zwykle się dowiaduję wcześniej, o czym powinien być ten tekścik, i potem rozmyślam, co mam napisać. Rozmyślam, czasem coś czytam w związku z sugerowanym tematem i wreszcie piszę. Nigdy nie wiem, czy tekst pójdzie, czy nie. Ale myślę, że dobry jest taki stan niewiedzy i cotygodniowe czekanie. Na pewno lepszy niż stan niezachwianej pewności siebie.

Nie należy z tego wnosić, że człowiek po wylewie kompletnie zgłupiał. Fakt: są zmiany, pamięć nie taka, jak za młodu, zdarzają się nawet jakieś słowa, a nawet wydarzenia kompletnie zapomniane, jednak myśl nadal działa, nawet może przenikliwiej niż kiedyś, a pamięć nie została całkiem wyczyszczona, świat się nadal widzi, nadal wyciąga się wnioski.

Wdzięczny jestem za to miejsce w „Tygodniku", za miejsce we wszechświecie. To więcej niż jakiekolwiek zapewnienia. Wiem, że kiedyś zniknę, a życie będzie szło naprzód. Wiem nawet i to, że nie będzie mnie nazbyt brakowało. To jest normalne. Ale i tak mam zamiar straszyć redaktorów po nocach. Wszystko po to, żeby „Tygodnik" trwał i zdobywał rzesze kolejnych czytelników. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

ostanie po tym dalekobieżnym kursie, czas pokaże, ale bezpiecznie może się czuć „normalny Polak", czyli – jak precyzował Czarnek – pielęgniarka, lekarz, kolejarz, „mama i tata, babcia i dziadek" (o tym, co właściwie oznacza wystawienie Czarnka jako kandydata PiS na premiera, pisze **MAREK KĘSKRAWIEC**).

„Zapraszam na salę, moja rola już się skończyła" – powiedział chwilę wcześniej, wzywając na salę Czarnka, Jarosław Kaczyński, w swoim przemówieniu grożąc m.in., że od teraz konwencje PiS będą się odbywały „z częstotliwością niemalże co dwa tygodnie". Ale i tak wszyscy na sali wiedzieli, że „skończona rola" prezesa to jego młodzieńcza kokieteria (o tym, dlaczego podzielimy los prezesa, bo nasza zawodowa rola się raczej nie skończy wraz z osiągnięciem wieku emerytalnego, pisze **ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK**).

Nie będę Państwu życzył spokoju influencerki, dyscypliny przyszłego premiera i skromności wiecznego prezesa. Zamiast tego życzę „nalotu nadziei" (tytuł artykułu **MIKOŁAJA GÓRSKIEGO** o Francuzach wspierających Solidarność w stanie wojennym) i „wspólnych poszukiwań mądrości" (to wywiad **WOJCIECHA BONOWICZA** z **KS. MICHAŁEM HELLEREM** z dodatku o Jubilacie). Koniecznie z nowym, cztery tysiące pierwszym „Tygodnikiem" w dłoni. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

MARYANNE WOLF
Kiedy czytasz wiersz, Twój mózg pracuje podobnie jak u wybitnego pianisty zmuszonego łączyć pamięć motoryczną z afektywnymi funkcjami poznawczymi. Lektury potrafią poruszać nas w najbardziej totalny sposób.

DOROTA MALINA
Pracował do samego końca – fotografował nawet szpitalne posiłki. Uczestniczył też w przygotowaniach swojej paryskiej wystawy „Global warning", której niestety nie doczekał. Trwa retrospektywa brytyjskiego fotografa Martina Parra.

MICHAŁ WALKIEWICZ
Każdy szanujący się aktor musi zaliczyć katalog tradycyjnie „męskich" ról. Zostać kowbojem, astronautą, jazzmanem, policjantem oraz zranionym kochankiem. Ryan Gosling był każdym z nich. Niektórymi – dwa razy.

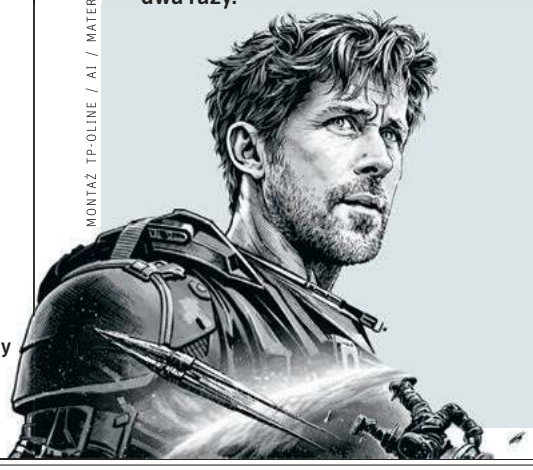

MONTAŻ TP-ONLINE / AI / MATERIAŁY PRASOWE

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 6b5ff1c250

OBRAZ TYGODNIA

3–9 MARCA 2026

TRWA AMERYKAŃSKO-IZRAELSKA OPERACJA przeciw Iranowi, który w odwecie ostrzeliwuje sąsiednie państwa. Donald Trump oczekuje „bezwarunkowej kapitulacji" i chce akceptować nowego przywódcę kraju, ale przebąkuje już o kolejnej operacji, tym razem na Kubie. ■■■ **Z TEHERANU** słychać, że przy obecnej intensywności Iran jest gotowy na pół roku walk. Nowym najwyższym przywódcą w miejsce zabitego Alego Chameneiego został jego syn Modżtaba. Podczas ataku na jedną z baz wiernego reżimowi Korpusu Strażników Rewolucji amerykańska rakieta trafiła szkołę dla dziewcząt, zabijając ponad 170 osób. ■■■ **CENY ROPY** osiągnęły poziomy nienotowane od pierwszych miesięcy pełnoskalowej wojny na Ukrainie i nie chcą spaść, mimo iż Trump pisze o tym w mediach społecznościowych WIELKIMI LITERAMI. ■■■ **USA ZAGROZIŁY** zerwaniem kontaktów handlowych z Hiszpanią, która odmówiła udostępnienia baz wojskowych na cele operacji w Iranie. Socjalistyczny premier Pedro Sánchez oznajmił, że jego kraj „nie będzie współwinny czegoś złego dla świata, tylko z obawy przed represjami ze strony niektórych". ■■■ **ALAKSANDR ŁUKASZENKA** ułaskawił 15 więźniów politycznych, ale obrońcy praw człowieka na Białorusi podają, że za kratami pozostaje jeszcze 1140 osób uznanych za wrogów reżimu. ■■■ **NA LINII KIJÓW-BUDAPESZT** wzrost napięcia: premier Orbán ogłosił, że dopóki Ukraina nie przywróci transportu rosyjskiej ropy uszkodzonym w wyniku (rosyjskich) bombardowań rurociągiem, Węgry wstrzymają tranzyt ważnych dla niej towarów. Węgrzy nagłaśniają wypowiedź prezydenta Zełenskiego, krytykującego zablokowanie przez Orbána 90 mld euro unijnej pożyczki słowami, że „da adres tej osoby żołnierzom, żeby z nią porozmawiali po swojemu". ■■■ **DONALD TUSK I KAROL NAWROCKI** spierają się o finansowanie obronności: premier apeluje o podpisanie ustawy wdrażającej program SAFE (unijnych pożyczek, dzięki którym możemy otrzymać nawet 43,7 mld euro na zakupy sprzętu wojskowego), prezydent i prezes NBP Adam Glapiński proponują oparcie się na środkach banku centralnego, bez procentów i odsetek. ■■■ **NOWY KANDYDAT PIS** na premiera Przemysław Czarnek nazwał SAFE „jawną opcją niemiecką". Jego przemówienie na partyjnej konwencji było tak konfrontacyjne, że Radek Sikorski stwierdził, że Czarnek byłby dobrym kandydatem na premiera Afganistanu. ■■■ **MINISTRA EDUKACJI** Barbara Nowacka musi przeprosić Wojciecha Roszkowskiego za słowa o „kłamstwach zawartych na każdej stronie podręcznika »Historia i Teraźniejszość«". Wyrok jest nieprawomocny, a obie strony chcą się odwoływać (historyka satysfakcjonują przeprosiny, ale nie chce ponosić kosztów sądowych). ■■■ **MECZ ŚLĄSKA Z WISŁĄ** zakończył się walkowerem dla gospodarzy: drużyna z Krakowa, w proteście przeciw zapowiedziom niewpuszczenia jej kibiców na wrocławskie trybuny, sama odmówiła przyjazdu.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

POWYŻEJ: Prezydent RP Karol Nawrocki i prezes NBP Adam Glapiński podczas wspólnego wystąpienia w sprawie alternatywy dla programu SAFE. Warszawa, 4 marca 2026 r.

OBRONNOŚĆ NA DWIE RĘCE

W sporze o SAFE prezydent i premier weszli – pytanie czy przypadkowo – w iście mefistofeliczną rolę. Pragnąc dla siebie nawzajem jak najgorzej, czynią przysługę polskim interesom za granicą.

MAREK RABIJ

Adam Glapiński przyzwyczaił nas już do tego, że uwielbia nie mieścić się w ramach, które zapisano mu w ustawie o NBP. Zapewne dlatego nikt

eprasa.pl 6b5ff1c250

Jak uzbroić Europę

BUDŻET ▪ Inicjatywa SAFE (Security Action for Europe) to unijny program pożyczek o łącznej wartości 150 mld euro do sfinansowania najpilniejszych zakupów i inwestycji w obronność.

Polska, która zabezpieczyła sobie w nim finansowanie na 43,7 mld euro, jest jego głównym beneficjentem.

Spłata pożyczek potrwa do 2070 r. Dodatkowo w pierwszych latach do zwrotu są jedynie odsetki, bez kapitału.

Do 65 proc. pożyczki należy wydać w krajach członkowskich UE.

Dokładna lista 139 polskich inwestycji finansowanych z SAFE nie została ujawniona. Rząd zapewnia jedynie, że 80 proc. funduszy zostanie wydanych w kraju lub na potrzeby polskiego przemysłu zbrojeniowego (np. zakup technologii dla rodzimych zakładów).

nawet nie pyta, jakim prawem szef banku centralnego wychodzi z inicjatywą finansowania polskiej obronności w sytuacji, gdy jego jedyną ustawową prerogatywą jest pilnowanie stabilności cen. Próby oceny sensowności koncepcji „SAFE zero procent", którą Glapiński zapowiedział w ub. tygodniu wraz z prezydentem Nawrockim, są zresztą na razie skazane na porażkę. Dopiero 11 marca prezes ma zdradzić więcej szczegółów.

PONAD 500 TON ZŁOTA W ZASOBACH NBP wartych jest obecnie około 300 mld zł. Nasz bank centralny mógłby więc sprzedać część, a potem szybko je odkupić. W ten sposób zaksięgowałby zysk na różnicy między ceną zakupu sprzed lat a ceną sprzedaży i mógłby następnie przekazać go Skarbowi Państwa. W jaki sposób? Tego właśnie nie wiemy. Czy NBP „dodrukuje pieniędzy", np. poprzez skup i umorzenie obligacji skarbowych, których resort finansów nie będzie już musiał uwzględniać w bilansie kosztów obsługi zadłużenia? Dzięki temu w budżecie państwa zwolniłyby się fundusze na wsparcie polskiego sektora obronnego, które faktycznie nie pochodziłyby z długu. Rzecz w tym, że w polskim sporze o SAFE nie o odsetki przecież chodzi.

WIDAĆ TO W ZMIANIE NARRACJI PIS w sprawie tego unijnego programu. Kwestia kosztów SAFE zeszła w niej na plan dalszy, bo partia Kaczyńskiego po prostu nie gra tu na dogodnych dla siebie pozycjach. Pożyczka z UE jest obecnie tańsza od długu, który Polska mogłaby zaciągnąć sama w rodzimej walucie. Przy emisji obligacji w euro zapłacilibyśmy praktycznie tyle samo, ile będzie kosztować SAFE. Gra nie jest więc warta świeczki, a przy okazji odsłania też prawdziwe powody, dla których do programu nie przystąpiły Niemcy (emitując własne obligacje na zbrojenia, Berlin po prostu pożyczy taniej niż korzystając z SAFE). Dyskusja o kosztach pożyczki stawia w dodatku PiS w pozycji mądrego po szkodzie, bo to rząd Morawieckiego zgodził się przecież zaciągnąć w Korei Południowej kredyty na zakup tamtejszego uzbrojenia, kosztujące Polskę około 6,6 proc. rocznie.

PIS AKCENTUJE więc teraz inne aspekty SAFE. Nowy eurodług na obronność ma być kolejnym krokiem na drodze do federalizacji Unii – w istocie to nieprawda, bo pieniądze na SAFE za zgodą wszystkich państw członkowskich wiosną ub. roku KE przeksięgowała z programu odbudowy po pandemii. Karykaturalnie przerysowane są też ostrzeżenia przed rzekomym wpływem Brukseli na politykę obronną krajów, które skorzystają z SAFE. 43,7 mld euro, które Polska wynegocjowała sobie w tym pakiecie, to równowartość raptem naszych rocznych wydatków na zbrojenia.

ZAKUPY DLA POLSKIEJ ARMII warte są już łącznie ponad pół biliona złotych. Choć milczą o tym obie strony konfliktu o SAFE, dla jednej i drugiej jasne jest, że problemem nie są w tej chwili pieniądze, lecz zdolność armii i polskiej gospodarki do ich sensownego wchłonięcia. W 2024 r. (nowszych danych na razie brak) budżet MON na obronność został zrealizowany w 99,96 proc., ale już pieniądze z pozabudżetowego Funduszu Wsparcia Sił Zbrojnych udało się wydać zaledwie w 65,3 proc.

WIĘKSZOŚĆ POLSKICH WYDATKÓW NA ZBROJENIA nadal trafia zresztą za granicę, bo krajowy przemysł obronny nie jest w stanie sprostać takim zamówieniom. Nowoczesnych myśliwców, systemów obrony powietrznej czy okrętów podwodnych po prostu nie umiemy produkować. SAFE – część unijnego programu Rearm Europe – służyć ma jednak wzmocnieniu mocy wytwórczych i innowacyjności europejskiego kompleksu zbrojeniowego. A jako taki nie może się podobać Waszyngtonowi, który chciałby, żeby sojusznicy zza Atlantyku wydawali więcej na broń – ale w Ameryce, nie u siebie.

Z PUNKTU WIDZENIA POLSKIEJ RACJI STANU, dla której dobre relacje z USA i z Europą są dziś jednakowo ważne, spór o SAFE nie jest na szczęście tak toksyczny, jakim może się wydać oglądany z krajowego podwórka. Nawrocki i Tusk weszli – pytanie czy przypadkowo – w iście mefistofeliczną rolę. Pragnąc dla siebie nawzajem jak najgorzej, czynią chwilową przysługę polskim interesom za granicą, zabezpieczając nam i amerykańską, i brukselską flankę. ©℗

eprasa.pl 6b5ff1c250

Krucjata Donalda Trumpa

MASSIMO FAGGIOLI

Atak na Iran to część boskiego planu zapisanego w Księdze Apokalipsy, a Donald Trump wypełnia religijną misję, przygotowującą na Armagedon i powrót Jezusa Chrystusa na ziemię. Takie przesłanie przekazują amerykańskim żołnierzom ich dowódcy, jak wynika ze skarg przysyłanych do Wojskowej Fundacji Wolności Religijnej. Integralną częścią wpajanej żołnierzom ideologii jest też „chrześcijański syjonizm" – przekonanie, że „Bóg nadal błogosławi sojusznikom Izraela, a przeklina jego wrogów".

Narracja stosowana do opisu amerykańskiego i izraelskiego ataku na Iran różni się od tej, która towarzyszyła walkom armii USA w początku XXI wieku. Wprawdzie po 11 września 2001 roku, w czasie wojny w Afganistanie czy Iraku również pojawiały się głosy zapewniające o boskiej inspiracji ataków na talibów i Saddama Husajna, jednak były one skutecznie marginalizowane przez administrację G.W. Busha, która nie zgadzała się na przedstawianie toczonych wojen jako nowej krucjaty.

Administracja Trumpa przekroczyła i tę granicę. Dziś przedstawia się jako siła, która zamierza przywrócić dominację „białego amerykańskiego chrześcijaństwa" – nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Nowa „doktryna wojenna", oparta na fundamentalistycznej i ekstremistycznej retoryce protestancko-ewangelikalnej, będzie mieć jednak katastrofalne konsekwencje dla stosunków międzyreligijnych, zwłaszcza pomiędzy chrześcijanami, Żydami i muzułmanami (jak również dla relacji pomiędzy różnymi Kościołami chrześcijańskimi).

Nowe jest również to, że katolicyzm zajmuje dziś dużo ważniejszą pozycję w amerykańskiej polityce niż wcześniej. Wśród najbliższych współpracowników Trumpa katolikami są wiceprezydent J.D. Vance i minister spraw zagranicznych Marco Rubio (nie wspominając o Stevie Bannonie czy prominentnych finansistach ruchu MAGA, jak np. Kevin Roberts z Heritage Foundation). To oni odpowiadają za wizerunek amerykańskiego katolicyzmu w świecie. Niektórzy amerykańscy hierarchowie (np. kard. Blase Cupich z Chicago) krytykują wojenną narrację administracji Donalda Trumpa, czy to nadającą walkom sens religijny, czy sprowadzającą je do poziomu gry komputerowej albo kina akcji. Ale jak dotąd nie udało się im doprowadzić do powstania oficjalnego i jednomyślnego stanowiska podpisanego przez wszystkich amerykańskich kardynałów i biskupów.

Nowa, polityczno-religijna doktryna wojenna Trumpa staje się więc coraz większym problemem także dla Kościoła katolickiego. I wyzwaniem dla Leona XIV, amerykańskiego papieża, który będzie musiał zdystansować się od niej w bardziej zdecydowany i widoczny sposób.

© (TŁUM. EA)

MOLLY RILEY / WHITE HOUSE / ZUMA PRESS / FORUM

Członkowie Biura ds. Wyznań Religijnych Białego Domu modlą się nad prezydentem Donaldem Trumpem. Waszyngton, 7 marca 2026 r.

Szkoła integracji

JACEK TARAN

W piątym roku od wybuchu wojny w Ukrainie Polska odchodzi od specustawy regulującej pobyt, dostęp do pracy i świadczeń dla obywateli tego kraju. Rząd wygasi przepisy lub włączy je do ogólnych regulacji dotyczących cudzoziemców.

Istotna część zmian dotyczy systemu edukacji. Po 2022 r. wprowadzono ułatwienia w przyjmowaniu uczniów z Ukrainy. Dotyczyły one oddziałów przygotowawczych, liczby godzin języka polskiego czy elastycznych zasad klasyfikacji. Szkoły zyskały większą swobodę w zatrudnianiu asystentów międzykulturowych, którzy wspierają uczniów w okresie adaptacji.

Po zmianach placówki będą stosować ogólne przepisy dotyczące cudzoziemców, a zatrudnianie nauczycieli i personelu pomocniczego wróci do standardowych zasad prawa oświatowego. Wygaszona zostanie też część nadzwyczajnych rozwiązań organizacyjnych wprowadzonych po 2022 r. Nowe przepisy wejdą w życie w roku szkolnym 2026/27.

Polski system edukacji w ostatnich latach stał się jednym z najbardziej zróżnicowanych kulturowo w regionie. W naszych szkołach uczy się ponad 200 tys. uczniów z Ukrainy. Jednocześnie – jak wskazywali w październiku 2024 r. autorzy raportu Centrum Edukacji Obywatelskiej – około 130 tys. dzieci z doświadczeniem uchodźstwa zostało włączonych do polskiego systemu edukacji po wybuchu pełnoskalowej wojny w 2022 r. Różnica między tymi liczbami pokazuje złożoność zjawiska: część dzieci mieszkała w Polsce już wcześniej, część uczy się równolegle w dwóch systemach, a część pozostaje poza polską szkołą.

Państwo próbuje uporządkować sytuację i przejść do bardziej stabilnych rozwiązań. W sensie instytucjonalnym jest to zrozumiałe. W sensie społecznym to szkoła wciąż jest jednym z najważniejszych miejsc integracji – niezależnie od tego, czy przepisy będą nadzwyczajne, czy systemowe.

Jest jeszcze jedna kwestia, o której mówi się rzadko. Po powiązaniu świadczenia 800+ z obowiązkiem szkolnym do systemu dołączyło kilkadziesiąt tysięcy dzieci, które wcześniej nie uczęszczały do polskich szkół. Mimo to eksperci wskazują, że część dzieci w wieku szkolnym nadal pozostaje poza polskim systemem edukacji – uczą się zdalnie w ukraińskim systemie, wyjechały z kraju lub ich sytuacja edukacyjna pozostaje niejasna. ©℗

eprasa.pl 6b5ff1c250

M. MICHALSKI I M. SACHA / WYDAWNICTWO RELACJA

Spotkanie z Sabiną Jakubowską wokół książki „Położne" w Brzesku, 24 lutego 2026 r.

Rodzić i pisać po ludzku

KSIĄŻKA ▪ Dziesiątki tysięcy sprzedanych egzemplarzy „Akuszerek" – do czego należałoby doliczyć kolejne tysiące, tym razem odsłuchów audiobooka. Kupione przez Magdalenę Łazarkiewicz i Agnieszkę Holland prawa do ekranizacji. Setki zamówień nowej książki, „Położnych", jeszcze przed premierą, a kiedy w tym tygodniu ukazała się na rynku – bezprecedensowe zainteresowanie mediów i odbiorców. Tłumy na spotkaniach (jedno mogłem poprowadzić w Niepołomicach, gdzie rozgrywa się część akcji), występy autorki w tzw. telewizjach śniadaniowych, Katarzyna Figura czytająca fragmenty w Trójce. Na czym polega fenomen książek Sabiny Jakubowskiej?

„Położne" to kontynuacja „Akuszerek": główna bohaterka nowej powieści, położna Regina Zdzieńska, jest córką akuszerki Franciszki Diabelec, której losy poznawaliśmy w książce poprzedniej. Po Jadownikach i Brzesku z XIX i początków XX wieku mamy tym razem Kraków i Niepołomice z lat II wojny światowej i PRL-u. Kobiecy los w niełatwych czasach – można by banalnie podsumować akcję, w której Historia (Polski) miesza się z historią (bohaterek). I porody, na pierwszym planie, będące w tym wszystkim najważniejsze.

Nikt dotąd w polskiej literaturze nie postawił porodu w centrum. Nikt w ten sposób nie opowiedział o najbardziej fundamentalnym ludzkim doświadczeniu; doświadczeniu granicznym, bolesnym, czasem ekstatycznym, zbyt często związanym z przemocą i traumą.

Trudno nie dostrzec terapeutycznego wymiaru tego pisania. Autorka jest doulą, sama towarzyszy narodzinom. W jej książkach widać, jak naturalne, a zarazem transformujące może być to wydarzenie, zwłaszcza kiedy rodzącym towarzyszy rozumiejący kobiecy krąg. Równocześnie do głosu dochodzi tu doświadczenie całych pokoleń, które spotkało rozdzielenie, w pierwszym rzędzie matek od dzieci, w uprzedmiotawiającej i – często niepotrzebnie – zmedykalizowanej procedurze. Wracamy do lat 40., 50., 60., 70., kiedy – tak podejrzewam, patrząc na twarze uczestniczek spotkań z autorką – rodziły matki czytelniczek albo po prostu: nasze matki. Do lat, w których wykorzystanie i nadużycie spotykały je nie tylko w szpitalnej sali.

W książkach Jakubowskiej jest trochę jak w „Chłopkach" Joanny Kuciel-Frydryszak: można zrozumieć nasze przodkinie, a przez to zrozumieć samych siebie i powiedzieć, że chce się inaczej. Niekoniecznie tylko wybierając pozycję, w której rodzi się dziecko.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ

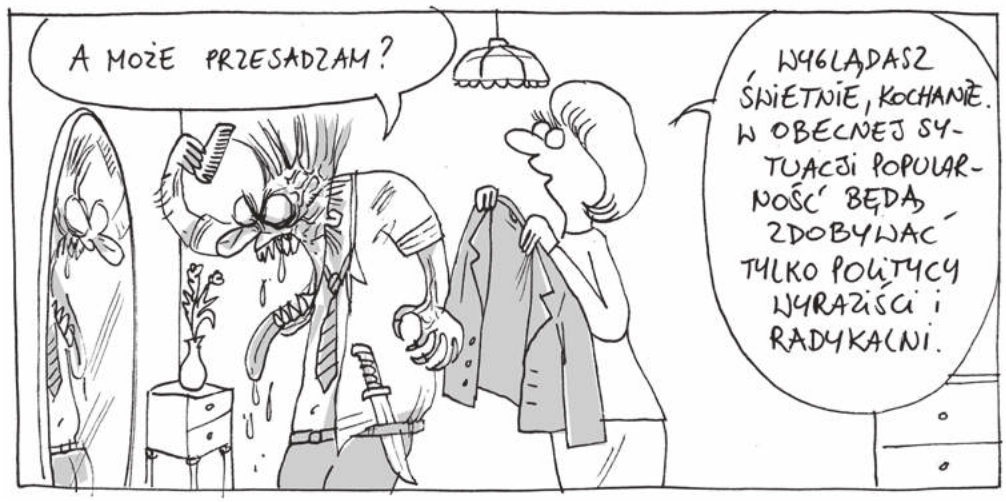

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 6b5ff1c250

TEMAT TYGODNIKA

DUBAJ: LUKSUS I WOJNA

Największe budynki, najsłynniejsi influencerzy, cały świat w jednym mieście. Marzenie szejków o stworzeniu bezpiecznego azylu zostało zachwiane kolejnym konfliktem w Zatoce Perskiej. Czy tak jak nasze marzenie?

ANNA DUDZIŃSKA

Odwrócony mit wieży Babel. Przestrzeń, w której ludzie mówiący wszystkimi językami świata żyją szczęśliwie. W takiej metaforze chcą się przeglądać Zjednoczone Emiraty Arabskie. Uwierzyli w nią bogaci i biedni. Przyjechali po pieniądze do kraju, w którym ledwie co dziesiąty mieszkaniec jest Emiratczykiem. Jedni zarabiają tam na obiad i szkołę dla syna w pakistańskim Lahore, a inni dorabiają się domu z basenem i widokiem na morze w amerykańskim Norfolk. Wszystkim towarzyszą słońce nad Zatoką Perską i odpowiednio skrojone pensje bez podatków. To miejsce do niedawna składało jasną obietnicę: cokolwiek się wydarzy, tu będzie bezpiecznie.

Konstrukcja tej wieży została naruszona w sobotę 28 lutego, gdy mieszkańcy Dubaju usłyszeli pierwsze eksplozje pocisków przechwytywanych przez obronę powietrzną. Ogień i dym unoszący się nad hotelami, lotniskami, nad portem przeładunkowym, amerykańskim konsulatem i bazami wojskowymi wystawił na próbę wiarę w podstawy funkcjonowania tego kraju.

Czy bombastyczna wieża, która od ponad pół wieku powstaje nad Zatoką Perską, zawali się po tym pożarze?

Dwie twarze Emiratów

W pierwszych dniach wojny więcej dronów i pocisków wysłano w kierunku Dubaju i Abu Zabi niż w stronę Izraela.

– Uderzenie w Dubaj to uderzenie w serce bezpiecznych Emiratów. W sym-

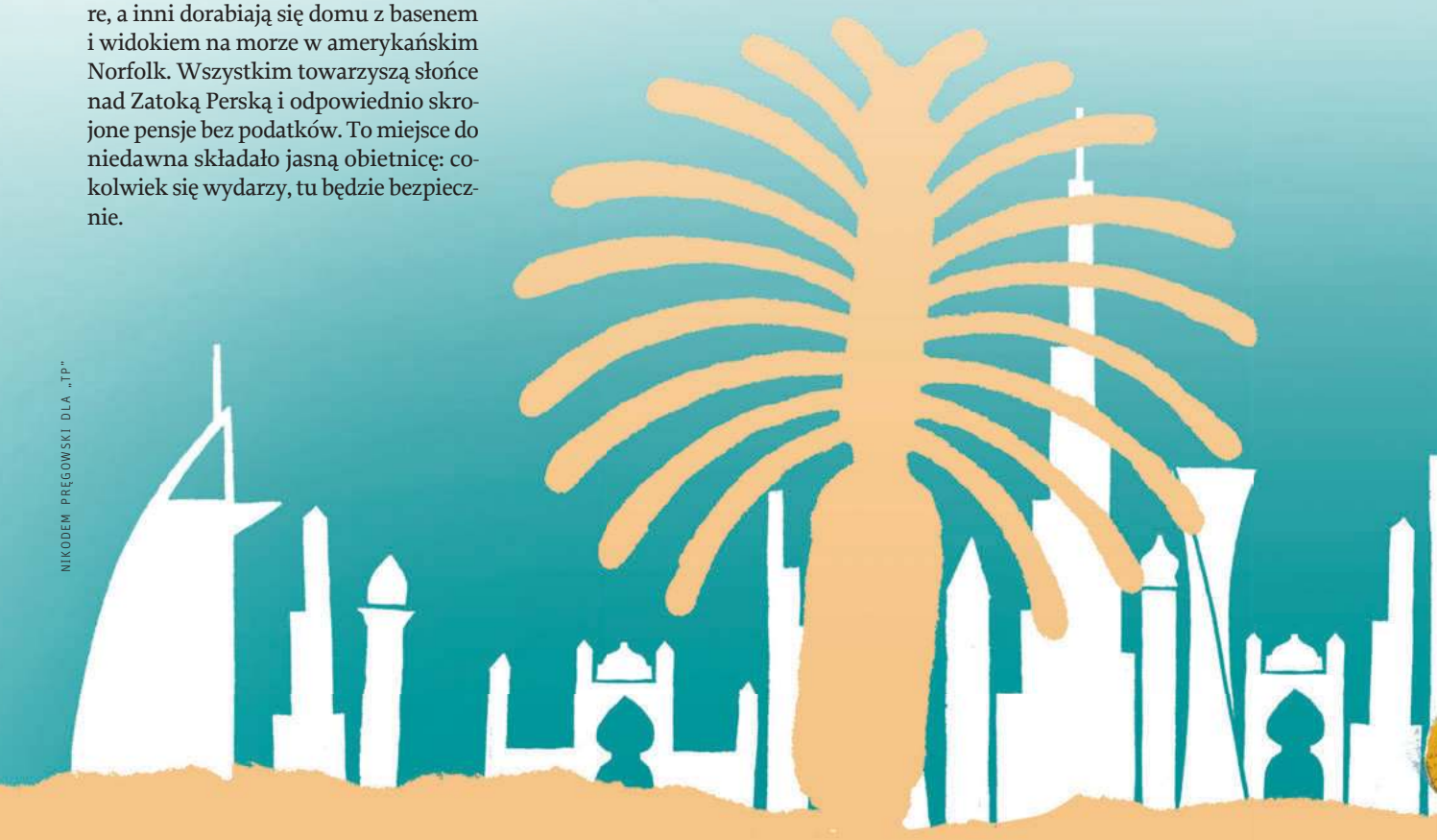

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

eprasa.pl 6b5ff1c250

bol, ikonę pewnego stylu bycia – mówi arabista i były ambasador w tym kraju dr Jakub Sławek. – Ale Irańczycy są też przekonani, że uderzają w ten sposób w cały zachodni świat. I to nie przesada: w Emiratach mieszkają wszyscy. Ten efekt można osiągnąć tylko tu.

Niewielu ludzi ma fotografie z budynkami w Rijadzie, a przy Burdż Chalifa fotografują się wszyscy – tłumaczy dyplomata. Marketing wojny zderzył się z marketingiem oazy stabilności.

Inną przyczyną ataku na ZEA jest fakt, że Emiratczycy zmienili relacje z Izraelem. Oba kraje połączyły nie tylko interesy, ale i turystyka. Od 2020 r. z lotniska w Tel Awiwie codziennie startuje kilkanaście samolotów, by wylądować w Dubaju. Izraelscy turyści mają tu koszerne restauracje i cieszą się luksusem.

– Emiraty unikają angażowania się w konflikty. Panujące tu rodziny zdają sobie sprawę, że Amerykanie kiedyś sobie pójdą, kurz po wojnie opadnie, a Iran dalej będzie ich sąsiadem – tyle komentarza byłego dyplomaty.

Dubaj i Zjednoczone Emiraty Arabskie skazane są na dwie narracje. Pierwsza to opis bezpiecznego miejsca, które rozkwitło dzięki pieniądzom z ropy. Petrodolary pomogły stworzyć na pustyni ogrody, sztuczne wyspy, ośmiopasmowe autostrady, a nawet muzeum, które wykupiło markę Luwru. Kraj najwyższych, najdłuższych i najszerszych budynków odwiedzają tysiące ludzi – także za sprawą influencerów, którzy Dubaj po prostu pokochali.

Druga narracja sprowadza Emiraty do miejsca, gdzie wykorzystuje się niewolniczą pracę robotników z Azji, gdzie za fasadami pałaców kobiety przetrzymywane są wbrew swojej woli, a bogaci Arabowie łamią prawa człowieka.

Obie narracje są uprawnione, ale przywiązywanie się tylko do jednej oznacza zamykanie oczu na prawdę o tym kraju.

Kraj ze snów

Państwo, które powstało w 1971 r. z połączenia siedmiu emiratów, wymagało umowy. Wszystkich połączyła wizja szejka Zajida ibn Sultana Al Nahajjana, który przemierzał pustynię, siadał przy ognisku z plemiennymi wodzami i namawiał.

W 1967 r. amerykańska National Educational Television nakręciła dokument „Farewell to Arabia". Ze światem z ubogiej wersji „Baśni tysiąca i jednej nocy" żegnamy się już w pierwszych ujęciach. Idące przez pustynię wielbłądy zastępuje Chrysler 300, który wjeżdża na kilkudziesięciometrową wydmę. Za kierownicą siedzi szejk Zajid. Rusza w nowoczesność.

Siedmiu emirów zgodziło się m.in. na wspólną politykę zagraniczną i obronną, ustalając system wspólnej edukacji, walutę, bank centralny. Zajid chwilę wcześniej odsunął od władzy brata – szejka Szahbuda, który bał się rozwoju i podpisywania umów z Brytyjczykami. Pierwsze pieniądze z ropy zbutwiały mu w zamkniętym skarbcu.

Zajid podzielił się bogactwem ze swoim ludem. Dosłownie: istnieje zdjęcie, na którym widać Arabów ustawionych w kolejce do jego pałacu. Specyficzny rodzaj podziału zysków z ropy trwa do dziś: obywatele kraju mają darmową szkołę i ochronę zdrowia, szejk płaci za studia zagraniczne, oferuje darmowe kredyty na budowę i bezpłatne działki budowlane, uboższe rodziny wynajmują od niego domy, otrzymują dopłaty do paliwa i energii.

Największym zwolennikiem umowy zjednoczeniowej był szejk Dubaju. Wiedział, że po wycofaniu się z Zatoki Perskiej Brytyjczyków trudno będzie małym emiratom zachować niezależność i miał świadomość, że jego sąsiad ma bogatsze złoża ropy. Dubaj był już wtedy centrum handlowym regionu. I tak Nahajjan został wizjonerem, a dubajski Raszid ibn Said Al Maktum gwarantem ekonomicznym zjednoczenia, łączącym wizję z wiedzą doświadczonego kupca.

Dzięki pieniądzom z ropy wszystko działo się jak na filmie oglądanym z przyśpieszoną prędkością. Szejk Zajid sprowadził brytyjskich i niemieckich architektów, by doradzili, jak ukorzenić podróżujących na wielbłądach Beduinów. Zaprojektowano domy wzorowane na obozowiskach plemiennych. W błyskawicznym tempie powstawała infrastruktura, drogi, porty, lotniska, szpitale i szkoły. ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

Szejk rozumiał, że trudno to zbudować rękami tych, którzy dopiero zaczynają nazywać się Emiratczykami. W kraju nie było specjalistów – ani inżynierów od przemysłu naftowego, ani tych, którzy zajmowaliby się logistyką, urbanistyką, marketingiem. Trzeba było wszystkich sprowadzić i zacząć się od nich uczyć.

Piasek, chaty, słona woda

W jednym z trzech murowanych domów przyszłej stolicy państwa, kilka lat przed zjednoczeniem, zamieszkał pierwszy w historii Abu Zabi nauczyciel. Ahmed Khateeb napisał też książkę: „Sand, Huts and Salty Water" („Piasek, chaty i słona woda").

Ahmed urodził się w arabskim Dżaninie. Gdy odkrył, że szejk na pustyni poszukuje nauczyciela, bo szkoły koraniczne już tam nie wystarczają, wyruszył nad Zatokę Perską. W roku szkolnym 1958/59 zaczął kształcić tych, którzy za kilka lat mieli rządzić państwem. Jego literacką opowieść o tych czasach wydano w małym nakładzie, po angielsku. Książki nie można znaleźć w księgarniach w Abu Zabi i w Dubaju. Autor nie otrzymał zgody na sprzedaż, a bez odpowiedniego dokumentu niczego w tym kraju sprzedawać nie można. Stało się tak dlatego, że precyzyjnie opisał, jak potoczyła się jego kariera.

Zwolniono go po kilku miesiącach. Popadł w niełaskę panującego wtedy szejka Szahbuda i z dnia na dzień musiał wyjechać. Wrócił zaraz po tym, gdy doszedł do władzy Zajid. Teraz nie szukał zatrudnienia jako nauczyciel: trafił do Departamentu Informacji. Przez 20 lat decydował, jakie gazety wydawane w sąsiednich krajach można czytać w Emiratach. Wyrokował, które zdjęcia mogą iść do druku i które teksty trzeba ocenzurować. Lubił swoją pracę.

Kilkanaście lat później koledzy z tego samego biura nie dopuścili do sprzedaży jego książki. W dodatku jak tysiące byłych pracowników, po przejściu na emeryturę musiał z Emiratów wyjechać. To nic, że w rozwijającym się kraju wychował pięcioro dzieci. To nic, że nie miał dokąd wracać. Kończysz służbę, dziękujemy. Masz 30 dni na wywiezienie mebli, a my anulujemy twoją wizę.

Tak było przez pół wieku, dopiero w 2023 r. zmieniono przepisy. Obywatele obcych państw mogą zostać również po przejściu na emeryturę. Oczywiście jeśli dysponują odpowiednim majątkiem. Kwotę wyznaczono precyzyjnie: to milion dirhamów (mniej więcej milion zł) oszczędności albo dom o podobnej wartości. Pierwszy nauczyciel i wzorowy cenzor nie zgromadził takich pieniędzy.

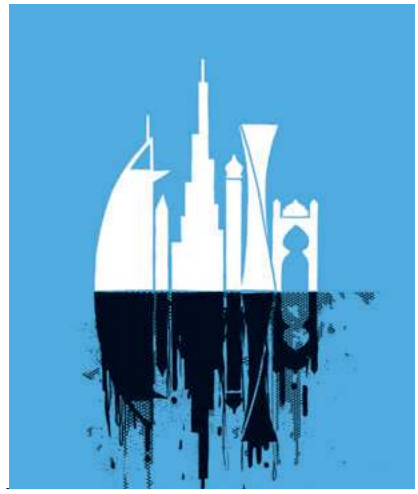

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

Wolność w Zjednoczonych Emiratach ma granice. Wyznaczają ją: interes kraju, szejków i religii. Cenzura funkcjonuje, rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane.

Granice wolności

Wolność w Emiratach ma granice – wyznaczają ją: interes kraju, szejków i religii. Cenzura funkcjonuje, rozmowy telefoniczne są podsłuchiwane, obrażanie szejków i Mahometa może skończyć się więzieniem, a teraz, w czasie wojny, alerty o niepublikowaniu niepożądanych postów rozsyłane są do wszystkich mieszkańców.

To Europejczycy przyłożyli oświeceniową miarę do kraju, w którym autorytarny system nigdy się nie skończył. Dlaczego ulegliśmy temu złudzeniu: czy zgubił nas sztafaż budynków ze szkła i żelaza albo opisywane w mediach ministerstwo szczęśliwości? W Emiratach ostateczne decyzje podejmują szejkowie, nie ma wolności słowa i zgromadzeń. Częściowo obowiązuje prawo szariatu, praw mniejszości seksualnych nikt nie respektuje. To nie jest wiedza tajemna. Przeciwnie: po Arabskiej Wiośnie szejkowie jeszcze uważniej przyglądają się przyjezdnym, rozprawili się z opozycją, ale jednocześnie przepędzili egipskich nauczycieli związanych z Bractwem Muzułmańskim.

10 proc. mieszkańców tego kraju jest dumne z ojczyzny. To rdzenni Emiratczycy. Większość akceptuje model oparty na tradycji, w której wychowali się ich dziadkowie. Plemienna organizacja świata, którą pamięta jeszcze najstarsze pokolenie, ściera się tu z nowoczesnością budynków i centrami, w których rozwija się sztuczną inteligencję. Jak żyje im się w wieży Babel, w której ledwie co dziesiąty mieszkaniec legitymuje się emirackim obywatelstwem?

Reszta to przyjezdni, imigranci zarobkowi, obywatele Indii, Pakistanu, Sri Lanki, Filipin albo Amerykanie, Brytyjczycy, Australijczycy. Takiej struktury społecznej nie ma w żadnym innym miejscu świata. Nietypowy model odbija się w najprostszych czynnościach. Emirackiej starszej pani, która mówi tylko po arabsku, musi w IKEI towarzyszyć anglojęzyczna wnuczka: inaczej nie kupi zasłon ani ręczników. Nie dogada się ze sprzedawczynią, która pochodzi z Filipin i nie zna arabskiego.

Poradzimy sobie

Do ludzi szczególnie dumnych z ojczyzny należą ci, którzy od początku obserwowali rozwój pustynnego kraju. Z Mohammedem al-Fahimem, uczniem Palestyńczyka Ahmeda z pierwszej szkoły w Abu Zabi, rozmawiam w skromnym gabinecie. Wyjątkowo skromnym jak na właściciela firmy, która handluje m.in. Mercedesami. Pierwsze auta ściągano po drewnianych tratwach bezpośrednio ze statków. Zanim dotknęły piasku, już były sprzedane.

To Mohammed namówił swojego nauczyciela do napisania książki, a potem sam opisał swoją historię: „Nauczyciel chciał ustalić, jak się nazywamy i ile mamy lat. Staraliśmy się jak najlepiej, ale nikt z nas nie znał swojego wieku i nie wiedzieliśmy, jak brzmią nasze pełne nazwiska. Znaliśmy tylko imiona i przydomki, którymi zwracali się do nas przyjaciele i rodzice. (...) Pamiętam, że byłem

eprasa.pl 6b5ff1c250

tak podekscytowany nauką w pierwszej szkole, że czasami spałem w ubraniu, by rankiem nie marnować czasu na przygotowania" (Mohammed al Fahim „From Rags to Riches").

Czy takie historie mieszczą się w wyobrażeniu ultranowoczesnego państwa? Al Fahim pamięta, jak do pałacu szejka przywieziono pierwszy generator prądu, a władca urządził swoim poddanym kino. Pamięta też opowieści o tym, jak w czasie podróży na wielbłądach mama zgubiła go w pustynnych piaskach. Człowiek, który ma 78 lat, z dumą patrzy na rozwój kraju, ale nie zachłystuje się nowoczesnością. Raczej narzeka na młodych, którzy w międzynarodowych szkołach czytają książki tylko po angielsku.

Najbardziej irytują go dociekania, co wydarzy się w kraju, gdy skończy się ropa. – Wy, ludzie z Europy, zawsze się o kogoś martwicie. Moi dziadkowie dawali sobie radę, żyjąc na pustyni. Byliśmy wykorzystywani przez Brytyjczyków, teraz jesteśmy wolnymi ludźmi. Mamy wybór. I jesteśmy przyzwyczajeni do trudności. Poradzimy sobie. A wy? Jak poradzicie sobie bez naszej ropy naftowej?

Wieża Dubaju

Nie wiem, dlaczego Al Fahim tak się zdenerwował. Złoża ropy w Emiratach należą do największych w świecie. Przy obecnej eksploatacji nie zabraknie jej przez sto lat. Przynajmniej w Abu Zabi, bo emirat Dubaju ma jej niewiele i od początku musiał sam siebie wymyślić.

Być może mit założycielski miasta ma źródło w czarno-białej fotografii z lat 60. Fotograf ustawił na niej szejków odwiedzających Nowy Jork. Stoją ciasno stłoczeni, bo na najwyższym piętrze Empire State Building jest niewiele miejsca. Winda przywiozła ich na taras widokowy, dokładnie 443 m nad poziomem ulicy. Szejkowie patrzą na wieżowce i zaczynają marzyć.

Tomasz Wieczorek, architekt, który od 30 lat pracuje na Bliskim Wschodzie, należał do ekipy projektantów, którzy urzeczywistnili te marzenia. – Oni mówią, że nikt nie pamięta, kto wylądował na Księżycu po Armstrongu. Jeśli się jest drugim albo trzecim, to szybko o tobie zapominają – tłumaczy zamiłowanie arabskich władców do bicia architektonicznych rekordów.

Muhammad ibn Raszid Al Maktum chciał mieć najwyższy budynek na świecie. Dopiął swego, a Burdż Chalifa jest dokładnie dwa razy wyższa od Empire State Buliding, na którym wraz z ojcem pozował do zdjęcia.

Nie obyło się bez kłopotów. Budynek miał nazywać się „wieża Dubaju", ale w ostatniej chwili zmieniono ją na „Burdż (wieża) Chalifa". Gdy w 2008 r. emirat znalazł się w tarapatach finansowych, szejkowie z Abu Zabi wyłożyli pieniądze na dokończenie giganta i zażyczyli sobie, by budynek nazwano imieniem władcy sąsiedniego emiratu. Srebrna iglica ma 823 m i z trudem mieści się na zdjęciach na Instagramie. Jej sylwetka jest równie popularna, jak wieża Eiffla. Tomasz Wieczorek przez cztery i pół roku prowadził nadzór budowlany na gigantycznym placu budowy.

Polski architekt mógłby długo opowiadać, jakie inżynieryjne rebusy rozwiązywali projektanci. Już przy pierwszych rysunkach trzeba było zastanowić się, co zrobić, by wieżowiec nie osiadał w piasku. Dalej, by pokonał napierający na niego wiatr. Turysta tego nie zobaczy, ale wieża kołysze się delikatnie w prawo i lewo, jak trzcina. Nikt nie próbował dotąd wylewać płynnego betonu na takiej wysokości i przy takiej temperaturze. Jednorazowo pompowano w niebo 25 ton mokrego budulca. Zamiast wody używano czasem lodu.

Malowanie trawy

Gdy dubajska duma miała 36 pięter, rozpoczęły się protesty robotników. Wyszli na ulicę w maju 2006 r. Protestowali przeciw głodowym stawkom, domagali się właściwej opieki medycznej i wypłaty zaległych pieniędzy, a przede wszystkim humanitarnego traktowania. Zdesperowani Hindusi, Bengalczycy i Pakistańczycy wdzierali się do biur dewelopera, niszczyli komputery, dewastowali samochody.

Agencja Associated Press podaje, że wykwalifikowany cieśla zarabiał na budowie 7 dolarów 60 centów, a niewykwalifikowany robotnik 4 dolary. Na dzień! Organizacje praw człowieka ten stopień wyzysku nazywają współczesnym niewolnictwem. Powstanie wieżowca, jak innych budynków w krajach Zatoki Perskiej, było możliwe dzięki niedoszacowanej pracy wyzyskiwanych budowlańców. Protest przy Burdż Chalifa był jednym z nielicznych, a część robotników deportowano.

Ale międzynarodowa krytyka z czasem wpłynęła na zmiany w organizacji pracy robotników w Emiratach. Dziś nadzorowi podlegają firmy rekrutujące, sprawdzane są warunki, w jakich mieszkają pracownicy, i ich wypłaty.

Jednak w przypadku prestiżowej wieży, ani szejk, ani inwestor nie przejmowali się losem protestujących. Wszyscy wstrzymali oddech dopiero, gdy wieżowiec po osiągnięciu 200 m zaczął się przechylać.

– Cały świat patrzy, a budynek przestał trzymać pion – opowiada polski architekt. – Zaczęło się obliczanie naprężeń, budowanie stalowych podciągów i presja, jakiej normalny człowiek nie jest w stanie znieść. Nie policzę, ilu pracowników miało w tym czasie kłopoty z sercem – mówi Wieczorek, a ja pytam, czy projektanci w ogóle zastanawiali się, jaki sens ma budowa tak olbrzymiego, wertykalnego miasta?

Odpowiedź jest cały czas ta sama: wyścig o prestiż. 4 stycznia 2010 r. w niebo wypuszczono kolorowe balony, wystrzeliły sztuczne ognie. Szejk spełnił marzenie swoje i ojca.

– Uroczystość wyglądała jak w Polsce za komuny. Trawę malowano na zielono. Z przodu siedzieli szejkowie, a z tyłu jeszcze lano beton. Jak zaczął odpadać tynk, przyniesiono kwiatki i ustawiono tak, żeby nic nie było widać. Nie o wszystkim mogę mówić, bo podpisywałem kontrakt z klauzulą tajności – wyznaje polski architekt.

Królestwo przesady

Prof. Yasser Elsheshtawy nie zachwyca się najwyższym budynkiem świata. Kiedy z nim rozmawiałam, pracował jeszcze na emirackim uniwersytecie w Al Ain, dziś wykłada w Nowym Jorku i jest jednym z najważniejszych myślicieli piszących o urbanistyce i architekturze w krajach Zatoki Perskiej. Wymyślił termin „dubaizacja", który odzwierciedla wpływ architektury powstającej w Emiratach na świat. Kiedyś to ona naśladowała, dziś sama jest naśladowana.

– Przykłady dubaizacji można odnaleźć wszędzie – tłumaczy. Widoczna jest w krajach Bliskiego Wschodu, gdzie powstają podobne miasta. Ze szkłem, stalą ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ i nieróżniącymi się od siebie wieżowcami. Już w 2007 r. naukowiec zaczął analizować, jak architektura Dubaju wpływa na nowe inwestycje w Kairze. W Emiratach powstało Dubai Internet City, a w Egipcie Cairo Smart Villiage – model „kopiuj, wklej" wydzielonej dzielnicy, gdzie powstają budynki biurowe dla firm z branży komputerowej. I tu, i tam takie same okna, windy, nawet przestrzenie dla pracowników biurowych zaprojektowano podobnie. To samo dzieje się w Maroku, Syrii, Libanie, Jordanii czy Libanie.

Sukces Dubaju był też inspiracją przy powstawaniu saudyjskiego projektu Neom i liniowego miasta The Line. Chociaż tu chodzi bardziej o strategię przyciągania spektakularnych projektów niż bezpośrednie architektoniczne odwołania.

Pytam, czy określenie „dubaizacja" jest tylko negatywne. – I tak, i nie – odpowiada profesor. – Ale jeśli bierzesz taki projekt jak Dubaj i starasz się go przeszczepić do Egiptu, to powstaje przestrzeń karykaturalna. Dla rozwoju Dubaju momentem najważniejszym była budowa wyspy Palm Jumeirah. Całkowita przesada. To był ten etap, gdy ludzie przestali brać tutejsze inwestycje na poważnie. Projekt dla bogatych turystów, którzy przyjeżdżają prać pieniądze.

Dlaczego nie?

Co myśleć o mieście, które buduje wyspę w kształcie palmy? Jej pień to autostrada, która rozprowadza auta na liście wyrastające po prawej i lewej stronie. Na nich, rządkami ustawiono domy z zejściem prosto do zatoki. Jako budulca użyto 7 mln ton skał górskich i 120 mln m³ piasku wydobytego z dna morza. Z piaskiem to zresztą wyjątkowo ciekawa sprawa, bo choć Dubaj znajduje się na pustyni, to aby zrealizować ambitne pomysły urbanistyczne, piasek musi importować. Ten pustynny ma zbyt gładkie ziarna i nie nadaje się na potrzeby budownictwa.

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

Dubajskie architektoniczne szaleństwa są znane na całym świecie. Ich popularność, kontrowersje wokół nich przeliczają się na dolary, które wydają turyści.

By utrzymać przejrzystą wodę między liśćmi, założono dziesiątki filtrów i urządzeń natleniających. Jeśli przestają działać, zbierająca się w zatoczkach woda mętnieje i zaczyna cuchnąć. A smrodu nie lubią inwestorzy, którzy wykupili domy w tej prestiżowej lokalizacji.

Dubajskie architektoniczne szaleństwa są znane na całym świecie. Zadbały o to agencje odpowiedzialne za promocję. Ikoniczne budynki zawładnęły masową wyobraźnią. I choć od lat krytykowane są przez ekspertów, to ich popularność przelicza się na dolary, które wydają turyści.

A może rację ma „CEO of Dubai", „szef korporacji Dubaj", jak lubi mówić o sobie szejk Muhammad ibn Raszid Al Maktum, bo swoim królestwem zarządza jak firmą. Zapytany kiedyś przez brytyjskiego dziennikarza, dlaczego wszystko w Dubaju musi być największe, najszersze, najszybsze, odpowiedział bez zastanowienia: – A dlaczego nie?

A może nic nam do tego? Może zbyt łatwo chcemy decydować o tym, jak ma wyglądać ich świat? Niewiele miejsc na świecie budzi tyle zachwytu i tyle krytyki jednocześnie.

Zgasły światła

W ciągu sześciu dni wojny Iran wystrzelił w kierunku Emiratów 196 pocisków i 1072 drony. Pierwszej nocy zgasły wszystkie światła na Burdż Chalifa. To musiał być szokujący widok dla szejka Dubaju. Dotąd prowadził swoją firmę konsekwentnie, chwilowymi kryzysami zarządzał sprawnie. Oskarżenia o przetrzymywanie córek Szamsy i Latify nie zraziły jego partnerów biznesowych. W bezpiecznej wieży Babel znalazło się miejsce dla oligarchów z Rosji i ich pieniędzy. Jednocześnie Dubaj stał się przystanią nie tylko dla głośnych celebrytów, ale przede wszystkim dla imigrantów z paszportami syryjskimi, irakijskimi czy palestyńskimi dokumentami podróży. O tym też warto pamiętać. Przedsiębiorstwo szejka rozwija takie gałęzie jak handel międzynarodowy, turystyka, strefy wolnego handlu, jest jednym z największych hubów lotniczych i centrum finansowym, z którego korzystają także uciekający przed sankcjami Irańczycy.

Teraz przyszedł czas na wsparcie działu zajmującego się profesjonalnym zarządzaniem kryzysowym. Specjaliści na pewno już pracują.

© ANNA DUDZIŃSKA

Autorka jest dziennikarką Programu Trzeciego Polskiego Radia. W artykule wykorzystała fragmenty swojej książki „Dubaj. Miasto innych ludzi".

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

eprasa.pl 6b5ff1c250

PRAWDA | WOLNOŚĆ SŁOWA
NIEZALEŻNOŚĆ | RZETELNOŚĆ
WIARYGODNOŚĆ | DIALOG
MIŁOŚĆ SPOŁECZNA | WOLNOŚĆ
DEMOKRACJA | ZNACZENIE
AUTENTYCZNOŚĆ | WOLNOŚĆ
CZŁOWIEKA | DZIEDZICTWO
PAMIĘĆ | ODPOWIEDZIALNOŚĆ
SPOŁECZEŃSTWO | UCZCIWOŚĆ
GODNOŚĆ | SZACUNEK | DOBRO
NAUKA | KULTURA | EDUKACJA

1,5%

To, co ważne, zapisaliśmy w statucie Fundacji.
To, co możliwe, zależy od Waszego wsparcia.
Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

» KRS 0000 125 605

Rozliczasz PIT? To proste, a Twoje wsparcie ma realną moc. Masz pytania?
Napisz: fundacja@tygodnikpowszechny.pl – chętnie pomożemy!

OPP

eprasa.pl 6b5ff1c250

RENATA DĄBROWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Monika Lewandowska z córką Aleksandrą. Sopot, kwiecień 2018 r.

OSOBY OSOBNE

Nadchodzi nowa era wsparcia osób z niepełnosprawnościami – ogłasza rząd. Ale czy to na pewno przełom? I czy ustawa o asystencji osobistej faktycznie zlikwiduje zjawisko, które sami zainteresowani nazywają „opiekuńczym niewolnictwem”?

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Rozmowa zaczyna się od reprymendy. – Nie jestem pewna, czy jest pan gotowy na to, co powiem – słyszę od Moniki Lewandowskiej, ekspertki, ale też mamy Oli, młodej kobiety z niepełnosprawnością. – Wszystko, co robiłam w swoim życiu, zmierzało do tego, by nikt mnie nie nazywał „opiekunką” Oli, tak jak pan to zrobił przed chwilą.

Faktycznie: „na dobry początek” rozmowy, który nie okazał się aż tak dobry, powiedziałem Monice Lewandowskiej, że rozmawiając z nią, będę kierował pytania nie tylko do ekspertki, ale też – właśnie – do „opiekunki”.

– Jestem mamą trzech córek, żoną, siostrą, z zawodu ekonomistką i przedsiębiorczynią, nie „opiekunką”, która kojarzy mi się właśnie z profesją, a równocześnie sprowadza temat niepełnosprawności do poziomu medyczno-opiekuńczego – mówi mi Lewandowska, gdy tłumaczę, że samo środowisko osób walczących o prawa osób z niepełnosprawnościami (OzN) nazywało siebie „opiekunami” albo „wykluczonymi opiekunami”. – Rzecz w tym, że w Polsce nadal wszyscy uważają osobę z niepełnosprawnością i członka jego lub jej rodziny za całożyciowy nierozerwalny pakiet, dwa ciała zlane w jedno, drzewo i hubę. Nie mam prawa decydować za innych, jak się sami nazywają, ale uważam, że język kształtuje świadomość, a nazywanie siebie „opiekunką dorosłej osoby z niepełnosprawnością” brzmi su-

eprasa.pl 6b5ff1c250

cho i pozbawia każdą z nas prawa do podmiotowości oraz rodzinnej relacji „matka–córka". A także do zauważenia przez społeczeństwo faktu dorosłości Oli.

Ta historia to dobra ilustracja, jak w trzeciej dekadzie XXI wieku, u progu wejścia w życie głośnej ustawy o asystencji osobistej, ścierają się w Polsce dwa modele wsparcia OzN. Stary, który Monika Lewandowska nazwie medyczno-opiekuńczym, tkwiący nadal w naszych głowach, widzi w niepełnosprawności głównie chorobę, wadę, niedomaganie. Paradygmat nowy, od dawna zapisany w międzynarodowych konwencjach, a od niedawna marzący się politykom, streszcza się w zdaniu: „Nie chcemy opieki, a normalnego życia".

Nie jesteśmy pakietem

– To był wypadek. Przyspieszony poród, komplikacje, wcześniak z jednym punktem w skali Apgar. Coś, co może się zdarzyć w każdej rodzinie – Monika Lewandowska cofa się do początku historii swojej 24-letniej dziś córki. – Usłyszeliśmy z mężem od lekarzy, że Ola będzie żyła może kilka miesięcy, że ma beznadziejne rokowania spowodowane rozległymi wylewami krwi do mózgu. Osiem miesięcy spędziła na respiratorze. Byliśmy gotowi na jej odejście, a nawet bywały momenty, że tego chcieliśmy – tak zły był jej stan. Dzisiaj Ola jest już dorosłą „panią Olą". Otrzymała maksymalne sto punktów w skali oceny potrzeby wsparcia. Nie chodzi, w wózku siedzi wyłącznie dzięki rozwiązaniom zabezpieczającym pozycję, mówi pojedyncze słowa, potrzebuje nakarmienia i podania picia, ale też wsłuchania się w jej potrzeby, jednak trzeba być cierpliwym i dać jej czas.

Aleksandra, dodaje jej matka, ma tzw. sprzężoną niepełnosprawność: ruchową i intelektualną, biologicznie jest natomiast w dobrym zdrowiu. – Od początku zdecydowaliśmy z mężem, że nasza rodzina spróbuje żyć jak każda: dzieci, ucząc się wraz z rówieśnikami, a my w pracy – kontynuuje Lewandowska. – Były „osoby życzliwe", które mówiły, że „biedne dziecko tylko leży w świetlicy i czeka na pracującą matkę, a przecież jak się ma takie dziecko, to się nie pracuje". Ale my już wtedy wybraliśmy model, w którym i Ola, i jej siostry, i my prowadzimy swoje życia. Przełomem było pójście Oli do szkoły prowadzonej przez „konwencyjną" organizację pozarządową stworzoną przez rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. Konwencyjną, czyli zgodną z zapisami Konwencji ONZ o prawach OzN – taką, która i Olę, i nas potraktowała podmiotowo. Nie tylko nas: większość rodziców z tej szkoły pracowała.

Kolejny rozdział tej opowieści, mówiący o prawie do dorosłości, Monika Lewandowska opatruje zastrzeżeniem: – Wielu może uznać to, co zaraz opowiem, za bajkę, bo stereotypowo uważają takie osoby jak moja córka za „wieczne dzieci" – mówi kobieta. – Na szczęście nie uważał tak śp. Paweł Adamowicz, prawnik, zmarły tragicznie prezydent mojego miasta Gdańska, który mówił, że każdy, bez względu na stan i zakres niepełnosprawności, ma prawo do dorosłości, do wsparcia miasta w organizacji życia w mieszkaniu. Ola z tego skorzystała.

Niezależne życie na miarę potrzeb i możliwość swojej córki Lewandowscy trenowali. Najpierw Ola zostawała z dala od rodziny – choć w towarzystwie asystentów osobistych – przez jeden dzień, by później wrócić do domu. Z czasem okresy niezależności się wydłużały: do dwóch, a potem kilku dni. – Dwa lata temu Ola zamieszkała w swoim lokum na stałe – opowiada Monika Lewandowska. – Normalne mieszkanie, z własną, przystosowaną do jej potrzeb łazienką, kuchnią i lodówką z ulubionym jogurtem oraz sernikiem od babci, a także pokojem urządzonym zgodnie z jej wolą. No i z czynszem, który córka płaci jak każdy inny dorosły mieszkaniec Gdańska posiadający własne dochody.

24-latka wymaga stałego wsparcia w każdej czynności. – Ale całą sobą pokazuje, że odpowiada jej bycie na swoim – dodaje jej mama. – Jest na ostatnim roku szkoły, rano bus zabiera ją na zajęcia, a po południu z powrotem przywozi do mieszkania. Później Ola wraz z asystentką decyduje, jak chciałaby spędzić czas. Raz pójdą do lumpeksu, innym razem do fryzjera, lekarza, albo się z kimś spotkać. Ola ma kartę kredytową. Asystentka płaci nią, a Ola na pytanie, „czy chcesz serek wiejski, czy potrawę wegańską", odpowiada czasami słowem, a czasami gestem lub uśmiechem. W weekendy nasza córka odwiedza nas, albo my córkę. Chyba że ma akurat inne plany.

Jak dodaje Lewandowska, Ola dzięki takiemu modelowi życia rozwinęła się przez ostatnie 3 lata w tempie, o którym nikt nie marzył. – Więcej mówi, śmieje się, żartuje, potrafi pokazać, co chce, z kim chce się spotkać, do kogo zadzwonić. Często słyszę od rodziców osób ze sprzężonymi niepełnosprawnościami, że ich dziecko jest np. „na poziomie dwulatka". Rozumiem to, ale pamiętajmy, że sytuacja może się zmieniać w zależności od obranego modelu życia, postrzegania sytuacji przez rodziców, bodźców, postaw otoczenia. Model obrany przez nas, podobny do szwedzkiego czy niemieckiego i oparty na niezależności, mógł zaistnieć w Gdańsku. Wiem jednak, że wiele rodzin nadal „kopie się z koniem" w swoich opornych na deinstytucjonalizację i niezależne życie samorządach, które oczami włodarzy widzą swoich mieszkańców z niepełnosprawnościami tylko przy rodzinie albo w DPS.

Niepełnosprawność w liczbach

Nie da się jednoznacznie powiedzieć, ile jest w Polsce osób z niepełnosprawnościami. Niedawny Narodowy Spis Powszechny wykazał liczbę 5,4 mln, czyli 14,3 proc. ludności kraju. Z kolei niemal 3,5 mln Polaków posiadało jeszcze do niedawna prawne potwierdzenie swojej niepełnosprawności.

To wystarczająco duża grupa, by móc stwierdzić, że poszczególnych jej przedstawicieli może ze sobą nawzajem niewiele łączyć. Cóż bowiem – poza literalnym odwołaniem do hasła „niepełnosprawność" – może mieć wspólnego trzydziestolatka z lekkimi ograniczeniami, które ZUS potwierdził z uwagi na jej astmę albo wady wzroku, z przykutą do łóżka 80-latką po wylewie?

Siłą rzeczy publiczna dyskusja, toczona zwykle od wzmożenia do wzmożenia, np. od protestu do protestu, skupia się na ledwie kilku do kilkunastu procentach z owych kilku milionów. To armia – znowu: w zależności od przyjętych kryteriów – od stu do kilkuset tysięcy Polaków wymagających największego wsparcia, którzy do codziennego funkcjonowania potrzebują asystencji – tak jak Aleksandra Lewandowska.

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej podało, że w 2025 r. 255 tys. osób otrzymało wprowadzone niedawno świadczenie wspierające. To finansowa pomoc przeznaczona właśnie dla wymagających największego wsparcia – w skali ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

potrzeb od 1 do 100 mających przynajmniej 70 punktów.

– Świadczenie wspierające to najlepsze, co mogło nas w tym skomplikowanym, niesprawiedliwym i dziurawym systemie spotkać – ocenia Monika Lewandowska. – To bowiem pierwsza pomoc finansowa, która jest przyznawana nie na bazie dokumentów medycznych, tylko na podstawie badania i oceny realnych, zindywidualizowanych potrzeb konkretnej osoby. Stary system orzeczniczy jest nieprzejrzysty, dość powiedzieć, że ten sam znaczny stopień niepełnosprawności ma moja córka z czterokończynowym porażeniem i niepełnosprawnością intelektualną oraz dyrektor w PFRON, który pozwala mi ten przykład wskazywać w publicznych wypowiedziach, by pokazać absurd polskiego systemu orzekania.

Kolejną po świadczeniu wspierającym, nawet większą systemową rewolucją ma być asystencja osobista, która przyniesie co najmniej stu tysiącom najbardziej potrzebujących (to szacunki Ministerstwa Rodziny) państwową gwarancję asysty takiej, jaką dostaje teraz od organizacji pozarządowej Aleksandra Lewandowska.

Serial z asystencją to dość nudnawa już polityczna opera mydlana, której główni bohaterowie od lat powtarzają slogany o „rewolucyjnym projekcie", ale długo nic z tego nie wynikało. Z przewidywalnej fabuły wyłamał się na moment premier Donald Tusk, stwierdzając z dziecinną szczerością, że pieniędzy na asystencję nie będzie, by chwilę później się z tego – na fali społecznego oburzenia – wycofać.

Ta odyseja nadal daleka jest od końca. Rząd przyjął ustawę o asystencji, ale dokument ugrzązł w sejmowych podkomisjach. Jak dowiedział się „Tygodnik", projekt powinien zostać uchwalony do wakacji, ale osoby potrzebujące raczej nie uświadczą asystentów przed wyborami na jesieni 2027 r. (w ustawie jest zapis o 14 miesiącach na realizację usługi od momentu jej wejścia w życie). Pozostaje też pytanie, jak wiele nowa ustawa zmieni.

Na pewno niezależność?

– To bardzo dobrze, że ten projekt ustawy w końcu jest – ocenia dr hab. Paweł Kubicki, profesor SGH, ekspert m.in. w dziedzinie polityki społecznej i wsparcia OzN. – Natomiast ta ustawa nie zadowala do końca samego środowiska OzN. Po pierwsze, krytykowane są ograniczenia swobody w wyborze asystenta. Po drugie, mówi się wiele o wymiarze wsparcia, który ma wynieść od 30 do 240 godzin miesięcznie, ale swoboda w dysponowaniu tymi godzinami bywa dla wielu osób niezadowalająca. Po trzecie, kontrowersyjna jest sprawa braku waloryzacji stawek dla asystentów. No i wreszcie fakt, że asystencja będzie przysługiwać tylko osobom, które mają co najmniej 80 na 100 punktów w skali potrzeb.

To ostatnie może sprawić, że państwowy, a więc gwarantowany asystent trafi do stosunkowo wąskiej grupy Polaków, zwłaszcza że projekt zakłada limit wiekowy do 65. roku życia. – Nasuwa się pytanie, czy asystencja będzie faktycznie wspierać niezależne życie, włącznie z pracą i aktywnością społeczną, czy może paradoksalnie będzie oznaczała głównie opiekę i pielęgnację – obawia się naukowiec SGH. I dodaje: – Bez wsparcia pozostaną ci z ciężkimi, ale punktowymi niepełnosprawnościami. Np. część osób głuchych, które też zgłaszają, że potrzebowałyby asystenta, ale w innych sferach życia funkcjonują dobrze, więc nie dostaną 80 punktów. Albo część osób z niepełnosprawnością intelektualną bądź czterokończynowym porażeniem, które funkcjonują „wystarczająco dobrze".

DOMINIK PASZLIŃSKI / WWW.GDANSK.PL

Aleksandra Lewandowska w mieszkaniu wspomaganym z Wojciechem Namiotką, asystentem osób z niepełnosprawnościami.

PROF. PAWEŁ KUBICKI:

Jeśli nie zaczniemy reformy, czekają nas albo tragedie, np. zostawianie ludzi bez wsparcia, albo konieczność zainicjowania dyskusji na tematy takie jak eutanazja.

Swoje wątpliwości do rządowego projektu wyrażał miesiąc temu Związek Powiatów Polskich. Rząd – alarmował ZPP – tak długo ciął po kosztach, że na koniec stworzył dokument niegwarantujący ani asystencji na dobrym poziomie, ani tym bardziej przyzwoitych wynagrodzeń asystentom.

– W projekcie napisano, że jeden koordynator asystencji przypada na trzydzieścioro asystentów, ale później ten fragment zepsuto, powiększając pulę do abstrakcyjnej liczby sześćdziesięciu osób – podaje przykład szkodliwych oszczędności Monika Lewandowska. – Wątpliwości budzą też wymagania, jakie trzeba spełniać, by zostać asystentem. Wśród zawodów kwalifikujących do pełnienia tej roli są np. opiekun medyczny, ratownik, pielęgniarka lub fizjoterapeuta. Projektodawca założył, w mojej ocenie błędnie, że zawody medyczne dają wystarczającą rękojmię bycia dobrym asystentem. Wydaje mi się, że od kompetencji formalnych ważniejsze są te miękkie, a także pytanie, czy danego asystenta zaakceptuje sama osoba z niepełnosprawnością.

Tak czy inaczej, asystencja – choćby okrojona – i tak może być przełomem dla tysięcy Polaków. I impulsem aktywizacyjnym ważnym dla państwa: dzięki asystencji przynajmniej część osób może podjąć pracę, windując być może choć trochę bardzo niskie wskaźniki aktywności zawodowej tej grupy.

Co nie oznacza, że sama asystentura przeprowadzi polski system do nowoczesności.

Przewrót kopernikański albo katastrofa

– Byłam kiedyś w ramach wizyty studyjnej w Szwecji i odwiedzaliśmy m.in. plac budowy pod kameralny kompleks niezależnych mieszkań ze wsparciem dla osób w spektrum autyzmu wymagających in-

eprasa.pl 6b5ff1c250

tensywnego wsparcia – opowiada Monika Lewandowska. – Takie mieszkania są w tym kraju gwarantowane, a jeśli samorząd w ciągu trzech miesięcy takiego zdefiniowanego szczegółowo lokum nie zapewni, płaci karę za każdy miesiąc zwłoki. W Polsce mieszkania wspomagane są wpisane do ustawy o pomocy społecznej jako zadanie samorządów, tyle że nie ponoszą one żadnych konsekwencji za brak ich tworzenia. I tak system wsparcia większości gmin oparty jest wciąż na miejscach w DPS.

Według prof. Kubickiego potrzebujemy przewrotu kopernikańskiego, bo nigdy nie dorobimy się tylu asystentów osobistych, by pomogli pokonywać wszystkie bariery. – Potrzebne są mieszkania wspomagane, znacznie bardziej rozbudowana sieć placówek dziennych, medyczna i niemedyczna pomoc dochodząca do miejsca zamieszkania – precyzuje Kubicki. – W dobie starzenia się ludności żaden system nie wytrzyma długo, bazując przede wszystkim na całodobowych placówkach takich jak DPS czy ZOL, prędzej czy później się zawali. Wybory 2027 uważam za ostatni moment, po którym musi się zacząć ten przewrót. W przeciwnym razie czekają nas albo tragedie, np. zostawianie ludzi bez wsparcia, albo konieczność zainicjowania dyskusji na tematy takie jak eutanazja.

Potrzebujemy też, dodaje Monika Lewandowska, przewrotu mentalnego. – Byłam ostatnio na szkoleniu o obronie cywilnej, bo chciałam zobaczyć, jak ten temat wygląda z punktu widzenia OzN – mówi ekspertka. – Wpadł mi w ręce poradnik nt. bezpieczeństwa, w którym grupa ta została potraktowana przedmiotowo, tak jak w innych sferach życia. Napisano m.in. „Pamiętaj o osobach starszych i z niepełnosprawnościami – pomóż im zaopatrzyć się w leki, baterie i najpotrzebniejsze rzeczy”, tak jakby to były bezwolne istoty, które nie są godne komunikatu kierowanego również wprost do nich. Jak to się ma do respektowania godności i podmiotowości np. mojej znajomej, niewidomej, aktywnej na co dzień adwokatki? Albo do tysięcy innych osób z niepełnosprawnościami, które chcą funkcjonować normalnie i być podmiotem, a nie przedmiotem? Bez pokonania barier w myśleniu nie usuniemy tych prawdziwych.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Śnieżna kula

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

SENIORZY | Praca na emeryturze powinna być wyborem, ale dla wielu seniorów stała się koniecznością – inaczej nie byliby w stanie żyć w godnych warunkach. Takich osób będzie znacznie więcej.

Roman pakuje sprzęt fotograficzny do pełnoletniego auta. Zarabia głównie na ślubach, uroczystościach rodzinnych, eventach firmowych. Kiedy w połowie lat 90. trafił do działu fotoedycji w ogólnopolskim dzienniku, myślał, że złapał Pana Boga za nogi. Umowa o pracę, ubezpieczenie, płatne urlopy.

– Nie minęło dziesięć lat, jak zaczęły się cięcia kosztów i zwolnienia grupowe w mediach. Rewolucja cyfrowa pogrzebała duże agencje fotograficzne przy polskich gazetach, z dnia na dzień przestaliśmy być potrzebni. Czasem dzięki dawnym kontaktom udaje mi się sprzedać jakiś materiał do prasy, ale to okazjonalne sytuacje – przyznaje. I choć zbliża się do wieku emerytalnego, to nawet nie myśli o odpoczynku. Na etacie był za krótko, by zebrać wystarczający kapitał na koncie w ZUS. Potem pracował na umowy zlecenia, ale najczęściej brał fuchy „na dzieło”, czyli nie odprowadzał składek, a więc nie odkładał na przyszłe świadczenie na starość.

– Będę pracował do śmierci, umrę z aparatem fotograficznym w ręce albo z głodu, bo moja emerytura waha się w okolicach 800 złotych. Kto za takie pieniądze przeżyje w Warszawie? – pyta retorycznie Roman.

Anna z Lublina też pozbyła się marzeń o tym, że 60. urodziny otworzą przed nią nowy okres w życiu. Miała zamiar przejść na emeryturę pod koniec czerwca, chciała wrócić do hodowli ziół i malowania obrazów. Obiecała córce pomoc w wychowywaniu bliźniąt. Kiedy o tym opowiada, ma łzy w oczach, bo okazało się, że nie stać jej na życie za 1500 zł, a na takie świadczenie może liczyć z ZUS. Anna urodziła troje dzieci, korzystała z urlopów wychowawczych, bo mąż pracował za granicą, potem zatrudniła się na niepełnym etacie. Nie przypuszczała, że emerytura będzie tak niska.

– Jestem animatorką kultury, pracuję z młodzieżą, organizuję warsztaty, tworzę amatorskie spektakle. Lubię to, ↦

ARCHIWUM PRYWATNE

Henryk Ostrykiewicz zaliczył pierwszy maraton po sześćdziesiątce, dziś ma 78 lat i wciąż jest trenerem, maratończykiem oraz narciarzem biegowym.

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ co robię, ale umówmy się, to nie jest zajęcie dobrze opłacane w Polsce. Od lat dostaję najniższą krajową, bo na tzw. prowincji władza oszczędza na wszystkim. Nie byłam w stanie odkładać pieniędzy w funduszach emerytalnych – opisuje Lublinianka.

Nowi, biedni emeryci

Badania „HR & Payroll Pulse Europa 2025" przeprowadzone przez agencję SD Worx pokazują, że aż 63 proc. polskich pracowników w wieku 50-65 lat obawia się, że nie będzie miało wystarczających środków finansowych, by przejść na emeryturę wraz z uzyskaniem uprawnień. Dlatego wiele osób przedłuża czas aktywności zawodowej. Według danych z ZUS w 2024 r. 872 tys. osób pracowało mimo prawa do emerytury. Ich średni wiek oscylował w granicach 67 lat (69 lat mężczyźni i 66 lat kobiety).

Wśród zarobkujących seniorów 58 proc. stanowią panie – także dlatego, że ich świadczenie jest najczęściej niższe. Pracują do emerytury 5 lat krócej, a w trakcie kariery zawodowej mają prawo do urlopów związanych z rodzeniem i wychowywaniem dzieci, podczas których nie są odprowadzane składki do ZUS. Każdy dodatkowy rok pracy „ozusowanej" zwiększa ich późniejsze dochody od 8 do 15 proc., dlatego wiele kobiet, mimo skończenia 60 lat, nadal pozostaje aktywna.

– W Polsce jest coraz więcej „nowych, biednych emerytów", czyli osób uzyskujących bardzo niskie świadczenie, niższe od gwarantowanej emerytury minimalnej. Jest to ściśle powiązane z reformą emerytalną z 1999 r. Na mocy tej zmiany świadczenie obliczane jest na podstawie wartości zrewaloryzowanych, uzbieranych przez lata pracy składek emerytalnych – opisuje prof. Piotr Szukalski, demograf z Instytutu Socjologii na Uniwersytecie Łódzkim. – W polskim systemie wystarczy, że ktoś zapłaci jedną składkę do ZUS, by uzyskać prawo do świadczenia, choć w takich przypadkach może być to ledwie kilka groszy w skali miesiąca. To oczywiście skrajne przypadki, ale generalnie bardzo wiele osób będzie zmuszonych do pracy. I o ile mogę sobie wyobrazić, że nauczyciel czy lekarz pracuje po 70. urodzinach, to jest to dużo trudniejsze w przypadku pracowników budowlanych czy kierowców.

USK W RZESZOWIE

Najstarszy lekarz w Polsce, dr pulmonolog Zbigniew Wlazło, ma 93 lata, a za sobą 65 lat pracy z pacjentami.

Trzech na jednego

Może jednak i w tych zawodach będzie to z czasem konieczne? Liczba urodzeń w Polsce systematycznie spada – w 2025 r. przypadało 1,08 dziecka na kobietę. Doganiamy w tej kwestii państwa, które od lat borykają się ze skrajnie niską dzietnością: mamy niższy współczynnik urodzeń niż Japonia (1,13) i niewiele nam brakuje, by stanąć w jednym szeregu z Koreą Południową (0,80). Kiedy więc współcześni 30-, 40-latkowie zechcą przejść na emeryturę, może się okazać, że w Polsce nie będzie wystarczającej liczby osób pracujących na jednego emeryta (dziś jest ich troje), by ci ostatni mogli dostawać świadczenie gwarantujące godne życie.

Prognozy demografów wskazują, że w 2050 r. liczba ludności w Polsce będzie wahała się koło 32 mln, a w 2075 r. spadnie do 25 mln. Zwiększy się przy tym znacznie liczba seniorów wymagających opieki.

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak w perspektywie 5-10 lat zmieni się rynek pracy w Polsce, bo obawy budzi nie tylko niska dzietność. Wiele stanowisk ulegnie likwidacji ze względu na wykorzystanie sztucznej inteligencji. Szacuje się, że nawet 20-30 proc. z nich przejmie AI. Pierwsze symptomy tego zjawiska obserwujemy już dziś; w ciągu ostatniego roku pojawił się problem z zatrudnianiem absolwentów wyższych uczelni w kilku największych polskich miastach. Stanowiska dla tzw. juniorów przejmowane są przez sztuczną inteligencję – opisuje prof. Szukalski.

Jeśli w wielu profesjach ludzi zastąpią roboty, które nie muszą odkładać na starość, w budżecie państwa nie będzie wystarczającej ilości pieniędzy, by wypłacać świadczenia seniorom. Może się więc okazać, że Polska rozwija nowoczesne technologie, produkuje wysokiej jakości produkty, ale seniorzy skazani są na głodowe świadczenia lub na pracę do śmierci, często fizyczną. O ile nie wypchną ich również i z tych profesji roboty.

Bez „silversów" ani rusz

Dane ZUS pokazują, że jak na razie w wielu branżach nie poradzilibyśmy sobie bez pracujących seniorów. Opieka zdrowotna zatrudniała w 2024 r. 16 proc. „silversów", handel hurtowy i detaliczny 13 proc., a edukacja 10 proc. Kiedy zbierałam materiały do artykułu, agent ubezpieczeniowy jednej z firm powiedział mi, że dla lekarzy i pracowników naukowych przygotowują specjalne ubezpieczenia grupowe uwzględniające wyższy niż w innych zawodach wiek pracowników.

eprasa.pl 6b5ff1c250

W niektórych profesjach nikogo nie dziwią aktywni 70-latkowie, a w wielu szpitalach i na uczelniach można spotkać czynnych zawodowo 80-latków. Najstarszy lekarz w Polsce, dr pulmonolog Zbigniew Wlazło, ma 93 lata, a za sobą 65 lat pracy z pacjentami. Kiedy w latach 60. XX wieku stawiał pierwsze kroki w zawodzie, gruźlica zbierała jeszcze wielkie żniwo, a na terenie szpitala były tylko dwa aparaty rentgenowskie. Praca na takim oddziale była niebezpieczna i łączyła się z groźbą zarażenia prątkami gruźlicy. Doktor Wlazło zdecydował jednak, że zajmie się tą dziedziną, bo stawiała przed lekarzami duże wyzwania; potem zaczął specjalizować się w chorobach płuc. W 2002 r. przeszedł na emeryturę, ale nadal przyjmuje pacjentów, już jako wolontariusz, w Podkarpackim Centrum Chorób Płuc w Uniwersyteckim Szpitalu Klinicznym w Rzeszowie.

– Trudno mi się rozstać z zawodem, czuję się wciąż potrzebny, mam pacjentów, którym pomagam. A w domu tylko kapcie i telewizor – przyznaje dr Wlazło. – Kiedy zaczynałem pracę, warunki i w szpitalu, i w przychodni były fatalne. Pacjentów było tak wielu, że nie mogliśmy wszystkich położyć na łóżkach, leżeli na noszach. W nocy były dwa, trzy zgony. Dziś sytuacja jest nieporównywalna, dlatego chce mi się pracować.

Mapa potrzeb medycznych na lata 2022-2026, przygotowana przez Ministerstwo Zdrowia, pokazuje jeszcze gorsze dane niż ZUS: kadra w wieku emerytalnym ma stanowić już 25 proc. zatrudnionych. To głównie lekarze i stomatolodzy, rzadziej w zawodzie pozostają pielęgniarki czy położne.

Podobna sytuacja panuje w szkolnictwie. Dziś w placówkach edukacyjnych pracuje ponad 74 tys. nauczycieli w wieku emerytalnym, 70 proc. z nich w miastach powyżej 5 tys. mieszkańców. Najstarszym pedagogiem jest 88-letni nauczyciel fizyki. Osób w wieku 50-59 lat jest 179 tys., co stanowi ponad 25 proc. zatrudnionych w tym zawodzie.

– Są to nauczyciele różnych przedmiotów. Nie ma raczej tendencji ku jednej dziedzinie naukowej – informuje Ewelina Gorczyca, rzecznik prasowy MEN.

U mnie nie ma telefonów

Emilia poprawia okulary i prosi, by w artykule zmienić jej nawet imię. Nie chce, żeby rozpoznali ją uczniowie, a tym bardziej ich rodzice, i dowiedzieli się, ile ma lat. Na temat jej wieku krążą w szkole legendy, było już nawet kilka zakładów. Emilia w tym roku skończy 77 lat, ale robi wiele, by wyglądać 10 lat młodziej. Uczy matematyki w warszawskim liceum i zapewnia, że nie ma problemu z dyscypliną na lekcjach. Wystarczy, że zamilknie i dłużej spojrzy, a w klasie zapada cisza.

PROF. PIOTR SZUKALSKI, DEMOGRAF:

O ile mogę sobie wyobrazić, że nauczyciel czy lekarz pracuje po 70. urodzinach, to jest to dużo trudniejsze w przypadku pracowników budowlanych czy kierowców.

– Jak ktoś chce dobrze zdać maturę z matematyki na poziomie rozszerzonym, to musi być skupiony i robić dużo zadań, a nie grać w popularne gry edukacyjne i patrzeć w telefon. Moi podopieczni to rozumieją – twierdzi.

Emilia dobrze czuje się przy tablicy. Lubi kontakt z młodzieżą i podkreśla, że dzięki niemu orientuje się w trendach popkultury i umie sprawnie funkcjonować w mediach społecznościowych. Ma w telefonie najnowsze aplikacje i dzięki uczniom umie z nich korzystać. I choć od dawna wybiera się na emeryturę, dyrektor liceum pod koniec każdego roku prosi ją, by została, bo nie ma nikogo na jej miejsce, a ona jest ceniona w szkole.

Pieniądze nie są najważniejszą motywacją Emilii; bardziej sama praca, która daje jej poczucie, że jest potrzebna, otwiera ją na nowych ludzi. Kiedy więc spotyka się z koleżankami w swoim wieku, wraca przygnębiona, bo one ciągle mówią o chorobach. Nie mają ochoty wyjść do kina czy do teatru, nie chce im się robić niczego aktywnego, a nawet kupić nowej sukienki. „Po co, przecież i tak niedługo umrę", usłyszała niedawno kolejny raz.

– Przejście na emeryturę jest dla wielu osób trudnym doświadczeniem. Przeżywają coś w rodzaju „żałoby po utracie pracy", gdyż rola, którą pełniły w życiu zawodowym, bardzo często buduje ich tożsamość. Odejście z pracy wymaga zdefiniowania siebie na nowo: w oparciu o własne „ja", a nie o dotychczasowe funkcje – uważa Katarzyna Jarzyńska, psycholożka, która wspiera seniorów w warszawskiej Fundacji Pomocy Psychologicznej i Edukacji Społecznej „Razem". – Jest to niełatwy czas, w którym mogą się budzić zagłuszane w pracy lęki oraz traumy z dzieciństwa.

Jarzyńska dodaje, że w przestrzeni publicznej lansowany jest wzorzec aktywnego seniora czy seniorki, która ćwiczy jogę, korzysta z życia, jeździ na rowerze, jest użyteczna. Jeśli ktoś nie wpisuje się w taki model, ma inny pomysł na siebie lub w ogóle go nie ma, może czasem paradoksalnie doświadczyć strachu przed przejściem na emeryturę. Takie osoby przedłużają życie zawodowe dopóki pozwala im na to zdrowie, praca jest dla nich rodzajem ucieczki przed nieznanym.

Na biegówkach

Henryk Ostrykiewicz zaliczył pierwszy maraton po sześćdziesiątce, ale biegał od dziecka. Uciekał przed bratem, który próbował, kiedy rodzice szli pracować w polu, przywiązywać go do drzewa. Czasem mu się to zresztą udawało i wtedy Henryk biegał wokół tego drzewa na sześciometrowym sznurku. Przygodę z dzieciństwa opowiada z przymrużeniem oka w przerwach między wydawaniem nart biegowych amatorom sportów zimowych w Tomaszowie Lubelskim. Czasem też zakłada narty i pomaga opanować technikę jazdy debiutantom.

Tak go poznałam. Kilka konkretnych wskazówek i ćwiczeń wystarczyło, żebym poczuła się pewnie i radośnie na roztoczańskich szlakach. Henryk ma 78 lat i wciąż jest trenerem, maratończykiem i narciarzem biegowym. W 2019 r. podczas Mistrzostw Świata Weteranów zdobył brązowy medal, a na biegówkach zaliczył z sukcesami dziesięć biegów Piastów. Od 1972 r. trenuje osoby z niepełnosprawnościami, a od ponad 20 lat przygotowuje zawodników do Olimpiad Specjalnych w Polsce. Jest sędzią w narciarstwie biegowym. ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ – Dzięki sportowi objechałem cały świat, byłem w Kanadzie, Japonii, USA. Sędziowałem w Dublinie, Atenach, a w Abu Dhabi było nas tylko dwóch sędziów z Europy. Praca daje radość, lubię kontakt z ludźmi, a bez sportu to już w ogóle sobie nie wyobrażam życia. Mam do pracy 5 km i biegam tam w formie treningu, a zimą zapinam narty biegowe. Nie ma sensu odpalać samochodu na taki dystans – śmieje się Ostrykiewicz.

Eksperci podkreślają, że praca na emeryturze powinna być wyborem, a nie koniecznością. I jeśli wynika z pasji, z chęci realizowania talentów, ma dobry wpływ zarówno na pracownika, jak i na społeczeństwo. Znacznie gorzej, jeśli ludzie nie mają wyboru i świadczą pracę, żeby móc opłacić rachunki i zrobić niezbędne zakupy.

Starzejemy się w różnym tempie, czasem zapadając na choroby, które są wynikiem wykonywanej pracy. Powinniśmy mieć więc zagwarantowane prawo do odpoczynku na ostatnim etapie życia. I teoretycznie tak właśnie jest, ale w praktyce coraz więcej osób będzie zmuszonych do zarobkowania na emeryturze. Raport Polskiej Sieci Ekonomii przygotowany dla ZUS i opublikowany w styczniu 2025 r. pokazuje, że miliony osób są zagrożone emerytalnym ubóstwem. Choć dr Janina Petelczyc i dr Tomasz Lasocki, autorzy raportu, skupili się głównie na analizie przyszłych świadczeń samozatrudniających się pracowników, tzw. jednoosobowych działalności gospodarczych, to zarazem podkreślają, że osoby pracujące na etacie borykają się z tymi samymi problemami.

– Trudno mi sobie wyobrazić, że polski rząd podniesie w najbliższym czasie wiek emerytalny, bo wszyscy pamiętamy, jak to się skończyło dla Platformy Obywatelskiej, kiedy w 2012 r. partia ta próbowała przedłużyć okres aktywności zawodowej Polaków do 67. roku życia. Bardziej prawdopodobne jest to, że sytuacja ekonomiczna po prostu wymusi na seniorach pracę, bo inaczej nie będą w stanie żyć w godnych warunkach – podsumowuje prof. Piotr Szukalski.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Profesor z ludu

MAREK KĘSKRAWIEC

POLITYKA | Rozdartą przez walki frakcyjne partię miał pogodzić kandydat z zewnątrz, jednak Jarosław Kaczyński nie zaryzykował inwestycji w anonimowego samorządowca. Uznał, że „lepszy zły znany niż dobry nieznany”.

Na półtora roku przed wyborami parlamentarnymi prezes PiS potrzebuje nie tylko charyzmatycznego kandydata na premiera, ale też zakopania toporów między dwoma najbardziej zwaśnionymi obozami w swojej partii. Tego zaś nie gwarantował promowany ostatnio 40-letni prezydent Stalowej Woli Lucjusz Nadbereżny – ma zbyt mały autorytet na prawicy, a Kaczyński zbyt trudną sytuację we własnym obozie, by podjąć aż takie ryzyko.

W wyborach w 2019 r. PiS zdobył niemal 44 proc. głosów. Od tego czasu uciekła mu połowa elektoratu, ale nie tyle poza obóz prawicy, co do obu Konfederacji, ugrupowań młodszych i mniej zgranych. Trend ten ma odwrócić Przemysław Czarnek ze słynnej frakcji „maślarzy”, zwalczającej konkurencyjną grupę „harcerzy”, skupioną wokół Mateusza Morawieckiego (były premier od miesięcy odbywa udany tour po mediach, gdzie prezentuje się jak polityk niemalże centrowy).

Szklany sufit premiera

W erze silnych przetasowań po stronie koalicji rządzącej Morawiecki miałby szansę na łowienie wyborców umiarkowanie konserwatywnych, którzy jesienią 2023 r. głosowali przeciwko PiS nie tyle z nienawiści, co ze zmęczenia 8-letnią epoką nieustannych konfliktów. Po ponad dwóch latach wielu z nich, zwłaszcza w elektoracie dawnej Trzeciej Drogi, jest zawiedzionych rządem Donalda Tuska. Umiarkowany PiS mógłby ich nęcić.

eprasa.pl 6b5ff1c250

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Przemysław Czarnek na konferencji prasowej na stacji Orlen. Warszawa, 9 marca 2026 r.

Kłopot w tym, że Morawiecki raczej nigdy nie był dla Kaczyńskiego główną opcją. Fakt: od lat pozostaje najpopularniejszym politykiem PiS, i to mimo rządów naznaczonych pandemią, kryzysem na granicy i pełnoskalową wojną w Ukrainie. Tyle że w samej partii traktowany jest wciąż trochę jak przeszczep od liberałów i na dodatek twarz kompromisów z Brukselą, o których PiS wolałby zapomnieć. Również badania opinii miały przekonać Kaczyńskiego, że Morawiecki nie da mu wygranej: staranie się o poparcie centrowych wyborców ma być stratą czasu. Prędzej nie pójdą do urn, niż zagłosują na PiS.

Problemem Morawieckiego jest również to, że partia do ewentualnego rządzenia będzie potrzebowała koalicjantów. Tymczasem Konfederacja odrzuca sojusz, w którym były premier miałby wrócić na dawne stanowisko. Jeszcze gorsze zdanie o Morawieckim, ciągnące się od czasów lockdownu, mają koroniarze Grzegorza Brauna. Trudno się więc dziwić, że Kaczyński uznał, iż przy Morawieckim nawet jak coś ugra w centrum, to równocześnie wielu wyborców ucieknie mu na prawo. Czasy, gdy PiS był tam jedyną poważną siłą, dawno minęły. W kolejnych sondażach widać regułę: partia Kaczyńskiego ma podobne poparcie co dwie Konfederacje. Bez przynajmniej jednej rządzić się nie da.

Sprzeczne zadania

Kaczyński potrzebuje dziś kandydata posiadającego dwie cechy. Musi to być osoba popularna i zapewniająca jedność w elektoracie PiS oraz dająca wiarę, że z Sejmu nie będzie musiała się po wyborach ewakuować połowa dzisiejszego klubu. Zarazem musi być to człowiek tolerowany przez ewentualnych koalicjantów. Morawiecki się do tego nie nadaje – prezes postawił więc na Przemysława Czarnka.

Z pozoru to najlepsze rozwiązanie: 48-letni poseł, były minister edukacji, profesor KUL, człowiek pełen energii. Jednocześnie jako jedyny z frakcji „maślarzy" dbał przez ostatnie miesiące, by nie popaść w otwarty konflikt z Morawieckim. To ważne, bo w PiS podejrzewają, że marginalizowanie byłego premiera skończy się odejściem jego grupy. Czarnek ma temu przeciwdziałać, a może nawet uczynić byłego premiera wicepremierem.

Równocześnie przed kandydatem PiS stoją dwa trudne, trochę wykluczające się zadania. Ze swoimi konserwatywnymi i wyrażanymi w mało dyplomatyczny sposób poglądami Czarnek ma ruszyć do walki z obiema Konfederacjami i przywrócić wiarę, że PiS nie jest partią działaczy podstarzałych, utuczonych na władzy. Starcie będzie na pewno ostre, więc może automatycznie wykluczyć drugą z misji: budowania powyborczej koalicji. Nawet jeśli Czarnek należy dziś do najlepiej odbieranych w Konfederacji polityków PiS, to szybko ten atut straci, walcząc z nią o wyborców. Zresztą, już w niedzielę jej liderzy wypomnieli kandydatowi PiS niechlubną Willę Plus i lex Czarnek. Z kolei koalicję z prorosyjskim i antysemickim odłamem Brauna wyklucza z góry sam Kaczyński – to zresztą kolejny problem Czarnka, który widziałby taki sojusz.

Jeśli kandydat nie podoła misji, zostanie potraktowany jak zderzak, a ostatecznym nominatem zostanie ktoś inny, np. szef prezydenckiej kancelarii Zbigniew Bogucki. Ale to by oznaczało konieczność dogadania się prezesa PiS z Karolem Nawrockim i jakieś koncesje na jego rzecz. Zresztą, sam Bogucki nie pali się do zmiany pracy.

Normalność, czyli węgiel

Pierwszy występ Czarnka był spektakularny. Obiecał, że nie „będzie żadnego oze sroze" ani ETS; nazwał Tuska „pustym łbem"; uznał władze Ukrainy za „bezczelne"; zdefiniował związki partnerskie jako relację „trzech chłopów" lub „czterech pancernych i psiecka"; poparł trzymanie psów na łańcuchach, bo nie rzucają mu się do kostek, gdy jedzie na rowerze; zapowiedział powrót „do normalności", czyli do węgla. W jednym przemówieniu.

Kandydat z takimi poglądami będzie miał wyboistą drogę do kancelarii premiera; na pewno zagna do urn tysiące przerażonych liberałów, którzy przy innym kandydacie PiS mogliby nie pójść na głosowanie. Kaczyński gra więc ryzykownie. Jeżeli jednak uznał, że zamiana PiS w Suwerenną Polskę 3.0 przyniesie więcej owoców, wybrał dobrze nie tylko z uwagi na poglądy, ale też filmowy życiorys kandydata.

Czarnek szybko stracił rodziców: ojciec zmarł na stwardnienie rozsiane, matka na raka. W dorosłość wchodził pod skrzydłami wuja, księdza Jerzego Pałuckiego, wykładowcy KUL. To on posłał go do liceum, gdzie miał opinię zdolnego, ale nielubiącego się przemęczać ucznia. Zarazem sprawiał wrażenie osoby dojrzalszej niż rówieśnicy.

Na kreatywność i ambicję Czarnka (był już wtedy asystentem na KUL) zwrócił uwagę lokalny baron PiS, poseł Sławomir Zawiślak. Wypromował go tak szybko, że gdy 38-letni doktor prawa zostawał wojewodą lubelskim, w żadnej z lokalnych redakcji nie było jego życiorysu. Początkowo lubili go nawet niechętni PiS dziennikarze: za bezpośredniość, dobre puenty i tytaniczną pracę. Czarnek jeździł do najmniejszych gmin, czym przyćmił cały lubelski PiS. Z czasem stawał się jednak coraz bardziej butny i chamski. W 2018 r. lubelski Marsz Równości nazwał promocją „zboczeń, dewiacji i wynaturzeń".

Ale właśnie wtedy wszedł na salony, bo jako profesor z przykładną rodziną mówił to samo, co pisowski lud, prezentując przy okazji potężną odporność psychiczną – zaprowadziło go to do gabinetu ministra edukacji, gdzie dawał odpór „lewactwu". Za półtora roku ma dostać zadanie wychowywania już nie tylko młodzieży, ale nas wszystkich. ©℗

eprasa.pl 6b5ff1c250

OLGA

Drenda:
Era Zająca

Nic nie sprzyja innowacji i wynalazczości tak bardzo jak perspektywa oszustwa. Pewien ślusarz i racjonalizator, wsławiony zbudowaniem wielu pomysłowych urządzeń w swojej okolicy, twierdził wprawdzie, że motywowało go własne lenistwo, co jest uroczym wyjaśnieniem o dużym potencjale komicznym, ale obstawiam, że jednak kanciarstwo wygrywa. Utwierdzam się w tym, śledząc doniesienia o przygodach z wprowadzonym niedawno systemem kaucyjnym. Jako człowiek podatny na pokusy rywalizacji, wciągnęłam się w ten sport i wygospodarowałam specjalny kącik na zwrotne opakowania po soku marchewkowym. Ja jestem jednak tylko małym żuczkiem i podczas kiedy wrzucam sobie do automatu te moje nędzne butelczyny, gdzie indziej pracują mózgi geniuszy. Geniuszy inżynierii występku, należy dodać. Z wypiekami na twarzy śledziłam doniesienia o ludziach, którzy oszukiwali system recyklingowy, od sposobów wręcz dziecinnych po bardzo zaawansowane. Pewien właściciel małego sklepu w Niemczech podobno wyposażył swój recyklomat w tunel magnetyczny, który pozwalał mu skanować jeden kod bez końca, nabijając w ten sposób kilkadziesiąt tysięcy euro.

Polski Bugs

OLGA DRENDA

Doceniać na swój sposób inwencję i spryt to oczywiście nie to samo, co pochwalać czyjś czyn (co podkreślam specjalnie wirtualnym flamastrem, bo teraz trzeba wykładać kawę na ławę i uwzględniać wszystkie możliwe zastrzeżenia, niestety). Ale jest coś zdumiewającego w synergii technologii i oszustwa, a przede wszystkim w tempie, w jakim się pojawia. Zanim zwyczajni użytkownicy nauczą się, jak korzystać z nowego rozwiązania, sprytny oszust już dawno namierzył jego słabe punkty. Filozof Paul Virilio wygłosił słynne zdanie, że wraz z wynalezieniem statku wynaleziono także katastrofę morską. Innymi słowy, każdy nowy wynalazek oprócz rozwiązania jakiegoś problemu przynosi też nieznane wcześniej klęski. Wraz z recyklomatami powstały nowe, wyrafinowane sposoby wyciągania pieniędzy, wraz z cyfrowym generatorem głosów wynaleziono nowy wariant oszustwa na wnuczka, wraz z mediami społecznościowymi – nowe odmiany piramid finansowych czy podszywania się pod cudze tożsamości. Często sposoby te są zdumiewająco nieskomplikowane, zmontowane z trzech patyczków i gumy do żucia. To pokazuje ciekawą prawidłowość – nowe systemy i wynalazki są testowane dokładnie pod kątem potencjalnych dziur i słabości, a mimo to często udaje się komuś wpaść na śmiesznie prosty pomysł obejścia zabezpieczeń.

Oszustwa i przekręty oczywiście na ogół powiększają zasób ludzkiego nieszczęścia. Ale spopularyzowana przez memy klasyfikacja charakterów postaci w grze Dungeons&Dragons podpowiada działające na wyobraźnię kategorie: „praworządny zły", czyli działający zgodnie z zasadami czy prawem, lecz w złych zamiarach, i „chaotyczny dobry", czyli przewrotny, ale w zbożnym celu. Tak, oczywiście, to gra, fikcja, ale do tego fikcja także służy: ilustruje zjawiska, dla których być może wcześniej nie mieliśmy zwięźle trafnego słowa. Zresztą historia także obfituje w przykłady, gdy hakowanie czy sabotaż przynosiły efekt nie niszczycielski, a ratunkowy, za to w majestacie prawa niejednokrotnie siano destrukcję. Liczne mitologie tę ambiwalencję zamykają w postaci trickstera – bóstwa, które nie jest z zasady dobre ani złe, ale posługuje się w swoich działaniach sztuczką i podstępem. Zazwyczaj za uosobienie tej tendencji w mitach uchodził zając, czego echem jest do dziś postać zdolnego okiwać silniejszych od siebie Królika Bugsa.

Kto wie, być może wchodzimy znowu w erę Zająca. Liczne powstające dzisiaj wynalazki, zwłaszcza pochodzące z pewnej doliny bynajmniej nie Muminków, nie sprawiają wrażenia, jakby miały działać na korzyść przeciętnego człowieka, za to potencjał możliwych metod zniewalania i szkodzenia przy ich udziale jest do wyobrażenia nawet przez zupełnego laika. Ale w każdym systemie są dziury, które potrafi wykryć skaner spryciarza. To daje mi dziwny spokój o losy ludzkości – hakowanie poczciwych i pożytecznych przecież recyklomatów kiedyś się znudzi, a potrzebą chwili mogą stać się samoróbkowe metody samoobrony przed szpiegowaniem i nadużywaniem danych osobowych. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl 6b5ff1c250

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

fot. Grażyna Makara

Wiarygodność stała się nadrzędnym dobrem.
I o nią głównie staramy się dbać.
Naszą marką jest suwerenność: sami odpowiadamy za publikowane tu treści i nikt poza Wami, Czytelnikami, nie ma na nie wpływu.

Ks. Adam Boniecki

Dziękujemy, że są Państwo z nami – z pismem, które szuka sensu tam, gdzie inni widzą sensację.
Dzięki Państwa wsparciu możemy co tydzień tworzyć przestrzeń do rozmowy o społeczeństwie, kulturze i duchowości – o świecie, który ma wiele stron, a każdą z nich warto przeczytać ze zrozumieniem.

PREZENT:
Smaki. Notes kulinarny*
TYLKO do 24 marca!

OFERTA CENOWA:

InPost	Roczna	cena **686 zł**
	Półroczna	cena **366 zł**

Zamówienia prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	cena **687 zł**
	Półroczna	cena **367 zł**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”,
ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00),
adres e-mail w sprawie prenumeraty: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

** Notes wyślemy do połowy kwietnia.*

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 6b5ff1c250

OPINIE

POD PARASOLEM MACRONA

Francja oferuje Europie udział w systemie odstraszania nuklearnego. Czy jej oferta zwiększy nasze bezpieczeństwo w obliczu zagrożenia ze strony Rosji?

MARCIN GIEŁZAK

Najwybitniejszy francuski wódz od czasów Napoleona, marszałek Ferdinand Foch, w decydującym momencie zwycięskiej bitwy nad Marną (1914) złożył historyczny meldunek: „Moje centrum ustępuje, moja prawa flanka idzie w rozsypkę, nie ma żadnego pola manewru. Sytuacja idealna. Atakuję".

Wydaje się, że w podobnym stanie ducha znajduje się dziś francuska elita przywódcza. Prezydent bez społecznego poparcia i kolejni powoływani przezeń premierzy bez parlamentarnej większości bardziej administrują niż rządzą. Relacja długu do PKB wynosi dwukrotność limitu ustanowionego w Maastricht, a deficyt sięga 5,5 proc. PKB, co jest jednym z najgorszych wyników w strefie euro. Wzrost gospodarczy? Poniżej 1 procenta. Bezrobocie? Urosło do niemal 8 procent.

YOAN VALAT / AFP / EAST NEWS

eprasa.pl 6b5ff1c250

Francuski model społeczny też przechodzi kryzys: coraz szersze połacie kraju pokrywają „pustynie medyczne", gdzie ciężko uzyskać pomoc specjalisty, młodym trudno o pierwsze mieszkanie. Wybuchające co jakiś czas zamieszki pokazują, że nie osłabły ani problemy z integracją imigrantów, ani uzasadnione frustracje prowincjonalnej „dolnej Francji".

REPUBLIKA KONTRATAKUJE | Wbrew tym trudnościom, a może właśnie z ich powodu, w swojej drugiej kadencji Emmanuel Macron skupił się na kwestiach zagranicznych i obronnych. W obszarze, który składa się na „domenę zastrzeżoną" prezydenta, bilans ostatnich miesięcy wygląda już znacznie korzystniej.

Francja z powodzeniem prowadzi nową Ostpolitik, zwiększając wpływy na dawnym rosyjskim podwórku: od Armenii przez Kazachstan po Mongolię. Podpisuje kontrakty na wspólne wydobycie uranu czy metali ziem rzadkich, wygrywa przetargi przy projektach infrastrukturalnych, sprzedaje broń i satelity, bierze udział w ćwiczeniach wojskowych, a nawet buduje uniwersytet francusko-uzbecki w Taszkencie.

Otwiera się na Afrykę inną niż frankofońska, przeprowadza „reset" z Czadem, pomaga udaremnić prorosyjski zamach stanu w Beninie. Istnieją poszlaki, że weszła w szkodę Rosjanom w Mali, koordynując antywagnerowskie operacje z obecnymi tam służbami... ukraińskimi.

Sukcesy odnotowała też na morzach, zajmując dwa rosyjskie tankowce, w tym jeden przewożący 600 tys. baryłek ropy. Na obszarze Indopacyfiku udało się przekroczyć historyczne podziały z dawną kolonią, Wietnamem, ustanawiając strategiczne partnerstwo w obszarach AI, przemysłu lotniczego i kosmonautycznego. Francuskie jednostki chronią wolność żeglugi na Morzu Czerwonym oraz podmorskie kable i rurociągi na północ od Norwegii.

Francja podtrzymuje również status drugiego największego eksportera broni na świecie, pozyskując kontrakty w Indiach i Indonezji, w Holandii i Maroku. Znaczenie prestiżowe ma sprzedaż systemów obrony przeciwlotniczej SAMP/T Danii, która wybrała je zamiast amerykańskich Patriotów.

Dalej: Paryż przewodził koalicji państw, które uznały Palestynę. Kiedy trzeba było, poderwał samoloty, by osłaniać niebo nad Jordanią przed irańskimi atakami w 2024 r., a dziś jest gotów zaoferować podobne wsparcie innym krajom regionu. Wojskowo pozostaje obecny w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Libanie, Iraku, Dżibuti.

REAKTOR JAK KATEDRA | Cała ta aktywność jest jednak drugorzędna wobec zasadniczej ambicji Macrona: sprawić, by Europa była czymś więcej niż pojęciem geograficznym.

Nie jest to przejaw idealizmu czy bezinteresownej wielkoduszności. Obecny szef państwa na swój sposób próbuje realizować testament de Gaulle'a, który powiedział: „odwróciliśmy skutki roku 1940, teraz musimy odwrócić skutki roku 1815". Innymi słowy: zadaniem pozostaje przywrócenie Francji pozycji dominującego mocarstwa na kontynencie i supermocarstwa w skali globalnej.

Ta ambicja przekracza możliwości średniego państwa o średnim potencjale. Dla jej urzeczywistnienia potrzeba demograficznego, gospodarczego i militarnego potencjału całej Unii. Tylko wtedy Paryż mógłby rozmawiać na równych prawach z Amerykanami czy Chińczykami. Francja chce stać się Piemontem dla naszych Włoch, Prusami dla naszych Niemiec.

Reszta państw Wspólnoty musiałaby jednak chcieć uznać jej przywództwo. Jak ich przekonać? Za czasów prezydentury Georges'a Pompidou można było jeszcze wierzyć, że Heksagon, jak zwie się czasem kraj nad Sekwaną, zdominuje kontynent gospodarczo; dziś to mrzonki. Nie udało się dogonić Niemiec na tym obszarze. Niedawne głosowanie w sprawie Mercosur pokazało, że Berlin zachowuje lepszą zdolność koalicyjną od Paryża. RFN ma też zdolność lewarowania swojej pozycji poprzez bliskie relacje z USA; ta ścieżka dla programowo suwerenistycznej Francji jest zamknięta.

Chroniczna niestabilność polityczna i kryzys zadłużenia sprawiają, że Republikę trudno stawiać za wzór prowadzenia spraw państwowych. Nawet w domenie *soft power* bilans jest niejednoznaczny, o czym świadczy wciąż słabnąca pozycja języka francuskiego.

Co pozostaje? Jak powiedziała Gabrielle Hecht, dla dzisiejszej Francji reaktor atomowy jest tym, czym dla średniowiecznej była katedra. Tak cywilne, jak i wojskowe zastosowania potencjału jądrowego pozostają unikalnym atutem Paryża. O ile więc na spokojne czasy niemiecka oferta wydaje się lepsza, to w czasie przedwojnia francuska „autonomia strategiczna", „samowystarczalność energetyczna", „suwerenność obronna" brzmią przekonująco.

W ostatnich dniach zwyczajowo antyfrancuski „The Economist" pisze o „tym nieznośnym uczuciu, że Francuzi mieli rację", a torys i brexitowiec Michael Gove wyznaje, że marzy ↦

Żołnierze francuskiej marynarki wojennej na pokładzie okrętu podwodnego z napędem atomowym przed wizytą prezydenta Macrona. Baza na wyspie Île Longue w Crozon, 2 marca 2026 r.

asa.pl 6b5ff1c250

mu się „angielski gaullizm", czyli wojskowa, technologiczna i nuklearna niezależność. Sam kanclerz Merz nie kryje zainteresowania zbliżeniem z Heksagonem na niwie obrony, szczególnie w domenie odstraszania atomowego.

Po 1945 r. Francja wzięła udział w ponad stu konfliktach zbrojnych. Jej wojska zdobywając Bizertę, Kolwezi czy Timbuktu pokazały, że nie zapomniały, jak się walczy. Asertywna obecność Republiki na wschodniej flance NATO – w Estonii i Rumunii – kontrastuje z nieporadnymi próbami uformowania niemieckiej brygady na Litwie. W ostatnich dniach, znów, to Paryż posłał marynarkę wojenną na pomoc Cyprowi.

Kiedyś jeden z naszych dyplomatów powiedział mi, że Francja to „państwo w starym stylu, takie, które wciąż egzystuje w historii: jego armia się bije, jego wywiad zabija i kradnie tajemnice handlowe, jego przemysł pracuje na rzecz wojny". Mówiąc krótko: dożyliśmy czasów, kiedy Niemcy są z Wenus, a Francuzi z Marsa.

Wniosek? Republika może przewodzić Europie tylko jeśli państwa kontynentu uwierzą, że francuskie zapewnienia podniosą poziom ich bezpieczeństwa. A nic tak silnie nie kojarzy się z bezpieczeństwem, jak posiadanie bomby atomowej.

MARS I MARSYLIANKA | Zgodnie z republikańską tradycją prezydent powinien w ciągu każdej kadencji wyłożyć aktualną doktrynę odstraszania atomowego. Macron zrobił to zgodnie z duchem czasów: dbając o zasięgi w mediach społecznościowych.

Wybór miejsca był oczywiście nieprzypadkowy: bazę marynarki wojennej Île Longue sam de Gaulle wskazał na siedzibę morskiego komponentu sił odstraszania nuklearnego. Prezydencki samolot przybył na miejsce eskortowany przez Rafale B, należące do strategicznych sił powietrznych: tych zdolnych przenosić broń masowego rażenia. Mowę, która wzbudziła takie zainteresowanie, Macron wygłosił mając za plecami okręt podwodny klasy Triomphant, uzbrojony w zmodernizowane pociski balistyczne z ładunkiem termojądrowym M51.3.

W tych warunkach odśpiewana przez dostojników „Marsylianka" wybrzmiała szczególnie przekonująco. Swoją drogą, za pierwszej kadencji obecnego prezydenta aranżacja hymnu była szybsza i bardziej marszowa; miała się kojarzyć ze śmiałością i werwą. W Île Longue wrażenie było inne: dostojeństwa i powagi.

Macron musiał przekonać Europejczyków, że jest gotów „podzielić się" arsenałem nuklearnym, ale uspokoić Francuzów, że zachowa kontrolę nad jego użyciem. Musiał sprawić, by nowa doktryna przemówiła do partnerów, ale nie dostarczając nadmiaru informacji nieprzyjaciołom.

Próbą pogodzenia tych zamierzeń jest doktryna „wysuniętego odstraszania". W praktyce sprowadza się do ustanowienia obecności francuskich powietrznych sił strategicznych na terytoriach wybranych europejskich sojuszników i „europeizacji" ćwiczeń atomowych „Poker". Francja zwiększy liczbę głowic nuklearnych, zastrzegając, że od tej pory nie będzie komunikować otwarcie, ile ich posiada. W tym scenariuszu nieprzyjaciel (czytaj: Rosja) nie wie, ani na ile bomb ma być gotowy, ani z jakiego kierunku będą nadlatywać.

Francja utrzymuje, że chce chronić rozległe obszary UE.
Kreml może założyć, że kto chce osłaniać wszystkich, w praktyce nie osłoni nikogo.

Macron podkreśla, że decyzja o użyciu broni jądrowej pozostanie w rękach prezydenta Republiki. Nie będzie „czerwonych linii", po przekroczeniu których byłby zobowiązany odpowiedzieć przy użyciu bomby atomowej. Nie będzie, jak w NATO, Grupy Planowania Nuklearnego, w ramach której sojusznicy omawiają możliwe scenariusze. Nie będzie możliwości, aby bomby zrzucali inni piloci aniżeli francuscy.

Oznacza to, że Paryż proponuje nie aktywne, ale pasywne partnerstwo w zakresie odstraszania atomowego. Sojusznicy mogą udostępnić terytorium, mogą brać udział w ćwiczeniach, mogą zapewnić wsparcie, ale nie mogą uczestniczyć w procesie decyzyjnym. Czy to z polskiego punktu widzenia gorsze warunki niż amerykańskie? Sęk w tym, że Francja sformułowała wobec nas jakąkolwiek ofertę – USA nadal nie przemówiły językiem konkretu.

NA ŁASCE PARYŻA? | Z tej wielkiej chmury atomowej może być jednak bardzo mały deszcz: rzecz może się skończyć na rotacyjnym stacjonowaniu w kilku bazach francuskich samolotów zdolnych przenosić ładunki atomowe, ale nieuzbrojonych. Przelatywanie nad terytorium sojuszników z bombami atomowymi nie było dotąd praktykowane tak ze względów dyplomatycznych, jak i bezpieczeństwa.

Wprowadzony zostanie więc, tylko i aż, element niepewności: w chwili kryzysu można byłoby przenieść głowice do Polski, Grecji czy Szwecji, ale nie byłyby tam składowane w sposób ciągły. Alianci mogliby brać udział w ćwiczeniach „Poker", dostarczając ich komponent konwencjonalny.

Mówiąc prościej: przypadłaby nam rola tych, którzy zapewnią razem z Francuzami obstawę dla Rafali uzbrojonych w broń atomową, czy oczyszczą im drogę z systemów obrony przeciwlotniczej. Oczywiście, chcielibyśmy większego zaangażowania i bliższej współpracy, ale przemówienie Macrona o tym nie przesądza.

Nie traćmy z oczu aspektów czysto operacyjnych, bo wpływają na wymiar polityczny. Francja nie wraca do pełnej triady nuklearnej, czyli do zdolności przeprowadzenia ataku z lądu, wody i powietrza. Silosy, jak te, które do 1996 r. znajdowały się na płaskowyżu Albion, to nazbyt łatwe cele w czasach naddźwiękowych, hiperprecyzyjnych rakiet. Republika stawia na elastyczność i dynamikę, które ma zapewniać zmodernizowana „diada", czyli pociski przenoszone przez samoloty i okręty podwodne.

Nie ma mowy o odtworzeniu potencjału taktycznego, czyli słabszych głowic nuklearnych, użytecznych na niższych szczeblach drabiny eskalacyjnej. Francuzi wychodzą z modelu „wszystko albo nic", jeśli mowa o użyciu broni masowego rażenia. Właśnie w tym celu rozważają rozlokowanie w wybranych państwach samolotów zdolnych przenosić ładunki o mniejszej sile. Również w tym celu, jak się zdaje, rozwijają produkcję rakiet o zasięgu 2000 km, dając sobie możliwość odpowiedzi stanowczej, ale nadal „przednuklearnej".

Oznacza to, że kraj posiadający na swoim terytorium francuską broń atomową będzie w praktyce na łasce Paryża. W razie pogorszenia relacji można sobie wyobrazić wycofanie tego

eprasa.pl 6b5ff1c250

potencjału. Samo zagrożenie takim posunięciem będzie miało moc sprawczą. A Republika korzysta tak czy inaczej, bo zyskuje kartę przetargową w rozmowach i z europejskimi sojusznikami, i z Rosją.

Stworzenie „atomowego archipelagu" od Szwecji po Grecję dałoby przecież Paryżowi bezcenną głębię strategiczną. Wróg musiałby się liczyć z atakami z wielu stron; na unieszkodliwienie naddźwiękowego pocisku odpalonego z terytorium pobliskiej Polski miałby znacznie mniej czasu.

Dla Francji ta taktyczna mobilność jest atrakcyjna, ale jej alianci woleliby strategiczną pewność. Na „francuskie silosy" nie ma jednak co liczyć. Trzeba szukać innych sposobów, by ich siły odstraszania mocniej zakotwiczyć, a relacje ułożyć bardziej partnersko. Inaczej ryzykujemy wymianę Trumpa na mini-Trumpa, czyli lidera równie transakcyjnego, ale niemającego amerykańskiego potencjału.

PARYŻ, MOSKWA, PRZEKLĘTY CYKL | Wcześniej przekaz był prosty: inwazja na Francję skończy się nuklearną zagładą agresora; jak powiedział sam Macron: „po naszym ataku nikt się już nie podniesie". W istocie: najsilniejsza bomba zdetonowana przez Francuzów, „Canopus", była 170 razy potężniejsza od tej, która spadła na Hiroszimę. Rozszerzone odstraszanie komplikuje ten przekaz. Do tej pory, na bazie deklaracji z Chequers i Lancaster House, można było sądzić, że Paryż i Londyn użyją broni atomowej w obronie tego drugiego, szczególnie bliskiego sojusznika. Wiarygodne byłoby rozszerzenie tej gwarancji na Niemcy; lepiej bronić się na terenie sąsiada niż w Alzacji.

Teraz Francja utrzymuje, że chciałaby chronić rozległe obszary UE. Kreml może założyć, że kto chce osłaniać wszystkich, w praktyce nie będzie osłaniać nikogo.

Trzeba przyznać: ze wszystkich państw Zachodu najprędzej broni atomowej użyłaby Francja, właśnie dlatego, że jest słabsza niż USA i bardziej zagrożona niż Wielka Brytania. Czy jednak będzie zdolna do tego w obronie Białegostoku? Wątpliwe. Rosjanie testować więc będą wartość francuskich zapewnień.

Należy się spodziewać prowokacji, które będą miały wywołać wrażenie, że alians z Francją przyciąga agresję, ale przed nią nie chroni. Paryż musiałby więc połączyć ofertę atomową ze znacznym wzrostem zaangażowania konwencjonalnego. Czy, mając w pamięci jego liczne zobowiązania pozaeuropejskie, uznamy, że to realne?

Inna trudność to ryzyko wycofania sił strategicznych z naszego regionu w zamian za rosyjskie ustępstwa w innych częściach świata, np. w Afryce. Znawczyni relacji Paryż–Moskwa Elsa Vidal pisała o „przeklętym cyklu": *détente* (odprężenie), *entente* (porozumienie), *coopération* (współpraca). Tak było nawet po tym, jak oba te państwa toczyły ze sobą wojny. Czy możemy mieć pewność, że reprezentujący nacjonalistów prezydent Bardella, który z pewnością mógłby liczyć na gesty przyjaźni ze strony Rosjan, nie zdecyduje się ich odwzajemnić? Czy nie uzna, że lepsza jest droga układów, koncert mocarstw, podział stref wpływów? Czy kontrakty energetyczne nie będą warte zniesienia sankcji?

STRZEŻCIE SIĘ FRANCUZÓW, NAWET GDY PRZYNOSZĄ DARY | I jeszcze coś. Dostarczyciel bezpieczeństwa zawsze oczekuje rekompensaty. Biorca bezpieczeństwa musi mu płacić za same zapewnienia, bez gwarancji ich wypłacalności. Marine Le Pen już powiedziała wprost to, co zręczniejszy polityk wyraziłby subtelniej: w zamian za „parasol nuklearny" Francja powinna oczekiwać zakupów jej broni. Myślę, że obecna ministra sił zbrojnych Catherine Vautrin ma to na myśli, kiedy mówi o potrzebie zapewnienia „interoperacyjności" i wkładu Europejczyków w „komponent konwencjonalny odstraszania".

Transakcyjnie nastawieni Francuzi nie zaakceptują sytuacji, w której „łożą" na nasze bezpieczeństwo, a my broń kupujemy w Ameryce czy Korei.

Francuscy eksperci, z którymi rozmawiałem, zapytani o możliwość połączenia ich *nuclear sharing* z amerykańskim, odpowiadali, że w praktyce trudno to sobie wyobrazić. Wiadomo: brak konkurenta sprzyja wyciśnięciu z partnerów korzystniejszych warunków. Przy kolejnych głosowaniach w UE presja Paryża stanie się bardziej odczuwalna; przypomnijmy: szantaż atomowy jest przywilejem nie tylko wrogów, ale też przyjaciół.

Musimy zatem wycenić realną, a nie symboliczną wartość francuskiej polisy i bezceremonialnie się przy określeniu jej warunków targować. Również wykorzystując ją jako środek nacisku na Amerykanów, by przedstawili własną ofertę. O ile zacząłem górnolotnie, od bohatera obu naszych narodów, marszałka Focha, to nie skończę na Rolandzie. Na koniec dnia bowiem polityka międzynarodowa to nie epos rycerski, ale kwota zapisana na kartce papieru.

© MARCIN GIEŁZAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 6b5ff1c250

IRAŃSKIE LEKCJE

Wojna z wyboru, której podjął się Trump, nie jest dla nas bezpośrednim zagrożeniem – inaczej niż wojna z wyboru Putina. Ale obie te wojny przynoszą nam pewne wspólne wnioski.

OLAF OSICA

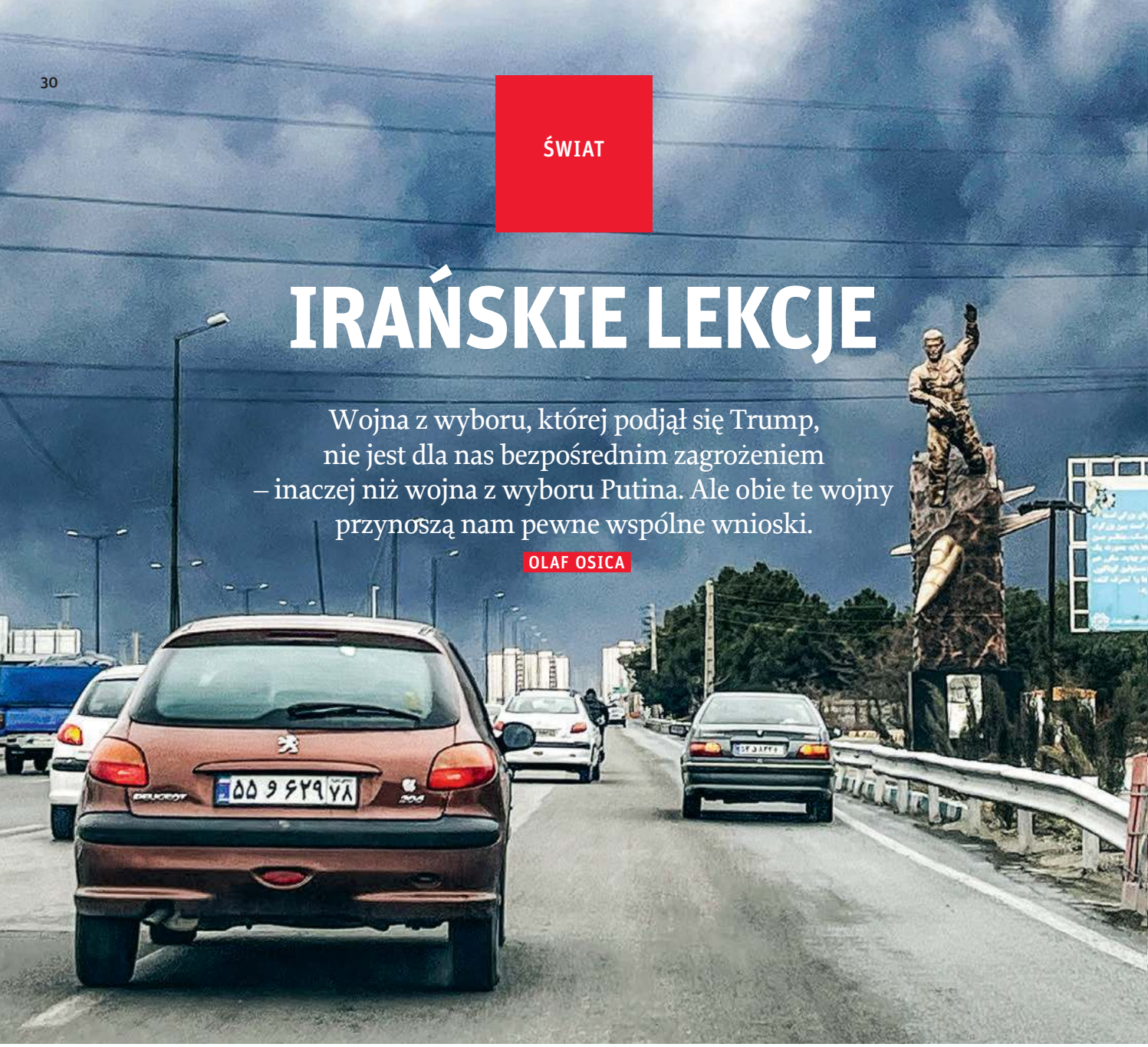

Atak USA i Izraela na Iran wprowadził wojnę jeszcze głębiej do naszego codziennego życia. Towarzyszy nam ona już nie tylko za wschodnią granicą Polski, ale i podczas zamorskich urlopów. Kosztem jest utrata kolejnej warstwy poczucia bezpieczeństwa. Zyskiem – świadomość realiów świata, w którym żyjemy.

Najmniej pamiętamy wojny sukcesyjne lat 90. XX stulecia w byłym Związku Sowieckim i byłej Jugosławii. Zajęci swoją transformacją, patrzyliśmy na nie jak na element chaosu tamtych lat.

Chaosu, z którego my wyszliśmy. Ale powstałe w wyniku tamtych wojen państwa do dziś zmagają się z konsekwencjami przelewu krwi.

Potem przyszły wojny w Afganistanie (od jesieni 2001 r.) i Iraku (od marca 2003 r.). Pierwsze konflikty, w których wzięliśmy udział u boku Stanów Zjednoczonych – już jako kraj członkowski NATO.

Chcieliśmy je widzieć jako wojny sprawiedliwe. Afganistan miał być karą za atak Al-Kaidy z 11 września 2001 r. na Nowy Jork i Waszyngton. Irak miał uwolnić naród iracki od krwawych rządów Saddama Husajna i jego broni masowego rażenia (której potem, gdy Husajn upadł, szukano, ale nie znaleziono). Wyszło inaczej. Do Afganistanu wrócili talibowie, a Irak pogrążył się w chaosie, zakażając swoimi ranami całe połacie Bliskiego Wschodu.

Bez złudzeń

Gdy w grudniu 2010 r. bezrobotny sprzedawca uliczny Mohamed Bouazizi podpalił się na targu w Sidi Bu Zajd w Tunezji, w proteście przeciw brakowi perspektyw na poprawę swojej sytuacji życiowej, jego dramat połączył się z dramatem Iraku i uruchomił łańcuch wydarzeń, który zmiótł przywódców Tunezji, Egiptu, Libii, a na końcu też Syrii (tu dopiero pod koniec 2024 r.). Arabska wiosna – wolność i demokracja dla świata arabskiego – okazała się jednak niespełnioną obietnicą.

eprasa.pl 6b5ff1c250

AFP / EAST NEWS

Toksyczne dymy nad stolicą Iranu po izraelskim nalocie na rafinerie i magazyny paliw, położone na obrzeżach Teheranu. 8 marca 2026 r.

Po latach terroru Państwa Islamskiego, które wypełniło próżnię po upadłych reżimach i naszych złudzeniach, w regionie Bliskiego Wschodu nie ma ani demokracji, ani wolności. Nawet Izrael dał się uwieść idei silnego przywódcy narodu i poszedł w stronę cynicznej i niepozbawionej rasistowskich haseł polityki agresji, prowadzonej pod hasłem prawa do obrony obywateli.

Gdy zatem patrzymy na amerykańsko-izraelski atak na Iran, mamy już w sobie wystarczająco dużo doświadczeń i dojrzałości, aby widzieć wydarzenia bez złudzeń. Ale też bez przesadnych obaw.

Impet dla wyścigu zbrojeń

Odpowiedź na pytanie, dlaczego Donald Trump zdecydował się na ten atak w roku wyborów do Kongresu (są w listopadzie) i wbrew obietnicom wyborczym, wciąż pozostaje w sferze domysłów. Może przekonał go premier Izraela Benjamin Netanjahu, obiecując przy tym zyski biznesowe jego rodzinie? A może chodziło o słabe notowania Trumpa w polityce wewnętrznej i „przykrycie" akt Epsteina?

Teorii jest wiele, ale wszystkie one mają już dziś wartość historyczną. Bo bez względu na motywy, atak na Iran jest faktem, który ma i będzie miał wiele konsekwencji. Choć za wcześnie na podsumowania, kilka wniosków wydaje się być bezspornych.

Zacznijmy od dominacji technologicznej USA i Izraela, która staje się źródłem dwóch problemów.

Po pierwsze, daje złudzenie politycznej sprawczości przy obietnicy braku własnych strat, a tym samym ułatwia decyzję o podjęciu ataku. To nie jest oczywiście nowe zjawisko w historii świata. Ale rozwój technologii (także sztucznej inteligencji i opartych na niej systemów wojskowych) daje dziś USA i Izraelowi siłę oraz precyzję rażenia, która jest nieosiągalna dla innych państw.

Problem jest tym większy, gdyż obok tradycyjnie rozumianego odstraszania – czyli posiadania armii zdolnej do zadania wrogowi wymiernych strat – pojawił się jeszcze nowy czynnik ryzyka związanego z technologią: zdolność namierzenia i porwania (Maduro) lub zabicia (Chamenei) głowy państwa. Dla wielu dyktatorów taka perspektywa oznacza, że samo niedopuszczenie wroga do swojego terytorium to za mało, aby czuć się bezpiecznie.

Dlatego atak na Iran doda wyścigowi zbrojeń na świecie – rozpoczętemu po agresji rosyjskiej przeciw Ukrainie – nowy impet. Także (i niestety) w obszarze broni nuklearnej.

Nowa era broni jądrowej

Przez dekady analitycy spierali się, czy irański program nuklearny ma na celu zaatakowanie Izraela (ten posiada arsenał głowic jądrowych, mógłby więc w odpowiedzi zniszczyć Iran), czy raczej uchronienie się przed atakiem ze strony USA i/lub Izraela.

Podobna kwestia pojawiła się po agresji Putina na Ukrainę, która, oddając Rosji w latach 90. XX w. arsenał głowic, jaki przypadł jej w udziale po rozpadzie armii sowieckiej, dostała iluzoryczne, jak się okazało, gwarancje bezpieczeństwa.

I choć posiadanie głowic atomowych jest bardziej obietnicą pełnego bezpieczeństwa niż jego rzeczywistą gwarancją, to rosyjski atak na Ukrainę i amerykańsko-izraelski na Iran będą odtąd argumentem na rzecz rozwoju narodowych arsenałów jądrowych.

Dziś każde państwo, które może sobie pozwolić na ten potężny wydatek, będzie go zapewne rozważać w nadchodzących latach.

Dowodem tego jest zapowiedź prezydenta Francji Emmanuela Macrona, dotycząca rozbudowy własnego arsenału jądrowego. Powiększony francuski parasol atomowy miałby zostać też zaoferowany europejskim sojusznikom, w tym Polsce. Dowodem są również słowa Elbridge'a Colby'ego, zastępcy sekretarza wojny USA, że „Stany nie poprą rozwoju niezależnych zdolności nuklearnych przez takie kraje jak Polska, Niemcy czy państwa skandynawskie".

Wchodzimy więc w nową erę polityki bezpieczeństwa międzynarodowego.

Technologia nie zastąpi celu

Drugim efektem ubocznym fascynacji technologią jest to, że przesłania ona polityczne cele wojny: co chcemy osiągnąć i za jaką cenę. Technologia wojny – zadanie ciosu wrogowi – staje się celem, a nie narzędziem prowadzenia polityki.

Tymczasem nawet najbardziej spektakularne i intensywne ataki z powietrza nie przełożą się na wygraną, jeśli cele operacji są niejasne lub pozostają w oderwaniu od sposobu prowadzenia działań wojskowych. Atakowana strona, świadoma swojej militarnej słabości, zyskuje wtedy względną przewagę.

Tak było w Wietnamie, gdzie w latach 60. i na początku lat 70. XX w. Amerykanie i ich sojusznicy walczyli z wietnamskim narodowym komunizmem metodami, które jedynie zwiększały determinację Wietnamczyków do walki. Tak było w Iraku i Afganistanie, gdzie próbowano powtórzyć sukces powojennych Niemiec i Japonii (budowy demokratycznego ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

PAVLO PAKHOMENKO / NURPHOTO / AFP / EAST NEWS

Przedłużanie się wojny z Iranem może mieć fatalne konsekwencje dla Ukrainy. Na zdjęciu: skutki rosyjskiego nalotu na dzielnicę mieszkalną w Charkowie, w którym zginęło co najmniej 11 cywilów. 7 marca 2026 r.

↦ państwa), a jedynie zniszczono lokalne struktury społeczne i państwowe, pozostawiając w ich miejsce próżnię.

Taki sam błąd popełniany jest teraz. Netanjahu i Trump chcą doprowadzić do szybkiego paraliżu politycznego, a ostatecznie do zmiany reżimu w Iranie na powolny sobie, a przynajmniej nie wrogi.

Jednak taki cel, nawet zakładając, że jest realny (moim zdaniem nie jest), wymagałby dużo więcej niż zabicia przywódców politycznych i wojskowych. Wymagałby operacji lądowej. Ta natomiast zwiększyłaby ryzyko strat ludzkich po stronie USA, więc jest wykluczona. Izrael – jak pokazuje jego ofensywa w Libanie – ma tu więcej przestrzeni politycznej.

Ryzyko, paradoks i pycha

Znając ograniczenia Waszyngtonu, Teheran odpowiada strategią wybiórczej, ale kontrolowanej eskalacji działań, aby zwiększyć polityczne koszty po stronie przeciwnika. Stąd rakiety spadające na sąsiadów i zarazem sojuszników Ameryki w regionie, dla których wojna jest nie tylko ogromnym, ale przede wszystkim niechcianym ryzykiem.

Za mozolnie budowaną fasadą nowoczesnych, bezpiecznych i stabilnych „rajów na ziemi" w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Katarze czy Arabii Saudyjskiej kryją się bowiem niepewne swojego jutra, brutalne i autorytarne rządy, które nie chcą być kojarzone z jakimkolwiek bliskowschodnim chaosem. Tak samo, jak niechętnie widziałyby demokratyczny Iran, w którym religia byłaby prywatną sprawą jego obywateli.

Jest w tym zresztą paradoks, że celem ataku jest Iran, który na tle swoich sąsiadów i sojuszników Ameryki jest dziś pod wieloma względami państwem bardziej stabilnym, świadomym swojego miejsca i tożsamości historycznej, a także – za sprawą silnego społeczeństwa oraz roli i pozycji kobiet – bardziej „demokratycznym" niż np. Arabia Saudyjska.

Tymczasem w podejściu administracji Trumpa do Iranu od początku tej wojny pobrzmiewa pycha i przekonanie o zacofaniu Iranu („przegrany Bliskiego Wschodu"), które ma skazywać go na klęskę. Z podobnie błędnym nastawieniem Władimir Putin ruszał na Kijów cztery lata temu. „Epicka furia", nazwa operacji, może okazać się epicką porażką.

Skutki dla Stanów i Izraela

Nie wiemy, jak długo potoczy się ta wojna i jaki będzie jej rezultat. Ale już dziś można postawić tezę, że atakując Teheran, zarówno Stany, jak i Izrael dokonały kolejnego kroku na drodze erozji swoich wpływów w świecie.

Po zniszczeniu Strefy Gazy, ataku na Iran i kolejnym wejściu do Libanu, Izrael jest dziś niekwestionowanym regionalnym mocarstwem. To daje polityce izraelskiej poczucie siły i sprawczości. Ale zarazem przyniesie nowych adwersarzy, którzy bacznie obserwują wzrost jego potęgi.

A także tych, zwłaszcza w młodym pokoleniu w Europie, USA czy Kanadzie, dla których Izrael na zawsze będzie już nie ofiarą historii, lecz państwem przynoszącym cierpienia innym. Polityczna i kulturowa więź Izraela z demokratycznym Zachodem nigdy nie była tak słaba jak dziś, o ile jeszcze w ogóle istnieje.

Z kolei dla Ameryki ta „dziwna wojna" – dziwna, bo przynosząca wiele ryzyka i żadnych korzyści – jest też kolejnym momentem przełomowym. Zwiększy samotność Waszyngtonu w polityce światowej. Polityka amerykańska staje się bowiem coraz większym źródłem ryzyka nie tylko dla globalnej stabilności, ale też dla bezpieczeństwa i dobrobytu sojuszników USA.

To jest ten sam proces, który pogrążył regionalne sojusze Rosji, gdy agenda imperialna stała się priorytetem Kremla, a porwanie (lub zabicie) Wołodymyra Zełenskiego miało być sposobem na zmianę układu sił w Ukrainie.

Dobre wieści dla Putina...

Czy skorzystają na tym Chiny? Jeśli nie ulegną pokusie własnej wojny (inwazji na Tajwan), to mają szansę zwiększyć swój prestiż i wpływy w świecie przez zwykły fakt kurczenia się wpływów USA. To nie jest dobra wiadomość dla nas.

A Putin? On nie jest zapewne szczęśliwy z faktu ataku na Iran. Ale nie wydaje się, aby był też przesadnie smutny. Jego waszyngtoński partner może równać z ziemią Teheran, ale dla Putina istotniejsze jest to, że opinia publiczna w Europie, Azji czy Ameryce już domaga się tańszej ropy i gazu, a zaraz może zażądać też bezpiecznych lotów na wakacje.

eprasa.pl 6b5ff1c250

Przestrzeń powietrzna Rosji byłaby dobrą alternatywą dla wielu kierunków.

Sekretarz skarbu USA, Scott Bessent, już pozwolił (na razie tymczasowo) na zakup rosyjskiej ropy przez Indie, by wypełnić lukę w dostawach tego surowca na świecie, która jest skutkiem blokady Cieśniny Ormuz (podczas gdy dopiero niedawno Indie, pod naciskiem Stanów, obiecywały zrezygnować z jej importu).

Bessent dodał, że USA mogą w ogóle znieść sankcje na rosyjską ropę, by zwiększyć globalną podaż surowca i obniżyć jego cenę. Szanse Putina na kolejne wyłomy w sankcjach wydają się kwestią czasu, jeśli działania wojenne na Bliskim Wschodzie nie przyniosą powrotu do *status quo ante*. Na co się nie zanosi.

...i niedobre dla Ukrainy

To zaś jest zła wiadomość dla Ukraińców. Kijów cały czas potrzebuje uwagi i wsparcia Waszyngtonu, dociskania Rosji sankcjami; potrzebuje też pieniędzy Europy, za które stabilizuje budżet i kupuje broń – także ze Stanów (zwłaszcza rakiety przechwytujące). Przy scenariuszu przedłużania się wojny z Iranem wszystkie te elementy ukraińskiej strategii mogą znikać. Wtedy presja na zły pokój będzie rosła.

> Jeśli przed atakiem na Iran wiedzieliśmy, że Ukraina to także nasz problem i nasza wojna, to teraz **będziemy odczuwać to jeszcze bardziej.**

Najpewniejsze wydaje się wsparcie dla Ukraińców ze strony Unii Europejskiej. Jeśli przed atakiem na Iran wiedzieliśmy, że Ukraina to także nasz problem i nasza wojna, teraz będziemy odczuwać to jeszcze bardziej.

Jednak czy konieczność przyśpieszonej adaptacji do nowej rzeczywistości na Bliskim Wschodzie, przy chwiejnej i pełnej sprzeczności postawie prezydenta USA i napięciach w Europie, pozostawią czas i cierpliwość na zarządzanie problemami wojny w Ukrainie? We Włoszech, Hiszpanii czy Francji sytuacja wewnętrzna nie sprzyja sprawie ukraińskiej, a irytacja postępowaniem Trumpa w tych krajach rośnie. Podobnie jak w Polsce.

Naczynia połączone

Wojna z wyboru, której podjął się Trump na Bliskim Wschodzie, nie jest dla nas bezpośrednim zagrożeniem – inaczej niż wojna z wyboru Putina przeciw Ukrainie. Jednak obie te wojny przynoszą nam jedną wspólną lekcję: pokazują, że świat jest systemem naczyń połączonych. Każda polityka, która tego nie dostrzega, jest skazana na porażkę.

Warto więc przygotować się na jej nadejście, by nie stać się jej mimowolnym udziałowcem. Konsekwentnie zwiększać samodzielność polityczną wobec Waszyngtonu. Zadbać, by w warunkach ewentualnego „pokoju" w Ukrainie zaistniał także polski punkt widzenia. I zaakceptować fakt, że tegoroczne plany wakacyjne muszą uwzględniać sytuację geostrategiczną. Takie czasy. OLAF OSICA

Tekst ukończono 9 marca rano.

eprasa.pl 6b5ff1c250

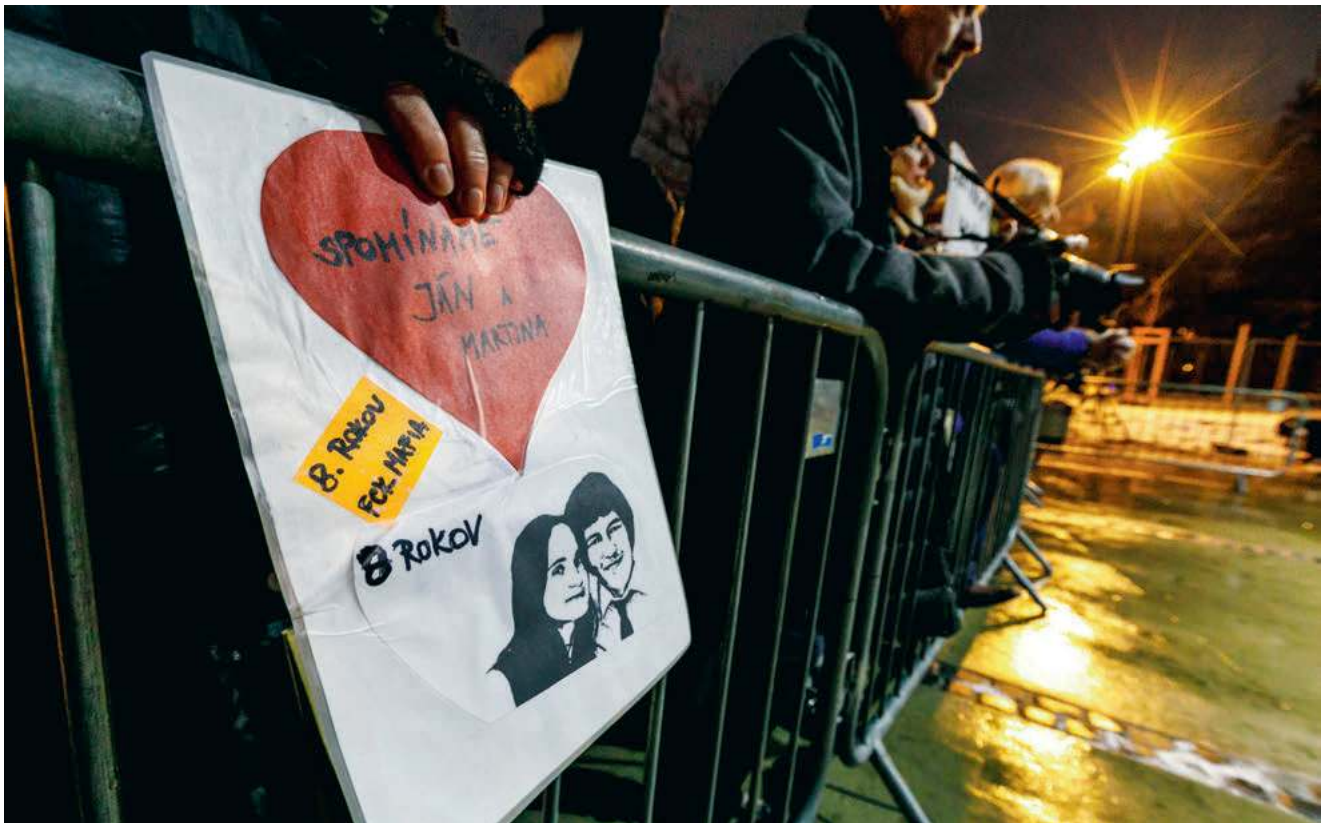

DANO VESELSKY / TASR / AP / EAST NEWS

Wiec w 8. rocznicę zabójstwa Jána Kuciaka i Martiny Kušnirovej. Bratysława, 21 lutego 2026 r.

Jak znów rozniecić ogień

PATRYCJA BUKALSKA

Słowacja jest przygnębiona. Osiem lat po zabójstwie Jána Kuciaka i Martiny Kušnirovej nie doszło do spodziewanej odnowy kraju, za to przed sądem znów toczy się proces w tej sprawie.

Przestaję już wierzyć – gorzko stwierdził Jozef Kuciak, ojciec zamordowanego dziennikarza, wychodząc z sądu po kolejnej rozprawie. Na sali znów musiał stanąć twarzą w twarz z biznesmenem Mariánem Kočnerem, oskarżonym o zlecenie mordu. Kočnera doprowadzono z więzienia, gdzie odbywa wyrok 19 lat pozbawienia wolności – skazany został jednak w innej sprawie (za fałszywe weksle), natomiast jeśli chodzi o zarzuty w sprawie śmierci Kuciaka, został w poprzednich procesach dwukrotnie uniewinniony. Po decyzji Sądu Najwyższego proces ruszył po raz trzeci pod koniec stycznia, przed nowym składem – dla rodzin to znowu trudne i bolesne dni w sądzie, ale i szansa na sprawiedliwość.

A na tę rodzice Jána i matka jego narzeczonej, Martiny, czekają od ośmiu lat. Bo choć w więzieniu odsiadują wyroki sprawcy, to sprawa domniemanego zleceniodawcy wciąż się nie rozstrzygnęła.

Ján i Martina

Młodzi zostali zabici 21 lutego 2018 r. w swoim domu w niewielkiej miejscowości Veľká Mača. Planowali ślub, byli szczęśliwi, mieli życie przed sobą. Jána zastrzelono z powodu jego pracy – artykułów o korupcji, powiązaniach między biznesem a polityką. Martinę – tylko dlatego, że była w domu, gdy pojawił się tam morderca.

„Codziennie doświadczamy bólu, codziennie chodzimy na cmentarz, żeby zapalić znicze, zamiast wychowywać wnuki" – mówił Jozef Kuciak podczas tegorocznych uroczystości w Bratysławie upamiętniających zamordowaną parę. Co roku w rocznicę śmierci Jána i Martiny na ulicach i placach wielu słowackich miast gromadzą się ludzie. Początkowo były ich tysiące, z czasem mniej, ale nadal przychodzą setki. I nadal pamiętają – w tym roku byli w ok. 30 miejscach na Słowacji i za granicą.

„Zadaję sobie to pytanie każdego dnia: dlaczego nasze dzieci? Jak to możliwe, że sprawiedliwość działa tak powoli?" – pytała matka zamordowanej Martiny, Zlatica Kušnírová, na zgromadzeniu w Koszycach. Apelowała, by nie tracić wrażliwości, i dziękowała za wsparcie. „Zginęliby na próżno tylko gdybyśmy przestali o nich pamiętać" – podkreśliła.

Zmiana bez zmiany

W 2018 r. to zabójstwo wstrząsnęło krajem, a pod presją wielotysięcznych demonstracji do dymisji podał się Robert Fico, ówczesny premier. Ówczesny, ale i obecny, bo po kilku latach wrócił do władzy, wygrywając wybory w 2023 r. W kilkumilionowym kraju głos na niego oddało wtedy ok. pół miliona wyborców – co pokazuje, że zmiana, która

eprasa.pl 6b5ff1c250

przed ośmiu laty wydawała się nie do powstrzymania, jednak się nie dokonała. Lub raczej że Słowacja wróciła do punktu wyjścia, tyle że jeszcze bardziej spolaryzowana i sfrustrowana.

– Nie tylko tamten ogień wygasł, ale teraz nawet gospodarka nie działa. Nie ma rządów prawa, liberalnej demokracji, wszystko leci w dół, a inflację mamy najwyższą w całej eurozonie – wylicza słowackie bolączki dr hab. Michal Vašečka, dyrektor Bratislava Policy Institute. A to jeszcze nie koniec listy, bo z powodu coraz bardziej prorosyjskiej polityki zagranicznej Ficy reputacja Słowacji w Europie podupada. Ostatnio wstrzymał on słowackie awaryjne dostawy prądu do Ukrainy, zarzucając Ukraińcom, że celowo przerwali dostawy ropy ropociągiem Przyjaźń na Słowację (Kijów twierdzi, że po ataku rosyjskiego drona uszkodzona jest infrastruktura).

Chcieli wszystkiego

Dlaczego zmiana z 2018 r. się nie udała, a tamto doświadczenie pokoleniowe, jakim był szok po śmierci młodych ludzi, jednak nie doprowadziło do przemiany kraju: odejścia od oligarchii, korupcji, niejasnych powiązań?

Dr Vašečka: – To prawda, sądzono, że to moment, w którym społeczeństwo się obudziło i powiedziało: dość, tak nie chcemy. W pewien sposób to było podobne do Majdanu na Ukrainie: ludzie uznali, że coś się kończy i że z tego Majdanu nie odejdą. Problem w tym, że nasze społeczeństwo nie jest tak dojrzałe, jak byśmy chcieli.

Słowacki socjolog wskazuje też jednak i na błędy opozycji, która doszła do władzy po dymisji Ficy, w tym wybór populisty Igora Matoviča (był premierem w latach 2020-2021, a do 2022 roku wicepremierem).

– Matovič obiecywał głównie rewanż na Ficy i jego ludziach – wyjaśnia Vašečka. – A ludziom nie tylko o to chodziło – chcieli też normalnej, uczciwej Słowacji. Ostatecznie jednak nie dostali nic, ani Ficy w więzieniu i deoligarchizacji, ani normalnego kraju. Fico wrócił, ale też już jako inny człowiek, pełen złości i również z jednym celem: zemstą.

Kraj stoi w miejscu

Większość Słowaków uważa, że rok 2026 będzie tak samo zły albo gorszy niż 2025. W sondażu agencji NMS aż 60 proc. ankietowanych deklaruje, że weszło w ten rok z takim negatywnym przekonaniem. Lepszego czasu spodziewa się ok. jednej czwartej Słowaków.

– Wyniki odzwierciedlają napiętą sytuację, jaką obserwujemy w społeczeństwie przez ostatnie dwa lata – wyjaśnia współautorka badania Denisa Lakatošová. I rzeczywiście: zmian na gorsze ankietowani spodziewają się w polityce i nastrojach społecznych, a nie w relacjach osobistych czy swoim stanie zdrowia.

Z kolei w zeszłorocznym sondażu duża część społeczeństwa – bo ponad 40 proc. – przyznała, że nie czuje się na Słowacji bezpiecznie. Przy czym źródłem niepokoju była właśnie sytuacja wewnętrzna kraju – najwięcej, bo 18 proc. wskazało na rząd Roberta Ficy, 14 proc. na niestabilność polityczną, a jedynie 6 proc. wojnę w Ukrainie.

„W dobie gwałtownych zmian na światowej scenie politycznej mogłoby się wydawać, że zagrożenie pochodzi głównie z zewnątrz. Jednak prawdziwym zagrożeniem dla Słowacji są dziś przede wszystkim rosnąca fragmentacja społeczeństwa i szybko spadające zaufanie do państwa, jego instytucji i zdolności do sprawiedliwego działania" – wskazywał Mikuláš Hanes, polityczny analityk agencji NMS w styczniowej debacie o bezpieczeństwie Słowacji, jaką zorganizował „Denník N".

Optymistycznej prognozy nie ma też dla Słowacji dr Vašečka, który przewiduje stagnację. Dodaje jednak: – Paradoksalnie, to nawet dobra wiadomość, bo raczej nie będzie wielkiego regresu. Tyle że nie pójdziemy do przodu, ten kraj długo będzie stał w miejscu.

Ślad

Roman Thor Vítek ma więcej optymizmu. Może dlatego, że ma ledwie 18 lat. Kiedy zginęli Ján i Martina, był dziesięciolatkiem i jak przyznał, przemawiając do ok. pół tysiąca zgromadzonych na rocznicowych uroczystościach w Popradzie, w 2018 r. nie rozumiał, co się dzieje. Ale dziś rozumie. „Rządzą ci sami ludzie, co wtedy, a my żyjemy w jeszcze większym strachu. Czy takiego strachu nie mieliśmy jednak zostawić już w roku 1989?" – pytał mocnym głosem, przypominając o wartościach, o jakich wtedy mówiono: wolności, miłości i prawdzie. Mówił też, że wielu młodych nie wyobraża już sobie przyszłości na Słowacji i zastanawia się, czy nie wyjechać. „Ja chcę tu zostać – zadeklarował Vítek. – Naszą siłą jest nadzieja. Ale nie tylko ona. Musimy działać, by przyczynić się do potrzebnej zmiany".

Może w takich wystąpieniach, wśród młodych ludzi – bo to studenci zorganizowali zgromadzenie upamiętniające Jána i Martinę w Popradzie – odnajdzie się energia, która wypełniała słowackie ulice przed ośmiu laty. Na razie w Veľkej Mači, gdzie mieszkała zamordowana para, powstaje pomnik.

– Ján i Martina są symbolem pewnej epoki i walki o uczciwą Słowację. To pozostanie. Będzie przypominało, że chcieliśmy normalnego świata – podkreśla Michal Vašečka.

Threema

Ślad po tragedii z 2018 r. zostaje w ludziach, ale też odbija się w słowackiej kulturze. Pod koniec stycznia w bratysławskim teatrze Divadlo bez Masky premierę miał spektakl „Threeema", opowiadający o władzy, korupcji i decyzjach, które zapadają z dala od oczu obywateli. Oparty jest częściowo na upublicznionych wiadomościach Mariána Kočnera, jakie wymieniał ze swoimi współpracownikami na szyfrowanym komunikatorze Threema (stąd tytuł przedstawienia – choć pisany z dodatkowym „e"). Robią wstrząsające wrażenie, pokazując stopień skorumpowania struktur państwa.

– Początkowo oryginalne wiadomości miały być jedynie inspiracją. Kiedy jednak dostałem do rąk zapisy z Threemy, pomyślałem, że mają w sobie jakąś wyraźną wręcz literackość i ten materiał można by wykorzystać taki, jaki jest – mówi „Tygodnikowi" słowacki dramatopisarz Martin Krč, autor sztuki [wywiad z nim publikujemy obok – red.].

Wiadomościami z Threemy będzie się też zajmował sąd – mimo protestów obrony zostały dopuszczone jako materiał dowodowy. Prokuratura chciałaby też, aby sąd odczytał całą treść rozmów z tego komunikatora, a nie tylko ich fragmenty. Szybkiego wyroku nie można się jednak spodziewać – w tym roku zaplanowano jeszcze ponad 40 posiedzeń sądu. ©℗

eprasa.pl 6b5ff1c250

BARA PODOLA

Scena ze spektaklu „Threeema" w bratysławskim teatrze Divadlo bez Masky, opowiadającego o władzy, korupcji, zakulisowych decyzjach i ciemnej naturze człowieka.

Za kulisami

MARTIN KRČ, DRAMATOPISARZ:

W polityce, nie tylko na Słowacji, wielu jest takich ludzi. Przeświadczonych o własnej wyjątkowości, gotowych na wszystko.

PATRYCJA BUKALSKA: Napisał Pan o swojej sztuce, że „ważne, abyśmy stale przypominali sobie, co dzieje się za kulisami i do czego może to doprowadzić". Czy trzeba przypomnieć ludziom o tym, co stało się ledwie kilka lat temu?

MARTIN KRČ: To ważna historia, która powoli jest zapominana, bo zacierają ją kolejne skandale. Sprawa nawet nie została zamknięta, a ludzie już nie pamiętają dokładnie, o co tam chodziło. Nawet dziennikarze, oglądając teraz sztukę, przyznają, że o tym czy o tamtym już zapomnieli, a było to przecież tak straszne. Co dopiero zwykły człowiek, który o tym usłyszał kiedyś parę słów w telewizji.

Wiadomości, które wykorzystujemy w spektaklu, pokazywały powiązania między wpływowymi biznesmenami, sądami a politykami. To z nich wiemy, że Kočner nazywał premiera „szefem". W mojej opinii jest niedopuszczalne, żebyśmy się przestali tym zajmować – przynajmniej dopóki sprawa nie zostanie zamknięta, a podejrzenia potwierdzone lub odrzucone.

Czy w „Threeemie" chodzi o sprawę Kočnera, czy może chciał Pan, by sztuka miała bardziej uniwersalny wydźwięk?

Intensywnie dyskutowaliśmy o tym na próbach i zgodziliśmy się wszyscy, że nie chodzi nam o to, by udokumentować, kim jest Kočner i jaką ma osobowość – dlatego że on nie jest aż taki ważny ani nie jest jedyny. To, że siedzi teraz w więzieniu, nie znaczy, że wszystkie problemy zostały rozwiązane. To przykład człowieka, jakich wielu można znaleźć w biznesie i polityce. Przeświadczonego o własnej wyjątkowości, wierzącego, że ma prawo dostać to, co chce, z coraz bardziej nienasyconym apetytem. Ten człowiek myśli, że może zrobić wszystko. I, jak widzimy w „Threeemie", nie zawaha się przed niczym.

Nasuwa się porównanie z aktami Epsteina – jako przykładem tego, że są ludzie, którzy wierzą, że im wszystko wolno.

I tej paraleli używa się też na Słowacji – słyszałem nawet, jak Epstein został nazwany „globalnym Kočnerem". W obu przypadkach chodzi o ludzi, którzy zyskali władzę poprzez gromadzenie kompromitujących materiałów o wpływowych ludziach, o szantażowanie i infiltrowanie najbardziej wpływowych kręgów.

Istnieje tu takie środowisko, które może wpływać na to, co dzieje się na całej Słowacji. Dlatego musimy się tym zajmować. Ja też może wolałbym napisać inną sztukę, ale w obecnej sytuacji społecznej czuję, że nie mogę sobie na to pozwolić. To ważne rzeczy, na które musimy reagować – tak jak kto potrafi, takimi środkami, jakie ma. A moje środki to teatr – staram się je wykorzystać do tego, by ta sytuacja nie trwała lub jeszcze się nie pogorszyła. Jak mówiłem: poprzez wsadzenie Kočnera do więzienia to niebezpieczeństwo nie zniknęło.

Co było najtrudniejsze w pisaniu sztuki? Nawiązuje przecież do niedawnych wydarzeń z wielkim ciężarem emocjonalnym.

Zajmowałem się tematem, który dotyczył całej Słowacji, a zarazem czymś bardzo kruchym. Obawiałem się, że usłyszę: „A kim ty jesteś, by opowiadać o tej wielkiej sprawie?". Lub że ktoś mi zarzuci, że przekręcam rzeczywistość. Ta obawa się na szczęście nie spełniła. Wydaje mi się, że sztuka jest postrzegana zgodnie z moim zamysłem – jako przypomnienie niebezpieczeństwa, które było i wciąż istnieje.

Gdy doszło do zabójstwa Jána i Martiny, wydawało się, że ta tragedia zmieni Słowację. Co z tego zostało po ośmiu latach?

Odpowiedź jest trudna, a zarazem nieprzyjemna. Chciałbym powiedzieć, że tak, że nas to zmieniło i że nie pozwolimy, by coś takiego znów mogło się stać. Że smutek i gniew nadal nas wypełniają. Niestety, wydaje mi się, że zrobiliśmy wszystko, co możliwe, a wciąż jest tak samo, albo i gorzej. System, który według nas przyczynił się do morderstwa, dalej istnieje. Nadal nie udaje nam się przekonać większości społeczeństwa, że to niedopuszczalne.

A jednak sukces Pana sztuki – bilety szybko się wyprzedały – i fakt, że ludzie nadal gromadzą się, by upamiętniać Jána i Martinę, pokazuje, że są podstawy do optymizmu.

Głęboko wierzę, że musimy się zmierzyć z tym, co się stało, nabrać sił i znów zacząć działać, by los naszego kraju się poprawił. To albo smutny realizm, albo naiwność, ale musimy coś robić.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

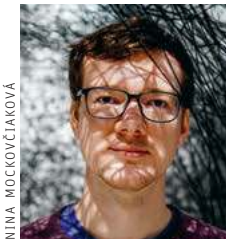

NINA MOCKOVČIAKOVÁ

MARTIN KRČ (ur. 1998) jest słowackim dramatopisarzem, w 2023 r. skończył studia na Wydziale Reżyserii i Dramaturgii Wydziału Teatralnego Wyższej Szkoły Sztuk Scenicznych w Bratysławie.

eprasa.pl 6b5ff1c250

Globalny wyścig o AI

SAM WINTER-LEVY, EKSPERT DS. AI I GEOPOLITYKI:

Prezes firmy Nvidia twierdzi, że Chińczycy nie potrzebują chipów z USA do celów wojskowych, ale oni właśnie do tego je wykorzystują. Sprzedawanie im chipów to podcinanie gałęzi, na której się siedzi.

MARTA ZDZIEBORSKA: Na początku wyjaśnijmy. Dlaczego AI nazywane jest już „ropą XXI wieku", która może napędzać geopolitykę?

SAM WINTER-LEVY: Zarówno USA, jak też Chiny i inne kraje coraz bardziej zdają sobie sprawę, że dostęp do technologii sztucznej inteligencji będzie jednym z podstawowych wyznaczników ich potęgi. I to zarówno pod względem ekonomicznym, militarnym, jak też zdolności wywiadowczych czy w zakresie cyberbezpieczeństwa.

Rozwój sztucznej inteligencji można dziś porównać do rewolucji przemysłowej lub boomu na wydobycie ropy w pierwszej połowie XX w. Kraje, które skorzystały na tych przemianach, zwiększyły swoją potęgę. Tak samo będzie ze sztuczną inteligencją. Państwa mające dostęp do zaawansowanych chipów, wykorzystujące AI do celów wojskowych i budujące centra danych, jakie są potrzebne do trenowania modeli sztucznej inteligencji, zyskają znaczenie na arenie światowej.

Wiodąca pozycja w wyścigu AI może być też kartą przetargową w negocjacjach z innymi państwami?

I tu dominującą rolę odgrywają Stany Zjednoczone, z którymi musi się układać cały świat. To rząd USA dyktuje warunki, na jakich amerykańskie firmy sprzedają innym krajom zaawansowane chipy AI.

Amerykanie wykorzystują już swoją przewagę w tej kwestii?

Przykładem są negocjacje, jakie toczyły się w 2024 r. między Microsoftem a firmą G42 ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich. W zamian za dostęp do amerykańskiej technologii firma z Emiratów obiecała, że zerwie współpracę z chińskim koncernem Huawei [to chiński lider w obszarze sztucznej inteligencji – red.]. Emiraty, podobnie jak Arabia Saudyjska, mają ambicję, by odgrywać istotną rolę w wyścigu AI. Przykładów takich negocjacji między USA a firmami z różnych państw będzie zapewne więcej.

Choć Stany mają liczne asy w rękawie, być może właśnie strzeliły sobie technologicznego samobója, zezwalając na sprzedaż do Chin zaawansowanych chipów AI. Czy Biały Dom zrobił to, by nie pogorszyć relacji handlowych z Pekinem? Ten ma przewagę nad Stanami w wydobyciu i przetwarzaniu metali ziem rzadkich, kluczowych dla nowoczesnych technologii.

Taka handlowa kalkulacja może być jedną z motywacji Trumpa. Prezydent zapewne chce przygotować sobie grunt przed zapowiadanym na kwiecień spotkaniem z Xi Jinpingiem, prezydentem Chin. Administracja USA robi wiele, by nie zaogniać już i tak napiętych relacji handlowych z Pekinem. Stąd moim zdaniem zgoda na sprzedaż zaawansowanych chipów AI, co za rządów Bidena postrzegano jako ustępstwo nie do zaakceptowania z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego.

Druga przyczyna może być taka, że Trump, zezwalając firmie Nvidia na dostawy zaawansowanych chipów H200 do Chin, chce pomóc temu amerykańskiemu koncernowi w lepszym dostępie do chińskiego rynku. To da Nvidii pieniądze na dalsze badania i rozwój, a może też podkopać pozycję Huawei, które również produkuje chipy AI.

Administracja Trumpa przekonuje teraz, że sprzedaż jednych z najlepszych chipów Nvidii Chińczykom uzależni ich od amerykańskich technologii i zniechęci do rozwijania rodzimej produkcji. Jednak wielu analityków jest sceptycznych wobec tych założeń.

Przeczą im doniesienia agencji Bloomberga z grudnia 2025 r., według których Pekin rozważa zainwestowanie dodatkowych 70 mld dolarów w rodzimą produkcję chipów. Z kolei według Reutersa chińscy inżynierowie zbudowali prototyp własnej maszyny do wytwarzania zaawansowanych chipów AI na dużą skalę.

Chińczycy od lat postrzegają budowę własnego łańcucha dostaw w zakresie ↦

Prezes Nvidii Jensen Huang na targach technologicznych CES w Las Vegas. 5 stycznia 2026 r.

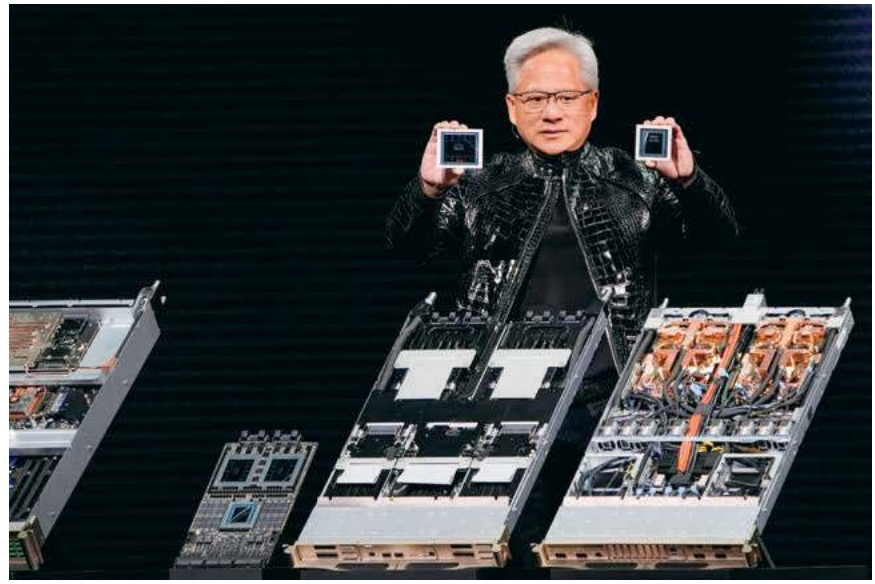

JOHN LOCHER / AP / EAST NEWS

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ AI jako priorytet z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego. Chcą zmniejszyć swoją zależność od amerykańskich technologii. Dlatego naiwne jest myślenie, że zgoda na sprzedaż chipów Nvidii sprawi, że porzucą te plany. Dopuszczenie zaawansowanych chipów na chiński rynek sprawi jedynie, że Chiny w krótszym czasie przyspieszą w wyścigu AI.

Jednak nie należy się spodziewać, że Pekin szybko zacznie produkować własne chipy AI o porównywalnej jakości oraz w takiej skali jak zachodnia. Choć chińscy inżynierowie rzeczywiście mieli zbudować prototyp maszyny do litografii EUV, to minie dużo czasu, zanim rozwiną masową produkcję zaawansowanych chipów. W tej kwestii Chiny są kilka lat do tyłu za Stanami, które produkują swoje chipy głównie na Tajwanie.

Jakimi jeszcze sposobami Chiny próbują dogonić Stany w wyścigu AI?

Ten wyścig ma miejsce na kilku płaszczyznach. Aby osiągnąć technologiczną przewagę, trzeba mieć nie tylko zaawansowane chipy, ale także inwestować w budowę centrów danych i infrastruktury potrzebnej do zasilania takich centrów energią elektryczną. Chiny już to robią. Pompują też ogromne pieniądze w kształcenie specjalistów od AI. W ostatnich latach znacząco wzrosła liczba absolwentów kierunków związanych ze sztuczną inteligencją.

Chiny wykorzystują zawirowania w amerykańskiej nauce za rządów Trumpa, by ściągnąć do siebie najlepszych specjalistów.

To również się dzieje. Gdyby spojrzeć na dwa kluczowe elementy dla budowania potęgi AI – dostęp do infrastruktury elektroenergetycznej oraz specjalistów – to pozycja Chin i Stanów w zasadzie jest podobna.

Oprócz tego chińskie firmy, takie jak DeepSeek, inwestują w rozwijanie modeli językowych. Co prawda nie są one tak dobre jak te amerykańskie, ale mają jedną dużą zaletę: to modele otwarte, można więc je modyfikować i dostosowywać do własnych potrzeb. To ułatwia zdobywanie nowych użytkowników na całym świecie, a o budowę takich globalnych wpływów chodzi Chińczykom.

Właściwie jedynym obszarem, w którym Stany mają zdecydowaną przewagę nad Chinami, jest dostęp do zaawansowanych chipów AI. Sprzedawanie ich chińskich firmom jest zatem podcinaniem gałęzi, na której się siedzi.

Amerykańscy obserwatorzy ostrzegają, że sprzedaż chipów Nvidii nie tylko napędzi rozwój chińskich technologii AI, ale też działania wywiadowcze i modernizację armii.

Prezes Nvidii Jensen Huang może twierdzić, że Chiny nie potrzebują amerykańskich chipów do celów wojskowych, ale bez wątpienia Chińczycy właśnie do tego je wykorzystują. Jest wiele doniesień prasowych, według których zaawansowane chipy Nvidii, mimo obowiązujących w ostatnich latach amerykańskich ograniczeń eksportowych, trafiały na chiński rynek i były używane do produkcji pojazdów bezzałogowych czy systemów namierzania celów.

Wiele też mówi fakt, że chińskie firmy, do których trafić mogą dostawy chipów Nvidii, współpracują z chińską armią. Założenie, że jest inaczej, kłóciłoby się z tym, jak funkcjonuje chiński system polityczny oraz jak wyglądają relacje między firmami z sektora cywilnego a wojskiem.

Jak wynika z raportu Center for Naval Analyses, chińska armia pracuje nad wykorzystaniem rojów dronów na wypadek inwazji na Tajwan. To przerażające, szczególnie że według nowego raportu Pentagonu, Chiny chcą być gotowe na udany atak na Tajwan do końca 2027 r.

Z tej perspektywy zgoda na sprzedaż Chinom chipów Nvidii jest jeszcze bardziej niezrozumiała. Nie jest jednak tak, że Chińczycy będą teraz bez zahamowań korzystać z amerykańskich technologii do celów wojskowych. Chińskie władze, z obawy przed infiltracją ze strony wywiadu USA, mogą mieć ograniczone zaufanie do amerykańskich chipów.

Poza tym produkty Nvidii są potrzebne tylko do najbardziej zaawansowanego sprzętu. Tymczasem np. do produkcji wielu pocisków rakietowych wystarczą chipy starszej generacji.

Skoro mówimy o technikaliach: czym różnią się chipy H200 – jedne z najbardziej zaawansowanych chipów AI na świecie, produkowane przez Nvidię – od tych produkowanych przez chiński koncern Huawei?

Chipy H200 oferują ogromną moc obliczeniową, która jest potrzebna do trenowania sztucznej inteligencji. Natomiast chipy produkowane przez Huawei są pod

Chińska wolta Donalda Trumpa

UTRZYMANIE PRZEWAGI USA nad Chinami w dziedzinie sztucznej inteligencji to jeden z priorytetów administracji Trumpa. Poluzowuje ona liczne przepisy, aby przyspieszyć budowę centrów danych, potrzebnych do trenowania modeli sztucznej inteligencji. Choć Trump powtarza, że Ameryka „wygra wyścig AI", to równocześnie ogłosił decyzję, która według ekspertów podkopuje bezpieczeństwo Stanów i ich technologiczną dominację. Prezydent zezwolił mianowicie, aby firma Nvidia sprzedawała Chinom zaawansowane chipy AI, w tym chipy H200, jedne z najnowocześniejszych na świecie. Wprawdzie sprzedaż ta obwarowana jest restrykcjami – teoretycznie Chińczycy nie mogą wykorzystywać ich do celów wojskowych – jest to odwrót od polityki Bidena, który jesienią 2022 r. zaczął ograniczać sprzedaż Chinom najbardziej nowoczesnych chipów AI.
Trump dokonał tej wolty, choć jego administracja w kwietniu 2025 r. nałożyła restrykcje na dostawy do Chin mniej zaawansowanych chipów Nvidii – modelu H20. Twardy kurs trwał jednak krótko, bo po zaledwie trzech miesiącach obostrzenia zniesiono.
Wcześniej, za pierwszej kadencji Trumpa, jego administracja zabiegała o osłabienie technologicznej pozycji Pekinu, np. naciskając na rząd Holandii, aby zablokować sprzedaż Chińczykom holenderskich urządzeń do litografii EUV. To kluczowy dla sfery AI sprzęt, służący do produkcji zaawansowanych chipów na dużą skalę. © MZ

eprasa.pl 6b5ff1c250

względem technologii o kilka lat do tyłu. Są mniej efektywne, częściej zawodzą i mają znacznie mniejszą wydajność obliczeniową. To sprawia, że do osiągnięcia porównywalnej mocy z produktami Nvidii trzeba użyć znacznie więcej chipów.

Porozmawiajmy o słabych punktach Amerykanów. Niektórzy eksperci biją na alarm, że zastosowanie sztucznej inteligencji do celów wojskowych w USA jest wciąż w fazie eksperymentalnej, i że cały ten proces spowalniają procedury biurokratyczne Pentagonu. Zgadza się Pan z tym?

Zdecydowanie tak. W wyścigu AI liczy się nie tylko posiadanie najlepszych modeli językowych, ale także szybkie ich wdrażanie, również w armii. Tymczasem Pentagon słynie z wolnego procesu zamówień nie tylko uzbrojenia, ale też oprogramowania i nowych technologii.

Wprawdzie w ostatnich latach współpraca z firmami z Doliny Krzemowej znacznie się poprawiła. Z Pentagonem blisko współpracują m.in. producent technologii wojskowych Anduril, OpenAI czy Google. Jednak jest tu jeszcze sporo do poprawy.

Ostatnio głośno o tarciach między Pentagonem a firmą Anthropic, twórcą modelu językowego Claude. Firma nie zgodziła się na używanie modelu bez ograniczeń, np. do inwigilacji Amerykanów i prac nad bronią w pełni autonomiczną. W odwecie Trump nakazał agencjom federalnym zaprzestanie korzystania z technologii tej firmy, choć niewykluczone, że dojdzie tu jeszcze do zwrotu akcji.

Takich tarć może być coraz więcej. Mówimy o technologii ważnej z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego, ale dostarczanej przez sektor prywatny. Pentagon nie ma tu więc tak dużo do powiedzenia, jak w przypadku technologii, które rozwijały się w wyniku badań rządowych.

Wracając do czynników utrudniających zastosowanie AI w amerykańskiej armii: kolejną przeszkodą są skomplikowane procedury związane z wdrożeniem zakupionych już technologii. A jeszcze następną – zbyt mała wydolność przemysłu obronnego w USA. Stany mają dziś problemy z szybką produkcją uzbrojenia na

ARCHIWUM PRYWATNE

DR SAM WINTER-LEVY jest ekspertem ds. technologii i stosunków międzynarodowych z amerykańskiego think tanku Carnegie Endowment for International Peace. Zajmuje się tematem skutków nowych technologii, w tym sztucznej inteligencji, dla bezpieczeństwa i geopolityki. Jego analizy publikowane są m.in. na łamach „Foreign Affairs", „Foreign Policy" i „Washington Post".

dużą skalę, co uświadomiła nam wojna w Ukrainie i braki, jakie mieliśmy w zapasach sprzętu po dostawach dla Kijowa.

W USA rośnie sprzeciw wobec centrów danych. Ich budowa prowadzi do gwałtownego wzrostu cen energii w okolicy takiego centrum, co uderza w mieszkańców. Czy opór wobec takich inwestycji może być hamulcowym dla amerykańskiego potencjału w sferze AI?

Absolutnie tak. Jeśli Ameryka nie będzie w szybkim tempie budować centrów danych, może to osłabić jej pozycję w rywalizacji z Chinami. Pekin nie ma problemu ze zduszeniem ewentualnych protestów mieszkańców. Temat centrów danych – i szerzej: sztucznej inteligencji zabierającej ludziom pracę – będzie w USA coraz bardziej polityczny.

Burzliwe nastroje widać w ruchu MAGA. Jego zwolennikom nie podoba się, że administracja Trumpa stawia na szybki rozwój sztucznej inteligencji bez nakładania dodatkowych obostrzeń, które mogłyby go regulować.

Z jednej strony w Partii Republikańskiej mamy frakcję protechnologiczną, trzymającą się blisko z firmami AI. Z drugiej zaś strony jest właśnie ruch MAGA, sceptyczny wobec sztucznej inteligencji i Big Techów. Partyjny rozłam w tej kwestii będzie się pogłębiać.

Widząc opór Amerykanów wobec AI, politycy – z obu stron sceny partyjnej – będą coraz mniej entuzjastycznie nastawieni do tej technologii, szczególnie teraz, gdy zbliżają się listopadowe wybory do Kongresu.

Są już pierwsi politycy, jak senator Bernie Sanders, którzy nawołują w ogóle do ogólnokrajowego zakazu budowy centrów danych [w orędziu o stanie państwa z 24 lutego Trump mówił, że firmy Big Tech powinny budować własne elektrownie, by zasilać centra danych i tym samym rozwiązać problem wyższych rachunków za prąd w okolicy; tydzień później przedstawiciele największych koncernów technologicznych obiecali w Białym Domu, że wezmą na siebie koszty związane z ogromnym zużyciem energii elektrycznej przez centra danych – red.].

Colin H. Kahl, podsekretarz obrony w administracji Bidena, twierdzi na łamach „Foreign Affairs", że w wyścigu AI nie będzie jednego zwycięzcy. Że jest bardziej prawdopodobne, iż Stany i Chiny będą liderami w poszczególnych dziedzinach, w których sztuczna inteligencja ma zastosowanie.

Za wcześnie na takie tezy, choć wydaje się, że to scenariusz prawdopodobny. Stany dysponują bardziej zaawansowanymi modelami AI, ale to Chiny, wraz ze swoją ogromną infrastrukturą przemysłową, mogą szybciej zastosować użycie swoich modeli przy budowie robotów, w fabrykach czy w pojazdach.

Chiny mocno inwestują w sztuczną inteligencję w różnych gałęziach produkcji. Do tego, jak już mówiliśmy, chińskie firmy oferują otwarte modele językowe, przez co łatwiej im podbijać zagraniczne rynki, szczególnie w biedniejszych krajach Globalnego Południa.

Dlatego nie sądzę, aby któryś z tych dwóch krajów – USA lub Chiny – mógł sobie przypisać tytuł lidera dyktującego drugiej stronie warunki. To zbyt wielopoziomowa walka.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem"

eprasa.pl 6b5ff1c250

BUNTOWNICZKA

MARTHA HEIZER, DZIAŁACZKA:

Kiedy rozpoczęliśmy działalność ruchu „My jesteśmy Kościołem", otrzymałam dwie groźby śmierci. Żałowali, że już nie ma stosów, na których można by mnie spalić.

ZUZANNA RADZIK: Jak to się wszystko zaczęło?

MARTHA HEIZER: Z Kościołem katolickim? Mój pierwszy kontakt nastąpił nieświadomie, ochrzczono mnie kilka godzin po narodzinach. Bez matki, która musiała pozostać w łóżku, ale chrzest był w tych czasach bardzo ważny, bo gdybym umarła, nie mogłabym dostać się do nieba.

Urodziłaś się w Tyrolu pod koniec lat 40. Rodzice byli bardzo religijni?

W każdą niedzielę chodzili na mszę, a rano, wieczorem i przed posiłkami modliliśmy się. Ale to wszystko. Nie rozmawiali o tym zbyt wiele ani nie mówili mi, jak mam się zachowywać zgodnie z zasadami chrześcijaństwa, poza tym, że mam kochać bliźnich.

Co sprawiło, że stałaś się buntowniczką w Kościele?

Kiedy miałam 18 lat, zostałam liderką katolickiej organizacji młodzieżowej w Tyrolu. Wtedy poznałam przywódców naszego Kościoła w mojej diecezji. Zobaczyłam, jak bardzo są ludzcy i jak wiele błędów popełniają w swoim życiu. Nie miałam pojęcia o teologii poza tym, czego nauczano mnie w szkole, ale wiedziałam, że coś jest nie tak. Zaczęłam więc z nimi dyskutować. Potem miałam okres, kiedy byłam dość daleko od Kościoła – studiując psychologię i pedagogikę, poznałam myśl Marksa i Freuda. Następnie poznałam mojego przyszłego męża, który studiował teologię. Był bardzo krytyczny wobec tej teologii, której musiał się uczyć.

Czyli studia oddaliły Cię od Kościoła.

Zawsze chodziłam w niedzielę na mszę świętą, ale w głębi serca nie byłam zbyt zaangażowana. Potem urodziły się nasze dzieci, co przyjęłam z pokorą i wdzięcznością, i co doprowadziło mnie do intensywniejszej modlitwy i pogłębienia relacji z Jezusem.

Macierzyństwo spowodowało Twoje nawrócenie?

Może to zbyt daleko idące stwierdzenie... Ale tak. Przeżyłam kilka ważnych doświadczeń związanych z Bogiem. Nie potrafię tego opisać, nie potrafię wyjaśnić, ale doskonale pamiętam, gdzie i w jakich okolicznościach to się wydarzyło. Nawet po tylu latach. Miałam poczucie, że Jezus potrzebuje mnie dla swojego Kościoła. Wcześniej był czas, kiedy chciałam odejść, mówiłam: „Nie, ten Kościół nie jest dla mnie. Ta mizoginia i niedemokratyczne sposoby działania hierarchicznej instytucji". Ale po tym doświadczeniu i kolejnych musiałam zostać.

Skąd wzięło się to poczucie, że to jest Twój Kościół?

Z doświadczenia Boga.

Więc to nie teologia, koncepcja czy książka religijna Cię przekonały?

Nie, nie była to żadna konkretna książka ani nic w tym rodzaju. Oczywiście Sobór Watykański II był ważny, choć kiedy się zakończył w 1965 r., miałam tylko 18 lat. Bardzo ważne było również „nie" dla pigułek antykoncepcyjnych. Wiedziałam, że ten zakaz jest zły. Dlaczego nas nie słuchają? I dlaczego my mamy ich słuchać? Wiedziałam, że muszę powiedzieć, co myślę. Że to ważne, aby oficjalnie, na piśmie, ktoś wyraził swój sprzeciw. Mój mąż mnie wspierał i wyjaśniał mi te kwestie. Zawsze walczyliśmy razem. To też pomaga, prawda?

Jesteście do dziś rodziną reformatorów Kościoła.

Mam kilka przyjaciółek, które nie mają wsparcia ze strony mężów. Myślę, że są bardziej odważne, bo są w swoich działaniach samotne. Mamy grupę, jesteśmy rodziną reformatorów na całym świecie. Ale to osobiste wsparcie... Nie wiem, czy miałabym siłę, żeby to robić bez niego.

Mówisz o ruchu „My jesteśmy Kościołem", którego jesteś współzałożycielką?

Tak. Oraz innych organizacjach projektujących zmianę w Kościele. Nasz ruch powstał w 1995 r. w reakcji na skandal związanym z molestowaniem kleryków przez arcybiskupa Wiednia kard. Hansa Hermanna Groëra. Mój przyjaciel uznał, że trzeba coś zrobić, i poprosił mnie i mojego męża o pomoc. Gdy zaczynaliśmy, nie mieliśmy pieniędzy, komputerów ani telefonów komórkowych i było nas tylko troje. Pracowaliśmy dzień i noc przez wiele miesięcy. Zaczęliśmy w kwietniu, a w czerwcu zebraliśmy ponad pół mi-

ANDREA SABBADINI / ALAMY / BE&W

eprasa.pl 6b5ff1c250

liona podpisów. Austria nie jest tak duża. Chciałam pokazać, że to my jesteśmy normalni. I że jest nas wielu. Zadziałało.

W jakim sensie zadziałało? Po 31 latach dalej zmagasz się z tymi samymi problemami.

Udało nam się zmobilizować pół miliona ludzi w małym kraju. Okazało się też, po latach, że Droga Synodalna w Niemczech doszła dokładnie do tych samych wniosków, co my wtedy. Podobne tematy dyskutowane były też na synodzie o synodalności.

Co znaczy, że Wasze postulaty wciąż nie zostały zrealizowane.

MARTHA HEIZER jest doktorką pedagogiki, przed przejściem na emeryturę pracowała w Instytucie Pedagogiki Religijnej Uniwersytetu w Innsbrucku. Jedna z założycielek, a obecnie szefowa austriackiej organizacji w ramach międzynarodowego ruchu „My jesteśmy Kościołem".

Na zdjęciu:
przed konferencją prasową ruchu „My jesteśmy Kościołem" w czasie synodu biskupów na temat rodziny, Rzym, 2014 r.

Najważniejsze, że ludzie są bardziej świadomi swoich praw. Czują się uprawnieni do robienia tego, co uważają za słuszne i zgodnie ze swoim sumieniem. No i są znacznie bardziej krytyczni wobec decyzji hierarchii. Dla mnie to ma większe znaczenie, niż to, co dzieje się w Watykanie. Nie oczekuję już niczego od biskupów.

Co się zatem liczy?

Że ludzie mają odwagę robić rzeczy, na które nie mieli odwagi 30 lat temu. To nie tylko nasza zasługa, wiem, bo społeczeństwo się zmieniło. Ale sądzę, że mieliśmy w tym spory udział.

Chciałaś zostać kobietą-księdzem? ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

Kiedy miałam 18 lat, może tak. Ponieważ uważam, że to sensowna praca. Pracujesz w parafii, opiekując się ludźmi w bardzo egzystencjalnych sytuacjach. To ma sens! Obiecywać pomoc i łaskę Boga, rozmawiać z nimi, towarzyszyć. Ale nigdy nie zależało mi na byciu *alter Christus* przy ołtarzu i mówieniu „to jest moje ciało". Nie, to nie było dla mnie.

Ale zostałaś ekskomunikowana wraz z grupą przyjaciół za odprawianie mszy. Jak do tego doszło?

Przez ponad 20 lat prowadziliśmy z mężem bardzo intensywne życie parafialne. Mieliśmy krąg modlitewny i chór kościelny. Wiedzieliśmy, gdzie leży klucz do tabernakulum, i kiedy przychodziliśmy w nocy do kościoła, otwieraliśmy tabernakulum, aby się modlić. Byliśmy bardzo tradycyjni. Nasze mieszkanie było zawsze pełne ludzi. Wpadała młodzież, która przygotowywała muzykę na Eucharystię, mój mąż bardzo dobrze gra na gitarze. Z kolei ja bardzo dbam o język, który musi być zgodny z tym, co się chce powiedzieć. Pomagałam im z tekstami. Zawsze przychodzili ludzie po błogosławieństwo. Jeśli byli chorzy, przychodzili do nas. Organizowaliśmy uroczystości i modlitwy o uzdrowienie. Czasami przynosiły skutek.

Brzmi jak klasyczna, charyzmatyczna grupa parafialna.

Mieliśmy piękne doświadczenia, które były bardzo pomocne dla nas samych, dodawały nam sił. Robiliśmy to przez długi czas. Mieliśmy księdza, który nam towarzyszył, trochę podążając za nami i ciągle pytając, czy może to, czy tamto zrobić. To była grupa około 70 osób, dorosłych i dzieci, które pracowały razem. Mieliśmy też mniejszą grupę, około 40 osób, które wyjeżdżały razem na wakacje. To było naprawdę dobre doświadczenie. Wiedzieliśmy, czym może być wspólnota uzdrawiająca. Znaliśmy różne charyzmaty jej członków.

Doświadczyłaś żywego Kościoła?

To było bardzo, bardzo ekscytujące. Ale nasz ksiądz zachorował i zmarł. Był poniekąd mediatorem w naszej wspólnocie, więc gdy go zabrakło, ta się rozpadła. Przetrwało tylko nasze koło modlitewne, ale wspólnota już nie. Ale mieliśmy tak wiele bardzo dobrych doświadczeń, że wiemy, jak powinno być. Dzięki tym wspomnieniom wiemy, jak można być Kościołem.

> Biskup powiedział na początku, że to dla niego bardzo trudne. Ale zaraz dodał: **„Jesteście ekskomunikowani".** Powiedzieliśmy: „OK".

Zaczęliście odprawiać Eucharystię sami?

Musiało upłynąć trochę czasu. Około 10 lat. Ustaliliśmy specjalne sposoby celebrowania Eucharystii bez używania słów, które są niedozwolone. Wiedzieliśmy dokładnie, jak to robić.

Błogosławiliście chleb i wino?

Tak, ale bez słów konsekracji. Po prostu modliliśmy się spontanicznie. W naszym małym kręgu modlitewnym, w którym jest tylko pięć osób, pojawiły się pytania, dlaczego nie doświadczyć tego w pełni? Skoro to sprawia, że czujemy bardzo intensywną więź z Jezusem. Dlaczego nie mielibyśmy tego robić tak, jak robi to Kościół? Ale nie chodziło o to, by używać dokładnie tych samych słów, co kapłan podczas mszy. To nie było ważne. Robiliśmy wszystko bez pisemnych tekstów.

Tak po prostu?

Nasz biskup wiedział o tym od dawna. Pracowaliśmy w instytucjach kościelnych, ja byłam w diecezjalnej komisji kobiet przez 12 lat, a mój mąż pracował w organizacji mężczyzn. Znali nas bardzo dobrze, biskup wiedział o naszych Eucharystiach.

To skąd ta ekskomunika?

Dziennikarka z austriackiej telewizji przyszła do nas z pytaniem, czy mogą sfilmować nasze Eucharystie, o których gdzieś usłyszała. Odmówiliśmy, nawet nie ze strachu, tylko dlatego, że nie lubimy być w centrum uwagi, ani żeby patrzono na naszą modlitwę. Ale ona była nieustępliwa. Po kilku miesiącach jedna z nas powiedziała: „Jeśli jesteśmy do tego powołani, musimy powiedzieć »tak«. To kwestia prawdy". Wtedy się zgodziliśmy. Gdy znaliśmy datę emisji, uprzedziłam naszego biskupa. Od razu powiedział: „No wiesz, teraz już będę musiał zareagować". Odpowiedziałam: „Wiem. Ale co jeszcze powinniśmy zrobić, aby zmienić nasz Kościół?".

I co działo się dalej?

Minęły trzy lata, zanim otrzymaliśmy list od biskupa z prośbą, byśmy do niego przyszli. Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy? Byliśmy jednak ciekawi, co się wydarzy. Biskup powiedział na początku, że to dla niego bardzo trudne. Ale zaraz dodał: „Jesteście ekskomunikowani". Powiedzieliśmy: „OK" i chcieliśmy wyjść. Był zaskoczony, bo mieliśmy 10 dni, by się wycofać. By powiedzieć, że nie byliśmy w pełni władz umysłowych i że nie będziemy tego więcej robić. Wtedy ekskomunika zostałaby zniesiona. Ale tego nie zrobiliśmy.

Gdybyście nie wpuścili dziennikarzy, Wasz biskup po prostu by to ignorował?

Tak. W Kościele katolickim można robić, co się chce, tyle że nie można o tym mówić. Ale my uznaliśmy, że właśnie jest ważne, by o tym mówić.

Jakie są tego konsekwencje?

Nie żyjemy w średniowieczu. Nasze codzienne życie i życie religijne nie zmieniły się. Jeśli już, to na lepsze. Nie wolno mi wygłaszać przemówień w kościołach, w domach studiów i podczas rekolekcji. Nie zapraszają mnie, ale przez całe życie wygłosiłam tak wiele konferencji, że już wystarczy. Więc to nie boli. Myślę, że moja relacja z Jezusem pogłębiła się. Zawsze jest więcej dobrego niż złego. Nic nie może oddzielić mnie od miłości Boga.

Być może nie zmieniło to Twojego życia duchowego, ale jak się czujesz, gdy postrzegają Cię jako radykalną buntowniczkę?

Na początku było dość ciężko. Kiedy rozpoczęliśmy działalność ruchu „My jesteśmy Kościołem", otrzymałam dwie groźby śmierci. Żałowali, że już nie ma stosów, na których można by mnie spalić. Moja rodzina nie pozwalała mi wtedy odbierać telefonów, ponieważ były one tak agresywne. Grożono nam piekłem. Pewna starsza kobieta powiedziała kiedyś mojej 18-letniej wtedy córce, że jej matka

eprasa.pl 6b5ff1c250

ARCHIWUM PRYWATNE

Martha Heizer z mężem Gertem (pierwsi od lewej) na manifestacji ruchu „My jesteśmy Kościołem" podczas obrad konferencji episkopatu Austrii. Demonstranci trzymają transparenty z napisami: „Drodzy biskupi, miejcie odwagę podążać za papieżem" oraz „Zastój reform", Mariazell, czerwiec 2015 r.

jest przestępczynią i trafi do piekła. Trzymaliśmy się jednak razem jako grupa. Moja matka, wtedy już staruszka, była ze mnie bardzo dumna. Po jej śmierci zadzwoniła do mnie jej siostra i też powiedziała: „Jestem z ciebie bardzo dumna". Była starszą kobietą, bardzo zaangażowaną w życie swojej parafii, bardzo konserwatywną. Kiedy zostaliśmy ekskomunikowani, przez kilka tygodni otrzymywałam około stu e-maili dziennie i niewiele z nich było negatywnych.

Trzydzieści lat w opozycji w Kościele. Jakie to uczucie?

Moja córka zawsze mówi: „Nie możesz zająć się czymś naprawdę ważnym?". Ale myślę, że to właśnie jest ważne i ma sens. Dbanie o tę globalną instytucję, jaką jest Kościół. Ale też uświadomienie sobie, że ludzie, którzy nie chcą reform, też są połączeni z Bogiem. Miejmy nadzieję. Jesteśmy w tym samym Kościele, co czasami boli. Czasami myślę, że to nie jest mój Kościół. Potem muszę jednak przyznać, że to również nasz Kościół. Musimy z nimi żyć i musimy się kochać, choć to wcale nie jest łatwe.

Nigdy nie myślałaś, by się wycofać?

Jestem pewna swojego powołania. Zawsze mówię Jezusowi, że jeśli chce, żebym zrezygnowała z tej pracy, musi mi to bardzo dokładnie powiedzieć. I czekam. Mówię: „Czy mógłbyś to zrobić? Jestem zmęczona". Bo tak, jestem zmęczona. Mam za sobą wiele momentów rezygnacji. Ale teraz już nie zrezygnuję. Idę za swoim powołaniem. A jeśli decydujesz się iść za powołaniem, to wszystko staje się łatwe. Decyzja, by je zaakceptować, nie jest łatwa, ale potem konsekwentne podążanie jest łatwe. Wiem, czego mogę się spodziewać, a czego nie. Wiem, że muszę robić to, co uważam za słuszne. I robię. A co z tego wynika, nie jest już moją sprawą. To zadanie Ducha Świętego. Ona musi działać [Martha Heizer celowo podkreśla rodzaj żeński, gdy mówi o Duchu Świętym – ZR].

Skąd bierzesz siłę?

Nie wyczerpujemy naszych baterii w tym samym czasie. Jesteśmy razem. Jest nas wiele. Zawsze jest więc ktoś, kto doda ci sił. Przede wszystkim robi to Jezus. Nawet jeśli czasami nie zdaję sobie z tego sprawy w danej chwili.

Czasem błogosławisz małżeństwa, chrzcisz, sprawujesz posługę chorym i umierającym. Dlatego że nie ma dostępnego księdza czy może ludzie Cię wybierają, bo nie chcą, by ksiądz był z nimi w tym momencie?

W naszym otoczeniu, w Tyrolu, nie zdarza się to często, może kilka razy w roku. Ludzie prędzej przestaną chodzić do kościoła, bo nie lubią księdza, niż poszukają alternatywy. Coraz więcej osób nie chce księdza, ale nadal chcą rytuału i chcą, aby ta chwila była wyjątkowa. Mówi się, że księża mają zbyt dużo pracy, choć myślę, że czasami są trochę leniwi. Ludzie wolą też, by to spotkanie było bardziej osobiste, czego księża nie zawsze potrafią zapewnić. A ponieważ zależy im na błogosławieństwie, przychodzą do nas. Kiedyś błogosławiliśmy małżeństwo, choć rodzice panny młodej byli konserwatywnymi katolikami. Jej ojciec powiedział na koniec do zgromadzonych: „Ponieważ nie mamy tu księdza, błagam was wszystkich, abyście bardzo intensywnie modlili się za tę parę". Nie podobało mu się to, co robiliśmy. Ale zrozumiał, że mamy unieść młodych w swoich modlitwach.

Jakie jest to doświadczenie bliskości podczas rytuałów z innymi wierzącymi?

Intensywne. Być otwartym na błogosławieństwo, które przychodzi, i przekazać je osobie, która tego potrzebuje. Naprawdę bardzo ważne jest, aby rzeczy, które robisz, miały sens.

Trwa Wielki Post. Czym jest ten czas dla Ciebie?

To symbol mojego życia. Bo ja wciąż czekam. Wielkanoc jest obietnicą, że zmartwychwstaniemy. Chcę być w niebie. Wierzę, że będę w niebie i że tam się spotkamy. Często żegnam się z przyjaciółmi, mówiąc: Spotkamy się ponownie w niebie. Wielkanoc jest obietnicą, że powstaniemy z martwych i będziemy razem. Będziemy razem w miłości. Kościół powstanie z martwych jako wspólnota kochających się ludzi.

Zmartwychwstały Kościół będzie inny od tego, który znamy?

Tak. Mam nadzieję na inny Kościół.

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK

eprasa.pl 6b5ff1c250

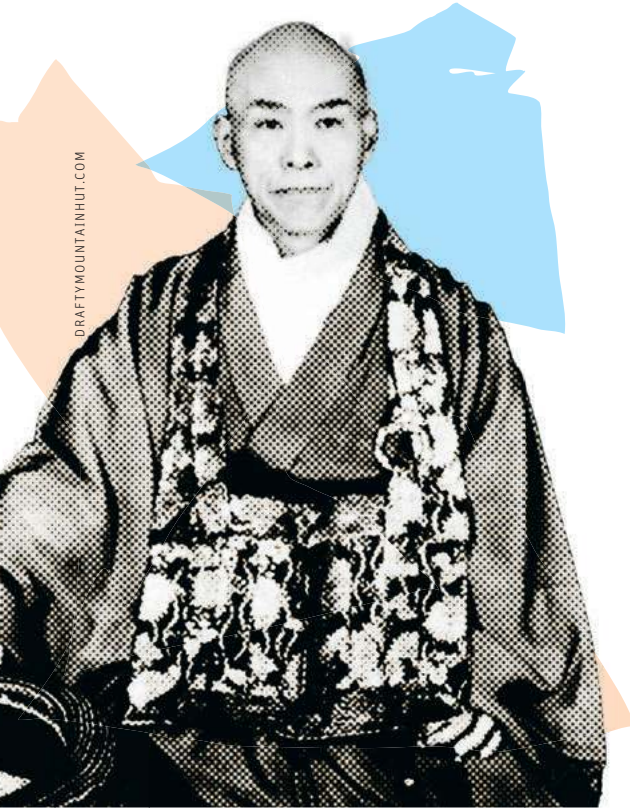

DRAFTYMOUNTAINHUT.COM

SOYEN SHAKU (1860-1919) – japoński mistrz buddyzmu, który spopularyzował medytację zen w Stanach Zjednoczonych. Nauczał, że polega ona na uważności i koncentracji, prowadząc do uspokojenia i wyciszenia umysłu.

TO CZWARTA CZĘŚĆ cyklu o historii zachodniej medytacji. W poprzedniej pisaliśmy, co było jednym z głównych zarzewi rozprzestrzeniania się medytacji we współczesnym świecie, jaki wpływ miała na świat Zachodu książka „Raja Yoga" (1896) swamiego Wiwekanandy, jak mieszało się stare i nowe, Wschód i Zachód, hinduizm i chrześcijaństwo, mistyka i współczesna nauka.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy, jak wypaleni kolonizatorzy z Zachodu zwrócili się ku mądrościom ludów, którymi rządzili, o atrofii kontemplacji chrześcijańskiej u początku XX w. i o innych zwiastunach współczesnej mody na dalekowschodnią medytację.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Zen trafia na Zachód

MACIEJ BIELAWSKI

MEDYTACJA | Importowana z Japonii praktyka wiąże się z introspekcją i analizą samego siebie, polega na uważności i prowadzi do wyciszenia umysłu.

Parlament Religii Świata zorganizowano w Chicago w 1893 r. przy okazji Wielkiej Wystawy upamiętniającej 400-lecie odkrycia Ameryki. Wartość tego spotkania dostrzeżono dopiero po latach, widząc, jak mocno przyczyniło się do dialogu między religiami. Dla nas ważne jest, że pomogło także poznaniu i popularyzacji medytacji. Organizatorzy projektu – sędzia Charles Carroll Bonney, miłośnik Swedenborga, oraz prezbiteriański pastor John Henry Barrow – zaproponowali, by w trakcie obrad przedstawiciele różnych religii spędzili wspólnie kilka minut na medytacji w ciszy.

Wspominaliśmy już to spotkanie w naszym cyklu. Dziś dodajmy, że uczestniczył w nim także Soyen Shaku (1860-1919), trzydziestotrzyletni mnich z buddyjskiego klasztoru Engaku-Ji niedaleko Tokio. Shaku odebrał solidną formację zen od mistrza Imakity Kosena, przebywał też kilka lat na Cejlonie (Sri Lance), gdzie uczył się języka pali, by móc studiować starożytne teksty buddyjskie. Tam też spotkał H.S. Olcotta z Towarzystwa Teozoficznego, o którym też była już mowa, oraz kilku innych zachodnich badaczy buddyzmu – to oni zaprosili go do Chicago.

Ateista kochający Boga

Soyen Shaku nie mówił po angielsku, zabrał więc ze sobą młodego ucznia znającego ten język, Deisetzo Teitaro Suzukiego (1870-1966), z którym przyjechał do USA ponownie, dwanaście lat później, by w głównych miastach zachodniego i wschodniego wybrzeża uczyć medytacji. Po ostatnim pobycie zostawił go zresztą w Stanach, wraz z rękopisem tekstów swych wystąpień, który D.T. Suzuki zredagował i w 1906 r. wydał pod tytułem „Kazania buddyjskiego opata" (*Sermons of a Buddhist Abbot*) w wydawnictwie Paula Carusa. Tak klasyczna dzisiaj pozycja otwarła przed Amerykanami drogę medytacji zen.

Duchowe moce zen

Oczywiście osadza ona medytację w kontekście filozofii buddyjskiej, jednak robi to w sposób przystępny dla zachodniego czytelnika, okraszając nauczanie Buddy licznymi cytatami z Biblii. Soyen Shaku, gdy mówi o medytacji, posługuje się sanskryckim słowem *dhyana*, które tłumaczy jako kontemplacja (a więc inaczej, niż czynił to hindus Wiwekananda) i zarazem wyjaśnia, że wiąże się ona z introspekcją i analizą samego siebie, polega na uważności i koncentracji, prowadzi do uspokojenia i wyciszenia umysłu.

Buddyjski mistrz podkreśla, że praktyka medytacji była znana starożytnym filozofom Grecji i jest obecna w chrześcijaństwie, judaizmie, islamie, jednak na Dalekim Wschodzie, a nade wszystko w buddyzmie została lepiej wypracowana. Po wyjaśnieniu, że medytacja nie ma nic wspólnego z nihilistyczną obojętnością czy iluzoryczną autohipnozą, ukazuje ją jako dyscyplinę, która wyzwala człowieka od negatywnych emocji, oferuje jasność umysłu i uaktywnia ukryte w człowieku duchowe moce.

eprasa.pl 6b5ff1c250

Praktyka dnia codziennego

Soyen Shaku był przekonany, że medytacji należy się oddawać bez porzucania życia w świecie i praktykować ją pośród codziennych zajęć i obowiązków, gdyż wprowadza ona większy spokój i pozwala przeciwstawić się zabieganiu tak charakterystycznemu dla życia we współczesnym świecie. Upraszczając i wyprzedzając pewne fakty, które poznamy w kolejnych częściach cyklu, powiem tylko, że sukces buddyjskiej medytacji na Zachodzie był spowodowany między innymi tym, że ukazywała ona możliwość duchowego rozwoju i życia kontemplacyjnego w świecie, na co nie zdobyło się ówczesne chrześcijaństwo.

Oprócz tego socjologicznego czynnika, który prowadził do zainteresowania buddyzmem i medytacją wśród ludzi Zachodu, był jeszcze inny – nazwijmy go filozoficznym czy nawet teologicznym. Omówmy go już na przykładzie innej postaci.

Poszukiwanie duchowych przygód

Anton Walter Florus Gueth (1878-1957) pochodził z Wisbaden i w młodości poświęcił się muzyce, którą studiował w konserwatorium. Pociągało go także życie duchowe, a jako że pochodził z rodziny katolickiej, wstąpił do benedyktyńskiego klasztoru w Maria Laach. Nie za długo tam pozostał, gdyż – jak potem mówił – niezbyt przemawiała do niego idea Boga osobowego, a bardziej pociągał go panteizm. Po wysłuchaniu konferencji któregoś z teozofów na temat buddyzmu i po przeczytaniu „Katechizmu buddyzmu" Olcotta, który podsunął mu jego nauczycieli muzyki, Gueth w wieku 25 lat wyjechał do Azji.

Najpierw zatrzymał się w Birmie, gdzie między innymi spotkał Charlesa Henry'ego Allana Bennetta (1872-1923), kilka lat od niego starszego Anglika, który również szukał duchowych przygód i doświadczeń pośród birmańskich buddystów. Dwaj młodzieńcy zaprzyjaźnili się i zostali buddyjskimi mnichami. Anglik przyjął imię Bhikkhu Ananda Metteyya, Niemiec zaś otrzymał imię Nyanatiloka Mahathera.

Ponieważ Gueth chciał lepiej poznać oryginalne pisma buddyjskie w języku pali, przeniósł się na Cejlon. W 1906 r., po kilku latach studiów, ascezy i medytacji wydał, już pod imieniem Nyanatiloka, książkę „Słowo Buddy" (*Das Wort des Buddha*), która z czasem stała się także niezwykle poczytna, tłumaczona i nieustannie wznawiana na Zachodzie. W pozycji tej Nyanatiloka omówił osiem głównych praktyk zalecanych przez Buddę w celu osiągnięcia wyzwolenia; opisując jedną z nich, techniczny zwrot *samma-sati* przełożył na niemiecki jako *Achsamkeit*, co można by wyrazić jako uważność lub medytację. Warto zauważyć, że książka Nyanatiloki ukazała się dokładnie w tym samym roku, co omówione wcześniej „Kazania" Soyena Shaku.

Kryzys idei Boga osobowego

Dalsze losy Niemca, który zamiast benedyktynem został buddyjskim mnichem, były równie ciekawe i barwne, ale nasz cykl nie jest miejscem, które można by im poświęcić. Wspomnijmy tylko, że w kwietniu 1919 r. Nyanatiloka przebywał w Neapolu, gdzie spotkał Alexandrę David-Néel, bohaterkę pierwszego odcinka naszej historii, która rok później przyjechała do niego na Cejlon, by studiować byddyzm, pogłębiać medytację i znajomość języka pali.

Najciekawszym wątkiem tej historii, który rzuca snop światła na to, dlaczego niektórzy ludzie Zachodu na przełomie XIX i XX w. skierowali się w stronę buddyzmu i tamtejszej medytacji, jest przykład młodego Guetha, odwracającego się od idei Boga osobowego i modlitwy. Bo bez wątpienia u podstaw medytacyjnego ruchu w XX w. leży kryzys idei Boga osobowego i związanej z nią duchowości. Propozycja praktyki medytacji buddyjskiej wychodziła naprzeciw właśnie tego rodzaju trudnościom. ©

Osiem myśli Soyena Shaku

- Rano, przed ubraniem się, zapal kadzidło i medytuj.
- Idź spać o stałej porze. Spożywaj posiłki w regularnych odstępach czasu. Jedz z umiarem i nigdy do syta.
- Przyjmuj gości z takim samym nastawieniem, jakie masz, gdy jesteś sam. Gdy jesteś sam, zachowuj takie samo nastawienie, jakie masz podczas przyjmowania gości.
- Uważaj na to, co mówisz, i cokolwiek mówisz, praktykuj to.
- Kiedy nadarzy się okazja, nie przegap jej, ale zawsze zastanów się dwa razy, zanim coś zrobisz.
- Nie żałuj przeszłości. Patrz w przyszłość.
- Miej nieustraszoną postawę bohatera i kochające serce dziecka.
- Idąc spać, śpij tak, jakbyś zapadł w swój ostatni sen. Po przebudzeniu natychmiast opuść łóżko, jakbyś pozbył się pary starych butów.

POŻEGNANIE

Elizie Kąckiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Ojca

Andrzeja Kąckiego

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

eprasa.pl 6b5ff1c250

Dać Słowu głos

JAN MACIEJEWSKI

MUZYKA | Czy muzyka jest jedynie „rozrywką", odwracającą naszą uwagę od trudów życia? Czy może raczej materializacją odwiecznego porządku świata? I dlaczego „Mesjasz" rozsierdził purytanów i filozofów?

Wyobraźmy sobie zorganizowaną grupę przestępczą. Jej członkowie, winni – weźmy na to – zdrady stanu, zostają schwytani i uwięzieni. Siedząc w więzieniu, nie bardzo jednak przejmują się czekającym ich sądem. Tymczasem jego werdykt wydaje się przesądzony: winy są ogromne, dowody – jasne i klarowne, nawet sami oskarżeni nie zamierzają się ich wypierać. Jednak zamiast obmyślać linię obrony czy planować ucieczkę, czas spędzony w odosobnieniu przeznaczają na organizowanie sobie rozrywek.

Najbardziej cieszy ich komponowanie muzyki. Zaczynają więc pisać utwór na temat czekającego ich sądu: charakteru sędziego, metod jego działania, grożącego im wyroku... Tymczasem jednak król – którego zdradzili, a zdradziwszy nie próbowali nawet prosić o łaskę – lituje się nad nimi. Wysyła im do więzienia akt ułaskawienia, niespodziewanego i niezasłużonego uwolnienia od czekającej ich kary. Istnieje tylko jeden warunek: mają się wyrzec swojej zdrady, zejść ze ścieżki zbrodni. A co na to nasi więźniowie? Zamiast dokonać aktu skruchy, również ten ostatni dokument, akt łaski, włączają w ramy swojego dzieła: komponują melodie do jego słów, instrumentalizują, opracowują muzycznie. I jakby nigdy nic, grają dalej.

Zamiast klatki

„Doprawdy, gdyby coś takiego zdarzyło się naprawdę, to choć mógłbym podziwiać gust muzyczny tych ludzi, musiałbym współczuć ich brakowi rozsądku" – konkludował wielebny John Newton, autor tej rozbudowanej metafory, która stała się częścią jednego z jego kazań atakujących oratorium „Mesjasz" Georga Friedricha Händla. Przytacza ją o. Błażej Matusiak OP w swej książce „Mój Mesjasz" (W drodze, 2025) . W jej podtytule znalazło się skromne słowo „przewodnik", choć zarówno kazanie Newtona (skruszonego handlarza niewolników, gorliwego kaznodziei-abolicjonisty), jak i wiele innych jej fragmentów jest nie tyle przewodnikiem, co pretekstem. Dylemat, do rozstrzygnięcia którego prowokuje, brzmiałby następująco: jeśli świat jest więzieniem, a nasze ciała – klatkami, w których zostaliśmy osadzeni, to muzyka może jedynie uprzyjemnić nam czas odbywania kary, oderwać od niej myśli. A jeśli muzyka byłaby czymś więcej – jak w newtonowskiej metaforze – innego rodzaju strategią obrony, prośbą, którą wykonuje się nie po to, by zająć czymś myśli, ale żeby faktycznie została usłyszana (i wysłuchana), to także nasze myślenie o świecie musi się zmienić. Byłby on czymś więcej niż klatką, miejscem odbywania kary. Okazałby się instrumentem. Grającym swoją pieśń, czekającym, aż człowiek dołączy się do trwającego bez przerwy kosmicznego muzykowania.

Sędzia czy Zegarmistrz?

Kilka dni po premierze „Mesjasza" pewien brytyjski lord pochwalił Händla za „szlachetną rozrywkę" (*entertainment*), jaką było dla Londyńczyków wykonanie tego dzieła. „Milordzie, byłoby mi przykro, gdybym ich tylko rozerwał; chcę ich uczynić lepszymi" – miał odpowiedzieć kompozytor.

Czas odgrywa tu kluczową rolę. „Mesjasz" skomponowany został w 1741 roku. Dzieło idzie pod prąd kilku dokonujących się właśnie przewrotów. Pierwszym z nich, w myśleniu religijnym, był deizm: wyobrażenie Boga tyleż wielkiego, co oddalonego od człowieka. Równie potężnego, jak i niezainteresowanego losem jego stworzeń „zegarmistrza wszechświata". Tego, który raz nakręcając mechanizm, puścił go przed wiekami w ruch, a teraz co najwyżej przygląda się z oddali dalszym jego losom. Odzwierciedleniem deizmu w myśleniu o państwie była idea „wszechmocnego prawodawcy" – tego, który raz ustalając reguły, nie musi się już więcej wtrącać w ich egzekwowanie. Tak jak Bóg deistów nie dokonuje cudów, nadzwyczajnych interwencji, tak też rządzący ich państwem (przynajmniej w teorii) nie powinni uciekać się do decyzji – interwencji „zza światów". Reguły rządzące państwem i światem powinny wystarczać same przez się.

Bóg w teatrze

Tymczasem Bóg w oratorium Händla jest Bogiem Abrahama i Izaaka, Mesjaszem zapowiadanym przez proroków, Bogiem wcielonym i zmartwychwstałym w ciele. Dokonującym cudów, wypełniającym proroctwa. Trudno naprawdę orzec, kto był bardziej rozsierdzony przyjściem „Mesjasza" – gorliwi purytanie czy oświeceni filozofowie. Wiemy już, co w dziele Händla rozsierdzało tych drugich. Pierwsi mieli z kolei żal między innymi o to, że swoją premierę miał nie w kościele, tylko w teatrze. Co gorsza, chętnych do wzięcia w tym wydarzeniu udziału było tylu, że aby zmieścić jak najwięcej osób, panie poproszono, by zrezygnowały z krynolinowych obręczy w sukniach, panów z kolei, aby pozostawili w domach szpady. „Dawid powiedział: »Jakże mamy śpiewać Pieśń Pana w obcym kraju«; ale z pewnością uważałby za jeszcze dziwniejsze śpiewanie jej w teatrze. (...) nie jest ono [oratorium] wykonywane jako akt religijny, ale jedynie dla rozrywki i zabawy. (...) jakąż profanacją Imienia i Słowa Bożego jest czynienie z niego tak łatwego Użytku!" – grzmiała londyńska prasa.

Na nic się to zdało. Popularność kompozycji oraz charytatywny charakter koncertów, podczas których ją wykonywano, sprawił, że – jak pisał angielski muzyk Charles Burney –„»Mesjasz« karmił głodnych, ubierał nagich, opiekował się sierotami i wzbogacał kolejnych dyrektorów oratoriów, bardziej niż jakakolwiek inna produkcja muzyczna w tym czy którymkolwiek innym kraju".

eprasa.pl 6b5ff1c250

HIROYUKI ITO / GETTY IMAGES

„Mesjasz" G.F. Händla w wykonaniu orkiestry Concert Royal oraz chóru chłopięco-męskiego z kościoła św. Tomasza w Nowym Jorku, grudzień 2013 r.

Odwrócone zwierciadło

„Mesjasz" jest też łabędzim śpiewem pewnego sposobu rozumienia samej muzyki. Jest ona zawsze zwierciadłem: odbija, prezentuje, przedstawia. Händel pisze swoje oratorium w momencie, gdy zwierciadło to właśnie zaczynało się odwracać. Już za moment odbijać się w nim zacznie wnętrze artysty. Jego przeżycia, wspomnienia, ale przede wszystkim emocje. Kiedy słuchamy z jednej strony Bacha czy Händla, a z drugiej – Schumanna czy Chopina, to mimo iż kompozytorów tych dzieli ledwie kilka dekad, reprezentują już inne światy. Nuty, skale, tonacje, instrumenty – wszystko jest jeszcze to samo. Ale cel, ambicja i kryterium sukcesu – zupełnie inne.

Przed romantycznym przesileniem było nim zdobycie za pomocą muzyki wiedzy o świecie. Po nim – ekspresja wewnętrznych przeżyć artysty. Jego własnych, prywatnych światów. Przed przełomem, u progu którego stoi „Mesjasz", jeżeli wywoływała ona przy okazji emocje, to raczej na zasadzie przepaści czy krajobrazu obserwowanego przez wędrowca, który może obrócić się przez ramię, przystanąć na chwilę, ale zaraz potem rusza dalej. Celem było odzwierciedlenie, ukazanie na tafli dźwięków rzeczywistości zewnętrznej w stosunku do kompozytora. Nigdzie nie widać (słychać) tego lepiej niż w trzech ostatnich, wielkich dziełach Jana Sebastiana Bacha: „Wariacjach Goldbergowskich", „Kunst der Fuge" i „Das Wohltemperierte Klavier". Bardziej traktatach teologicznych niż muzycznych kompozycjach. Najbardziej absolutnej, myślącej wyłącznie samą siebie, muzyce, jaka została napisana.

Wcielenie Słowa

Z „Mesjaszem" sprawa ma się nieco inaczej, przede wszystkim dlatego, że muzyka jest tu napisana do słów. I to nie byle jakich, ale z Pisma Świętego. To o nich – słowach – myśli. To je przeżywa i ich śladem podąża. Nie ma wiele wspólnego z muzyką religijną naszych czasów. Nie jest obliczona na efekt emocjonalny. Wywiera go, oczywiście, ale mimochodem. Jak podczas premiery „Mesjasza": gdy zabrzmiały słowa o królowaniu Boga (w chórze „Alleluja"), cała publiczność – łącznie z obecnym na sali królem Jerzym VI – spontanicznie stanęła na baczność. Od tamtej pory przyjął się zwyczaj słuchania tej części oratorium Händla na stojąco.

Ale takie momenty to wciąż tylko widok dostrzeżony podczas górskiej wędrówki. Postój, nie szczyt. Gdzie znajduje się ten ostatni? Weźmy arię „But who may abide" (Ale kto przetrwa) z pierwszej części oratorium, do słów proroka Malachiasza: „Ale kto przetrwa dzień Jego nadejścia i kto się ostoi, gdy się ukaże? Albowiem On jest jak ogień złotnika". Muzyka towarzysząca pierwszemu zdaniu jest beznadziejnie smutna, rozpaczliwa – na pytanie wyrażone w słowach proroka, dźwięki odpowiadają: nikt. I nagle następuje zwrot akcji. Zmienia się tempo – z powolnej rozpaczy przyspiesza do najszybszego z możliwych (*prestissimo*). „Smyczki się burzą i odmalowują ogień złotnika, o którym mówi Malachiasz. Skrzą się ogniste iskry, tak jakby to był »Krzesany« Wojciecha Kilara" – pisze w swoim komentarzu Matusiak. Tak jak smyczki zderzają się ze strunami skrzypiec, tak słowa ścierają się z muzyką. Jakby chciały zetrzeć z niej niedomówienia, niepewność, wątpliwość. Dać im ciało, kształt, zapach. Dać Słowu głos.

Joseph Ratzinger pisał w „Jezusie z Nazaretu", że wraz z przyjściem Chrystusa na świat słowa proroków przestały być „bezpańskie". Zyskały coś więcej niż wytłumaczenie – stały się człowiekiem. Weszły w Jego posiadanie. Tłumaczyła je nie glossa czy komentarz, ale żywe usta. Spełnieniem obietnic mogła być tylko osoba z krwi i kości.

Z zachowaniem wszelkich proporcji można powiedzieć, że komponowanie muzyki do słów proroków – jest innego rodzaju, ale także ich wcieleniem. Ich materializacją, przybraniem przez nie stroju z dźwięków, okrycia z rozedrganego powietrza. Jak pisał św. Augustyn – kto śpiewa, modli się dwa razy. ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

Matematyka uszu

Muzyka jest podwójną modlitwą, bo obok człowieka, za jego sprawą modli się cały świat. Augustyn jest, obok Boecjusza, prawodawcą klasycznego rozumienia muzyki. Kontynuatorem tradycji sięgającej pitagorejczyków, w której rzeczywistość daje się ostatecznie sprowadzić do liczb, wyjaśnić za ich pomocą. A muzyka to matematyka dla uszu. Model wiecznych proporcji i relacji między bytami. Matryca porządku. „A stopień doskonałości odzwierciedlenia wiecznych wzorców proporcji stanowi o doskonałości danej muzyki" – pisała w jednym ze swoich esejów Antonina Karpowicz-Zbińkowska.

Kiedy więc słowa modlitwy unoszą się na falach dźwięków, to wydobywa się ona z głębi już nie tylko ludzkiej duszy, ale „duszy świata", jego – wyrażalnej w liczbach, słyszalnej w dźwiękach – natury.

Modlitwa, która jest śpiewem, odbija też w sobie całe napięcie tego aktu. Zwątpienie, dystans, rozpacz. Bo przecież harmonia, porządek może się pojawić tylko tam, gdzie wcześniej wkradł się fałsz, zło i upadek. W odpowiedzi na nie. „Fabuła muzyki" to wieczne naciąganie liny między dysonansem a konsonansem. „Tam, gdzie wszystko jest dobrem, nie występuje porządek, bo tam trwa najwyższa sprawiedliwość, która nie wymaga istnienia porządku" – pisał Augustyn.

„Mesjasz" karmił głodnych, ubierał nagich, opiekował się sierotami i wzbogacał kolejnych dyrektorów oratoriów, **bardziej niż jakakolwiek produkcja muzyczna w którymkolwiek kraju.**

„Mesjasz" to oratorium – a więc właśnie modlitwa. Jedna z ostatnich takich modlitw, okrywająca wzorami wiecznych proporcji zapowiedzi proroków i fragmenty Ewangelii. Modlitwa na dwa głosy, człowieka i świata.

Muzyka skazańców

I tu dochodzimy do historii naszych zdrajców stanu, bohaterów kazania Johna Newtona, aktu oskarżenia wysuniętego wobec „Mesjasza". Komponowana przez nich muzyka, najpierw na temat własnej zdrady, a następnie – do słów wysłanego im przez króla aktu łaski, okazywałaby się najlepszą możliwą odpowiedzią. Sformułowaną w języku odwiecznych praw, w tonie usprawiedliwienia. Muzyka jest bowiem matrycą, schematem każdej teodycei – nie tyle usprawiedliwiania zła (fałszywego dźwięku), co wykorzystywania go do wejścia na wyższy poziom harmonii.

A co najważniejsze, nasi skazańcy nie wymyślili języka, w którym sformułowali swoją odpowiedź. Wzięli go ze świata, z samej istoty jego natury. Jak pisał Chesterton, „Najbardziej prawdopodobne, iż wciąż żyjemy w raju. To tylko nasze oczy się zmieniły". Nie tylko oczy. Uszy również. © JAN MACIEJEWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 6b5ff1c250

O. WACŁAW

Oszajca:
Widzieć znaczy wierzyć

Perykopa o wydarzeniu przy sadzawce Siloam ukazuje tragedię ludzi, którzy uważają, że istnieć mają prawo tylko ci, których oni uznają za godnych istnienia. Wszystkich innych należy obśmiać, zdemonizować, potępić i odrzucić. Tak jak mamy w tym opowiadaniu. Zachowanie Jezusa nie spodobało się zwłaszcza faryzeuszom i saduceuszom. Inni poczuli się zaskoczeni i zgorszeni. Rodzice uzdrowionego przezornie powstrzymują się od odpowiedzi. Inni zaczynają się sprzeczać, trzeba przyznać całkiem rozsądnie. Jedynie Jezus i niewidomy od urodzenia trwali przy swoim i swego bronili. I tak spokojne początkowo spotkanie z czasem przerodziło się w kotłowaninę sprzecznych uczuć, rozpiętych między miłością a nienawiścią. Wszystko to doprowadziło do tego, że uważający siebie za najpobożniejszych zaczęli się jawić jako bezbożni, czyli niewidomi, a bezbożni jako prawdziwie wierzący, czyli widzący, to znaczy umiejący dostrzec i usłyszeć Boga w tym, co się dzieje tu i teraz, a nie tylko w przeszłości.

Jak widać Jezusowi najwięcej kłopotu przysparzali ci, którzy mówili: „My wiemy, że ten człowiek [Jezus] jest grzesznikiem (...) My wiemy, że sam Bóg przemówił do Mojżesza. O Nim zaś nawet nie wiadomo, skąd pochodzi (...) Wiemy, że Bóg nie wysłuchuje ludzi grzesznych, natomiast wysłuchuje każdego, kto jest pobożny i pełni Jego wolę”. Nie mogąc pokonać uzdrowionego, podważyć faktów, orzekli: „Urodziłeś się pogrążony w grzechach i ty chcesz nas pouczać? Po czym wyrzucono go precz”. Po jakimś czasie Jezus spotkał go znowu i ten na pytanie: „Czy ty wierzysz w Syna Człowieczego?”, odpowiedział: „»Wierzę, Panie«, po czym oddał Mu głęboki pokłon”. Pozostali zaś usłyszeli: „Gdybyście byli niewidomi, nie mielibyście grzechu; ponieważ jednak teraz stwierdzacie: Widzimy, pozostajecie w grzechu”.

„Radujcie się”, takim wezwaniem rozpoczyna się druga połowa postu i jest ono skierowane zwłaszcza do tych, którzy za Pawłem Apostołem wierzą, że: „Teraz widzimy niewyraźnie jak w lustrze, potem będziemy oglądać twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, potem poznam tak, jak sam zostałem poznany. Teraz więc trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość”. „Wierzę, Panie, uzdrów mnie z mojej niewiary!”. Poznać znaczy tyle, co pokochać. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Przypowieść o bogaczach

Przywołana w ostatnim tygodniu w liturgii przypowieść o Łazarzu i bogaczu (zob. Łk 16, 19-31) mogłaby być w zasadzie tytułowana przypowieścią o „Łazarzu i dwóch bogaczach”. Bogaczem – oprócz tytułowego – był także Abraham, którego przypowieść pokazuje w momencie niekończącej się zażyłości i bliskości z Łazarzem. Ten – w wieczności – „spoczywa na łonie Abrahama”. Biblia mówi o Abrahamie, że „był bardzo zasobny w trzody, srebro i złoto”. Tak bardzo, że musiał się rozstać ze swoim bratankiem Lotem, który miał również owce, woły i namioty. Kraj nie mógł utrzymać ich obu, bo zbyt liczne mieli trzody (Rdz 13, 2-6)! Był naprawdę bogaty. A jednak...

To określenie zwykle nie przychodzi nam do głowy, gdy chcemy opisać Abrahama. No dobrze, był bogaty, ale nie to opisuje go jako człowieka. Był wierny, posłuszny Bogu, cierpliwy, mężny... (O bogaczu z przypowieści – przeciwnie – nie możemy powiedzieć nic, oprócz tego, że był bogaty: nie ma nawet imienia; ma tylko pieniądze). Przepaść majątkowa, jaka dzieliła w doczesności Abrahama i Łazarza, nie ma żadnego znaczenia. To nie pieniądz jest problemem w naszym życiu! No chyba że odbierze nam – jak bogaczowi z przypowieści – wzrok i słuch. Ślepi i głusi, przegapiamy dwa wielkie Boże dary w naszym życiu. Pierwszym z tych darów jest osoba, którą Bóg nam daje i zadaje. Tak, jak zadawał bogaczowi Łazarza: każdego dnia leżał on na progu jego domu, czekając na resztki ze stołu. Ten nigdy go nie zobaczył! Drugim darem było Słowo Boga – „Mojżesz i Prorocy”. Mógł ich „słuchać”. Gdyby słuchał, pewnie by „nie przyszedł na miejsce męki” (por. Łk 16, 28-29). Jego bracia mogą jeszcze zostać uratowani, jeśli odkryją Prawo i Proroków: jeśli otworzą Pisma – nie aby je czytać, lecz aby słuchać! „Jeśli Mojżesza i Proroków nie słuchają, to choćby kto z umarłych powstał, nie uwierzą”.

Tak. Abraham był z pewnością człowiekiem słuchającym Boga. Nie tylko słuchał, ale był posłuszny. Pismo pokazuje go także jako kogoś, kto podejmuje odpowiedzialność za ludzi – zna wartość każdego człowieka: nie tylko bliskiego (jak wspomniany wyżej Lot), ale i bardzo dalekiego (jak mieszkańcy Sodomy!). Abraham słyszał i widział ludzi – kompletnie inaczej niż bogacz. Najwyraźniej to nie pieniądz sam w sobie jest problemem... ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 6b5ff1c250

HISTORIA

NALOT NADZIEI

5 marca 1982 r. na plaży na Bornholmie zjawiła się grupka Francuzów. Przez kolejne godziny napełniali helem kolorowe powłoki z logo Solidarności, podczepiali do nich ulotki i puszczali z wiatrem. Była to kulminacja akcji „Balony dla Polski".

MIKOŁAJ GÓRSKI

Historia ta zaczyna się w grudniu 1981 r., gdy komuniści ogłosili w PRL stan wojenny, a w Europie Zachodniej oddolnie wezbrała fala solidarności z Polakami. Zbierano żywność wysyłaną tirami, wspierano członków Solidarności na emigracji, organizowano protesty.

Podczas gdy zachodnie rządy zwykle reagowały zachowawczo – w imię niezaostrzania relacji z blokiem wschodnim – wśród Europejczyków dominowały współczucie dla Polaków, poczucie solidarności, pragnienie wsparcia. Dla niektórych – także takiego, które nie ograniczy się do pomocy humanitarnej.

Matematyk, filozof i inni

Wśród tych, którzy chcieli zareagować mocniej, było środowisko francuskich działaczy i intelektualistów ukształtowanych przez doświadczenia końca lat 60.; ludzi zaangażowanych teraz w solidarność z opozycją w Europie Środkowo-Wschodniej. Już w grudniu dyskutowali, jak przełamać blokadę informacyjną PRL-u i okazać swoje wsparcie.

Podobno inspirację dała im scena z książki „Archipelag Gułag" Aleksandra Sołżenicyna, gdzie przy pomocy balonu dostarczano żywność do obozu pracy na Syberii.

Francuzi nawiązali kontakt z polskimi opozycjonistami przebywającymi na emigracji. Na początku stycznia 1982 r. powstał Komitet Wolnych Balonów dla Polski, który za cel postawił sobie przełamanie blokady informacyjnej i spektakularne zamanifestowanie poparcia dla polskiego społeczeństwa. Pomysł był na pozór prosty: wydrukujemy dużą liczbę ulotek po polsku, zrzucimy je na Polskę i nagłośnimy sprawę w mediach zachodnich.

W akcję zaangażowanych było ok. 30 osób, wśród nich matematyk Martin Andler oraz filozof Alain Finkielkraut.

Duńczyk pyta Warszawę

Zebrano fundusze, m.in. ze zbiórki publicznej i środków stowarzyszenia Solidarność Francja-Polska. Po badaniach laboratoryjnych ustalono optymalny materiał na baloniki i prześledzono pogodę z minionych 60 lat, by wybrać najlepszy czas i miejsce wypuszczenia powietrznej armady.

Dobrano też treść ulotek. Tym ostatnim zajął się Piotr Jegliński. W 12-stronicowej ulotce-książeczce zawarto informację o organizatorach akcji, wypowiedzi Jana Pawła II o sytuacji w Polsce, analizę krakowskich prawników o nielegalności stanu wojennego oraz instrukcję budowy powielacza i sposoby postępowania w kontaktach z milicją i wojskiem.

Wszystko było gotowe na początku lutego. Francuzi zwrócili się o zgodę na przeprowadzenie akcji do duńskiego MSZ, skąd skierowano ich do duńskiego Zarządu Ruchu Lotniczego. Ponieważ Konwencja Chicagowska, na bazie której organizowany jest cały cywilny ruch lotniczy na świecie, nakazywała zwrócić się z prośbą o zgodę na „przelot" także do państwa docelowego, duńscy urzędnicy wysłali pytanie do Warszawy.

Władze PRL oczywiście odmówiły, powołując się na bezpieczeństwo ruchu lotniczego. Urzędnicy nie mieli wyjścia – pozwolenia nie wydali. Organizatorzy to zignorowali.

Burmistrz pożycza psa

W piątek i sobotę, 5 i 6 marca 1982 r., z plaży Dueodde na Bornholmie w powietrze wzbiło się 10 tys. balonów. Celowo wybrano piątek, aby Polacy, korzystający z wiosennej pogody i spacerujący po plażach nad Bałtykiem, znaleźli jak najwięcej ulotek.

Duńscy policjanci, którzy przybyli na miejsce akcji, wylegitymowali wprawdzie jej uczestników. Stwierdzili jednak salomonowo, że lotnictwo nie leży w zakresie ich kompetencji i tylko przyglądali się biernie kolejnym odlatującym balonikom.

Na plaży zjawił się też Jens Brandt, burmistrz Bornholmu. Podobno specjalnie na tę okoliczność pożyczył od sąsiadów psa, aby mieć pretekst do „przypadkowego" przechodzenia obok francuskiej ekipy. Porozmawiał z aktywistami, zrobił sobie z nimi zdjęcia, a w końcu uczestniczył nawet w wypuszczaniu balonów. Propaganda PRL będzie później piętnować tę postawę policji i burmistrza.

Czy balony niosą wirusa?

Nie wiadomo, ile balonów dotarło do Polski. Doniesienia o nich dotyczyły całego

eprasa.pl 6b5ff1c250

ALGOT / BORNHOLMS MUSEUM

Sposób na hurtowe wypuszczenie większej ilości balonów. Bornholm, 5 marca 1982 r.

wybrzeża, a nawet okolic Zielonej Góry i Bydgoszczy. Zbierali je milicjanci i żołnierze, a cywilnym znalazcom nakazano oddawanie ulotek, o co dbała Służba Bezpieczeństwa (samo posiadanie takich „treści antypaństwowych" było surowo karane).

Władze PRL wyraziły rzecz jasna oburzenie „ingerencją w wewnętrzne sprawy". Poniechano jednak not dyplomatycznych do Kopenhagi i Paryża – ograniczono się do ustnych wyrazów oburzenia na niższych szczeblach dyplomatycznych.

Za to w machinie propagandy nie było miejsca na dyplomację. Uruchomiono państwowe media, ogólnopolskie i regionalne, by społeczeństwu obrzydzać, jak to ujęto, „balony nienawiści". Mowa była o „brutalnej i rzadko spotykanej agresji propagandowej".

W prasie ukazał się „protest" pracowników Polskich Linii Lotniczych LOT, rzekomo oburzonych zagrożeniem dla ruchu lotniczego, jakie miało wiązać się z tą akcją. Żadne źródło historyczne, w tym żadne archiwalia branżowe (np. pamiętniki pilotów, związki zawodowe, dokumenty PLL LOT) nie potwierdzają, że pracownicy LOT-u podpisywali jakiś protest.

Prasa państwowa twierdziła też, jakoby 10 proc. balonów przenosiło groźnego dla ludzi wirusa. Jako źródło tej informacji podano artykuł z 6 marca, który miał ukazać się w duńskim „Bornholm Tidende". Gazeta ta faktycznie tego dnia wydrukowała materiał o legalności akcji balonowej w świetle przepisów lotniczych, ale nie ma w nim wzmianki o wirusach.

„Świetliki" nad Polską

Nie sposób oszacować, jaki oddźwięk w społeczeństwie wywołała akcja „Balony dla Polski". Z oczywistych względów nie obnoszono się z ulotkami, jeśli trafiły w czyjeś ręce. We wspomnieniach opozycjonistów mówi się o „balonowym desancie" i „świetlikach" – ta druga nazwa wydaje się szczególnie sympatyczna, a odnosi się do widoku balonów lecących późnym wieczorem.

Jedna z ulotek, znaleziona w Borównie koło Bydgoszczy, trafiła do opozycjonistów w tym mieście. Korzystając z opisu powielacza, skonstruowano taką maszynę i drukowano na niej także treści z tej samej ulotki, do dalszego kolportażu.

O wpływie moralnym, jaki wywarła na opozycjonistów akcja, wspominał Władysław Frasyniuk z Wrocławia. Radio Wolna Europa relacjonowało akcję. Plotki się rozchodziły. Można więc założyć, że kto chciał się dowiedzieć, ten się dowiedział.

Pamiętam, choć byłem wtedy dzieckiem, że w latach 80. XX w. społeczeństwo grało z władzami w swoistą ciuciubabkę. Wyraźny był podział na „my" i oni". „My" wytrzymamy, będziemy udawać, że ważniejsze dla nas jest zdobycie podstawowych artykułów niż wolność polityczna. Jednak przy każdej okazji damy „im" prztyczka. A „oni"? „Oni" nie są panami naszych umysłów.

Choć akcja balonowa nie przyniosła więc spektakularnych skutków, była drobnym elementem w tym krajobrazie ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

ALGOT / BORNHOLMS MUSEUM x2

Pierwszy z lewej Jens Brandt, burmistrz Bornholmu. 5 marca 1982 r.

oporu społecznego. Potwierdzającym też, że na Zachodzie są ludzie gotowi poświęcać swój czas i energię dla Polaków.

Francuskie konteksty

A jak było na Zachodzie? Tu media odnotowały akcję i raczej przychylnie się do niej odniosły. Dla komentatorów istotny był efekt psychologiczno-symboliczny: okazanie solidarności, odpowiedź wolnego świata na nielegalny stan wojenny.

Istotny jest kontekst: we Francji ważną pozycję w sferze publicznej miało już „pokolenie '68". Tworzyli je głównie studenci, którzy w latach 60. sprzeciwiali się skostniałym, ich zdaniem, strukturom społecznym, chcieli obalać konserwatyzm i „imperializm". Z czasem dojrzewali, zajmowali stanowiska w mediach, polityce, szkolnictwie, kulturze. To oni mieli później kształtować nowoczesną lewicę liberalną.

Byli to ludzie w młodości zafascynowani socjalizmem w wydaniu sowieckim, z czego wielu z nich wyleczył Sołżenicyn. Pozostali przy lewicowych poglądach, ale zwykle już antytotalitarnych. Przywiązywali przy tym wielką wagę do solidarności między narodami.

Dla nich akcja „Balony dla Polski" miała ważny wydźwięk. Była gestem obywatelskim, kontynuacją tradycji poparcia dla dysydentów i sprzeciwu wobec przemocy systemowej. W codziennej krzątaninie okraszonej aktywnością – w zbieraniu środków, organizowaniu konwojów i paczek do Polski – pojawił się symbol. Metaforyczny balon, który przeleciał nad żelazną kurtyną, by przekazać zamkniętym tam ludziom gest solidarności.

Cele osiągnęli

Natomiast skandynawskie media odniosły się do akcji balonowej z właściwą sobie powściągliwością. Duńczycy skupili się na bezpieczeństwie ruchu lotniczego: zwracano uwagę, że na akcję nie było zgody. Pytanie jednak, czy dla takich baloników zezwolenie było potrzebne? Francuzi dopracowali ich parametry – kolor, wielkość, pułap. Ciężko się do nich przyczepić. Ostatecznie dla Skandynawów akcja była dziwną, ale pokojową formą protestu.

Warto też wspomnieć, że nie był to pierwszy w historii „balonowy nalot" na Polskę. W latach 1951-56 to państwa i wywiady zachodnie finansowały podobną akcję, na znacznie większą skalę. Ówczesna walka psychologiczna to jednak osobna opowieść.

W dobie trwającej wciąż w latach 80. konfrontacji Wschód-Zachód, w tym interwencji sowieckiej w Afganistanie, akcja „Balony dla Polski" nie była wydarzeniem rangi światowej. Organizatorzy nie mieli jednak globalnych aspiracji. A biorąc pod uwagę skutki po obu stronach żelaznej kurtyny, cele swoje osiągnęli.

© MIKOŁAJ GÓRSKI

Autor jest pisarzem zafascynowanym nauką i pilotem balonowym w trakcie szkolenia. Pracuje nad książką o historii aerostatyki.

Akcja wypuszczania 10 tysięcy balonów z logo Solidarności i ulotkami. Bornholm, 5 marca 1982 r.

eprasa.pl 6b5ff1c250

REKLAMA

WYSPA

tekst i reżyseria:
Eugenia Balakireva

PREMIERA: 13 marca 2026

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

scena dom machin

teatrwkrakowie.pl

Na scenie: Bożena Adamek Marta Konarska Wanda Skorny Karol Kubasiewicz Krzysztof Zarzecki

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

KULTURALNA MAŁOPOLSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy Teatru

BMW M-Cars Group

Bielenda GROUP

Patroni medialni Teatru

65 TVP3 KRAKÓW

TEATR DLA WSZYSTKICH

ELIZA

Kącka:
Sucha kupka godzin

Czat z Rudą. Piszemy po rozmowie o odejściu dziadka. „Mówiłaś, że on mnie kochał". „Sama wiesz". „Wiem". Milczymy. „Babcia mówi, że mnie poznawał najdłużej". „Tak, do ciebie najdłużej zwracał się po imieniu". „Uśmiechał się do mnie". „Zawsze go cieszyłaś". Pauza. „Babcia mówi, że ona też będzie leżeć w Lidzbarku. Z Edwardem, Jadwigą, Marianną i dziadkiem". „Wiem". „A ty też się chcesz dołożyć?". Śmieję się tak głośno, że pyta zza ściany: „Co cię tak bawi?". Odpisuję: „Wiesz, tam jest i tak duży tłok". „Co ty mówisz?". „Nie będę im się zwalać na głowę". „A jak zmarł Edward, to było ci smutno?". „Bardzo". „A ty byłaś wtedy na studiach?". „Nie, w liceum". Pauza. „I chciałaś Edwardowi powiedzieć, że zdałaś do kolejnej klasy?". „Tak, brakowało mi rozmów z nim". „Czy mogę pisać do dziadka?". „Pewnie". „A czy mogę napisać list do grobu?". „Możesz". „Bo nie reagował ostatnio, a musi wiedzieć, że zaliczyłam wszystko". „Napisz".

Autobus 118, jazda w kierunku Mokotowa. Obok dwie starsze: „Już by sobie te wojny darowali, pani Halinko". „Prawda". „Nie znam się, ale musi być jakieś wyjście. Trump taki przyzwoity, pomogliśmy mu w wyborach". „Może nasz Karol powinien się do niego odezwać? On męski, spokojny". „Kto wie. Razem by pewno wpadli na jakiś pomysł. Już by się chociaż Rosja mogła z Ukrainą dogadać i oszczędzić nam nerwów". „Mnie Palestyna nie obchodzi". „Phi, za daleko". „I jeszcze Iran? To chyba są oddzielne państwa?". „Chyba tak". „I widzi pani, nawet się miesza człowiekowi". „Jeden czort". „A ci marnują bomby. Mogliby Ukraińców i Ruskich postraszyć". „Mogliby. Ja bym na miejscu Karola zażądała tego dla Polski. Należy się". „Należy".

Plac Unii, czekam na autobus. Przy mnie na ławce siada pani w czarnym płaszczu. Poczytuję „Zimę Muminków", przymykam książkę. Rzut oka na okładkę – i zaczyna płakać. „Przepraszam panią, to była jego ukochana książka, »Zima« właśnie". „Aha". „Marka". „Jasne". Milczymy. „Ma pani ulubionego bohatera?" – zagaja. „Hm, kiedyś to był Włóczykij...". „Ciekawe, wszyscy lubią Włóczykija". „Hehe". „Mąż mówił, że chodzi o tęsknotę. Wie pani: niezależność, wolność". „Owszem". „Marek lubił Paszczaka". „A pani?". „Nigdy nie lubiłam Muminków, w ogóle lektur dziecięcych". „Uhm". „A teraz sięgam, żeby być z mężem, kiedy już go nie ma". „Ciężki czas". „Bardzo. I wie pani, on dla mnie się stał Włóczykijem". „A pani go przyzywa jak Muminek?". „Tak! Nareszcie mogę płakać. Stąd ta reakcja, przepraszam". „Nie ma za co". „To już pół roku, dziś. Jadę do przyjaciółki, będę jej płakać". „Uhm". „Czasem myślę, że lepiej było nie wiązać się na starość. Pięć lat małżeństwa po sześćdziesiątce, wariactwo". „Haha". „Co poradzę, spotkałam go za późno". „Ano". „Ale bez niego życie było tylko suchą kupką godzin. Do widzenia pani". Autobus.

Plac Unii, centrum handlowe, zakupy. Czekam na windę. Obok matka z dwójką dziewczynek w wieku wczesnoszkolnym. Pierwsza mała: „On ma jak nic to na »a«". Matka: „Adahade?". „Nie, to gorsze". „Autyzm?". Druga mała: „To debil". „Zuzka!". „Ma debilą twarz". „Nie mów tak". „Sama mówiłaś, że jego matka to debilka". „Tak, ale nie mówcie tak w szkole". Pierwsza: „On mi psuje klasę". Wsiadamy, ale ktoś ściąga windę ku garażom. Matka: „Powiem na wywiadówce, żeby go zabrali...". Pierwsza: „Yes!". „...ze względu na waszą wrażliwość". „Yes!". Druga: „Niech idzie do debili". Matka: „Ale go nie wyzywajcie. Jesteśmy tolerancyjni". Wysiadamy.

Park Promenada, ciemno, błądzę bez celu. Niedaleko baru-okrąglaka spotykam starszych z psem. Ona: „Ja to już nigdy do Wilna nie dotrę". On: „A jedź, zostanę z psem". „Z tobą chciałam". „Mnie tam nie ciągnie. Do Lwowa bym". „Ale tam teraz nie można". „Wiem, dlatego nie chcę do Wilna". „Jakaś dziwna logika". „Moja, i już". Patrzą na mnie. On: „A pani była w Wilnie?". „Nie, a powinnam, jestem stamtąd nieco". Ona: „Ja też, chociaż położenie mam południowe. Ale zawsze się czułam stamtąd". On: „Ja nie". Śmieję się: „Zew północny". Ona: „Tak, surowość. Wilno ma w sobie krystaliczny chłód". Ja: „To bardzo możliwe". On: „Skąd wiesz, zdjęcia oglądałaś". „Wiem! Moje Wilno to ma!". On: „Ach, twoje. Ale wiecie panie, że wojna wszystko zmienia. Nie ma po co jechać". Ona: „Tam nie ma zniszczeń". „Co z tego? Wojna to wirus, zjada aurę. Cała nasza strefa jest już na to chora". „Bredzisz!". „Nie. Przepadł urok naszego świata. Cieszmy się, że mamy stołek pod siedzeniem". Starsza ruszyła obrażona z psem, powlókł się za nią. Ja w przeciwną.

Szpital przy Wołoskiej, przychodnia. Obok starsza z bandażem na oku. Mruga do mnie zdrowym: „Piratka jestem". „Aha". „A pani tu co? Analizy jakieś?". „Ja w sprawie taty". „Ooo, stary pirat?". „Powiedzmy". „Mogę ustąpić miejsca. Ja tu jestem co dwa dni". „Ulala. Tolerują panią?". „Są tak nieskuteczni, że muszą mnie znosić". „Hehe". „Jestem ich wyrzutem sumienia. A co dolega tacie?". Opowiadam. „Ech, pani droga, ta służba zdrowia się nadaje dla mnie, dla was już nie". „Co poradzę". „Tu się łatwo umiera". „Niby". „Właśnie, niby. Ja sobie piratuję, bo już nikogo nie mam. Poza córką, ale ona uciekła do Szkocji". „Uhm". „O siebie się nie boję, dlatego tu bywam. Głęboko współczuję, że pani tu przychodzi krzątać się przy śmierci. Tego nie robi się życiu, nie". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl 6b5ff1c250

19 – 22.03.2026

Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy

GŁOS VOICE

13. ETHNIESY

19.03 CZWARTEK

17:00 „Femnizm to weganizm”

Spotkanie autorskie
z Karoliną Skowron-Baką
Music Cafe Szpulka, wstęp wolny

19:00 Marcin Masecki & Boleros (PL)

Sala koncertowa MCK,
bilety/karnety

20.03 PIĄTEK

19:00 Kevin Seddiki (FR)
20:15 Cerys Hafana (WAL)
21:30 Tercet Imperial (PL)

Sala koncertowa MCK, bilety/karnety

22:30 Etnobotanika (PL)
Kozber (PL)

Afterparty, Foyer MCK, wstęp wolny

21.03 SOBOTA

18:00 Lunaria (PL)

Music Cafe Szpulka, wstęp wolny

19:00 ГрайБери/HrayBery (PL/UA)
20:15 Kapela ze wsi Warszawa & Bassałyki (PL)
21:30 Buzz’Ayaz (CY)

Sala koncertowa MCK, bilety/karnety

22:30 Cumbia Warszawa (PL)
Kozber (PL)

Afterparty, Foyer MCK, wstęp wolny

22.03 NIEDZIELA

09:30 Kultura na świeżym: Głosy krawędzi

Spacer z Grzegorzem Gałązką
Przystanek Kolbego/Kogucia (Osowa Góra),
wstęp wolny

16:00 Nadsubtelne: pieśń i obrzęd

Koncert grup warsztatowych
Sala koncertowa MCK, wstęp wolny

19:00 Women & the Wind

Reż. Alizé Jireh (USA, 90’)
Kino Orzeł – bilety/karnety

WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE

13.03 | 19:00
Prolog: „Ethniesy. Głos”
Wernisaż wystawy prac konkursowych
Galeria Misiak & Rejs
Wystawa czynna do 15 kwietnia
Część prac prezentowana również we foyer MCK

19–22.03
Nadsubtelne: pieśń i obrzęd
Warsztaty śpiewu tradycyjnego
MCK, bilety

22.03 | 11:00–14:00
17 Mgnień Oberka
Warsztaty gry na bębnie obręczowym
Music Cafe Szpulka, MCK

22.03 | 17:00–18:45
Restorative Sound Bath
Warsztaty Przepływu Głosu
Salonik Secesyjny MCK, bilety

21–22.03
„Ale pięknie!”
Konwent śpiewaków i śpiewaczek
Aula Copernicanum UKW

www.ethniesy.com

Organizatorzy:

Patroni medialni:

Partnerzy:

REKLAMA

eprasa.pl 6b5ff1c250

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP" 11/2026

Poszukajmy razem mądrości

KS. MICHAŁ HELLER:

Pierwszym symptomem mądrości jest umiejętność obiektywizującego obserwowania świata. Bez narzucania światu tego, co się chce zobaczyć. Jeśli z góry wiem, co chcę zobaczyć, to nigdy nie zobaczę świata takiego, jaki jest naprawdę.

KS. MICHAŁ HELLER: Muszę zrobić pewne zastrzeżenie: nie chcę, żeby to wyglądało tak, jakbym to ja był mędrcem, którego Ty przychodzisz pytać, co to jest mądrość. Potraktujmy tę rozmowę jako wspólne poszukiwanie mądrości, tak po grecku. W starożytnej Grecji filozof to był przyjaciel mądrości, a nie ktoś, kto uważał się za mądrego.

WOJCIECH BONOWICZ: To ja też odwołam się do Greków. Jedną z najpiękniejszych metafor, jakie im zawdzięczamy, jest porównanie mądrości do światła. Bez światła będziesz błądził, rozbijesz sobie głowę albo wpadniesz w pułapkę.

Zacznijmy od tego, że wszechświat jest z natury ciemny. Ciemność jest jego naturalnym środowiskiem. Natomiast światło jest rezultatem jakiejś aktywności, która się w nim pojawia – na przykład wybuchu jądrowego na gwieździe. Tyle że sama ta aktywność to jeszcze za mało, niezbędny jest drugi element: musi być odbiorca tego światła. Fale emitowane przez taki wybuch są niewidzialne, tak jak fale radiowe. Musi być oko, które jest

eprasa.pl 6b5ff1c250

KS. PROF. MICHAŁ HELLER jest filozofem i kosmologiem. Urodził się 12 marca w 1936 r. w Tarnowie. W 1940 r. razem z rodziną trafił na Syberię. Jak mawia, wykształcenie ma „niepełne podstawowe", bo w związku z wojną nigdy nie chodził do klasy pierwszej ani czwartej. Święcenia kapłańskie przyjął w 1959 r. Studiował też fizykę i filozofię przyrody, w 1966 r. obronił doktorat, a w 1969 r. zrobił habilitację. W latach 70. wspólnie z Józefem Życińskim stworzył środowisko intelektualne skupiające naukowców i filozofów z Polski i zagranicy, znane jako Ośrodek Badań Interdyscyplinarnych. Prace kosmologiczne i filozoficzne przyniosły mu międzynarodowe uznanie i członkostwo w towarzystwach naukowych. W Polsce stał się najbardziej znany dzięki dziesiątkom książek i olbrzymiej liczbie artykułów i wykładów popularnonaukowych oraz wywiadów radiowych i telewizyjnych. W „Tygodniku" debiutował w 1967 r., na jego łamach opublikował dziesiątki tekstów. W 2008 r. otrzymał prestiżową Nagrodę Templetona, którą przeznaczył na założenie Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych (obecnie część Uniwersytetu Jagiellońskiego). Nadal pracuje naukowo, co roku publikuje też kolejne książki. Mieszka w Tarnowie.

RAFAŁ GUZ / FORUM

czułe na daną długość fali elektromagnetycznej i odbierze ją jako światło.

Bez oka nie ma światła?

Światło samo w sobie, fizyczne światło, nie jest jasne. Ono jest po prostu falą elektromagnetyczną o pewnej długości. Ludzkie oko jest czułe na pewien zakres tej długości i odbiera ją jako jasność. Jest cały szereg fal, na które nie jesteśmy czuli, mimo że one też wpadają do naszych oczu, przenikają nasze ciała.

Myślę, że oba te warunki – że musi być coś aktywnego, co emituje fale, oraz coś, co na te fale jest wrażliwe – można wbudować w metaforę, o której powiedziałeś: światła jako poznania, jako czegoś, co rozświetla nasz umysł. To jest rzeczywiście piękna metafora, ale kiedy wprowadzimy do niej oba wspomniane elementy, nabiera dodatkowego sensu. Musimy się nastawić na odpowiednią długość fali.

Mieć w sobie jakąś gotowość na mądrość.

Św. Augustyn powiada: wszedłem do wnętrza mego serca i zobaczyłem oczyma duszy światło. Ale nie takie „zwyczajne światło, które wszyscy dostrzegają, ani tego samego rodzaju, lecz większe, jakby o wiele bardziej świecące i wszystko napełniające swoim blaskiem". To jest opis doświadczenia wewnętrznego: poznania rozświetlającego mroki.

W tekstach zarówno filozoficznych, jak religijnych mądrość jest postawiona bardzo wysoko. Zastanawiam się jednak, czy kiedy autorzy biblijni mówią o mądrości, to mają na myśli to samo, co greccy filozofowie.

Zanim dojdziemy do tego, co to jest mądrość, możemy się zgodzić, że świat grecki i świat żydowski, biblijny, to były dwa różne światy – i w związku z tym także dwa różne rozumienia mądrości. Św. Paweł pisze np., że „Grecy szukają mądrości, a Żydzi żądają znaków". Nie należy przez to rozumieć, że Żydzi odrzucali mądrość. Żydzi także chcieli mądrości, tylko inaczej ją rozumieli. I Grecy, i Żydzi wiązali mądrość z jakimś absolutem. Tyle że u Żydów ów absolut był transcendentny, a u Greków był tożsamy z kosmosem, dziś powiedzielibyśmy – panteistyczny. Ale jedni i drudzy szukali mądrości.

Historia tak się zresztą potoczyła, że te dwa sposoby poszukiwania mądrości skrzyżowały się ze sobą. Pierwsze ślady owego skrzyżowania pojawiają się ok. II-III w. przed Chrystusem w diasporze żydowskiej, głównie w Egipcie. Mieszkający tam Żydzi znali grekę, tym samym mieli dostęp do greckiej filozofii. To właśnie w Egipcie powstały lub zostały opracowane niektóre księgi mądrościowe. Np. Księga Syracha została napisana w języku hebrajskim, ale my znamy ją z przekładu greckiego sporządzonego w Aleksandrii. Chodziło o to, żeby Żydom mieszkającym w Egipcie udostępnić rozmaite mądrości żydowskie. Autor przekładu pisze o tym w prologu. Ale oczywiście sam przekład sprawił, że mądrości te mają zabarwienie greckie.

Jak to się przejawia?

W Księdze Syracha mądrość jest uosobiona, bo tak było w żydowskiej tradycji. Ale ta wizja została „zakażona" greckim logosem. Kiedy potem u św. Jana czytamy: „Na początku było Słowo", to mamy już do czynienia z syntezą tej uosobionej mądrości i greckiego logosu. Ta synteza zaciążyła na całej kulturze zachodniej. W zachodnim chrześcijaństwie pojęciem centralnym stało się słowo, *logos*. A we wschodnim jest *sophia*. Główna świątynia w Konstantynopolu była poświęcona Mądrości Bożej – Hagia Sophia.

„Pan mnie stworzył, swe arcydzieło, jako początek swej mocy" – mówi o sobie mądrość w Księdze Przysłów.

Kiedy Pan Bóg stwarzał świat, ta mądrość Mu doradzała.

„Ja byłam przy Nim mistrzynią, rozkoszą Jego dzień po dniu..." Jak rozumieć ten fragment? Że mądrość to jakaś duchowa siła działająca we wszechświecie?

Są różne interpretacje, ale ja myślę, że w tym przypadku dobrze jest zostawić to trochę niedookreślone, poddać się wdziękowi metafory i nie próbować wszystkiego na siłę tłumaczyć. Św. Jan w prologu do swojej Ewangelii zaproponował swoją interpretację: że to jest słowo Boga, które jest z Nim tożsame. Ale to jest interpretacja. I w dodatku prowokuje do kolejnych pytań.

No to spróbujmy się zastanowić nad tym, czym jest mądrość. Wiem, że nie lubisz definicji, ale jakie ujęcie mądrości byłoby Ci najbliższe?

Myślę, że można podać pewne symptomy, objawy mądrości. Tak jak się mówi o objawach, po których rozpoznaje się chorobę, tak pewnie istnieją „objawy", po których można rozpoznać mądrość.

Pierwszym symptomem byłaby na pewno umiejętność obiektywnego obserwowania świata, przede wszystkim własnego otoczenia. Obiektywnego czy raczej obiektywizującego – tzn. bez narzucania światu tego, co się chce zobaczyć. To jest, w moim przekonaniu, jeden z warunków mądrości. Jeżeli patrzę na jakiś wycinek świata w ten sposób, że z góry wiem, co chcę w nim zobaczyć, to nigdy nie zobaczę go takim, jaki jest naprawdę. ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

A czy nie jest tak, że my widzimy tylko to, co wiemy?

Niewątpliwie tak jest. Nie da się wyjść z siebie i patrzeć w pełni obiektywnie. Dlatego powiedziałem o spojrzeniu obiektywizującym. Trzeba pamiętać o ograniczeniach, jakie się ma. Choćby o tym, że moja wiedza, nawet kiedy jest bardzo rozległa, zawsze przecież jest ograniczona. Trzeba to mieć pod kontrolą, uwzględniać fakt, że moje spojrzenie jest zabarwione subiektywizmem.

Można się tu posłużyć analogią zaczerpniętą z fizyki. Wielkim odkryciem fizyki było stwierdzenie, że obserwacji świata i wszelkich pomiarów dokonujemy w określonym układzie odniesienia. Żeby mieć obiektywny obraz, musimy mieć przynajmniej dwa układy odniesienia, zobaczyć, jak dana rzecz wygląda w jednym układzie, jak wygląda w drugim, a następnie znaleźć przekształcenie: jak obraz tej rzeczy przechodzi z jednego układu do drugiego. Obiektywne jest to, co w trakcie przekształcenia nie ulegnie zmianie. Na tym polega istota teorii względności, że staramy się patrzeć nie z jednego układu odniesienia, tylko z możliwie wielu, i szukamy niezmienników – tego, co się nie zmienia, gdy przechodzimy z układu do układu.

Druga ważna cecha świadcząca o mądrości to umiejętność prawidłowego wyciągania wniosków. Czyli dedukcja. Jeśli uznaję coś za prawdę, to i konsekwencje tego czegoś muszę uznać za prawdę. Niestety, w życiu ludzie bardzo często nie są konsekwentni. Co ciekawe, dzieci mają dużo większą zdolność właściwego wyciągania wniosków. Te dziecinne wnioski bywają czasem śmieszne, bo śmieszne są przesłanki, ale sama dedukcja jest na ogół poprawna. A potem, w miarę upływu czasu, ludziom wszystko zaczyna się mieszać. Np. są bardzo na coś nastawieni i to powoduje, że nie wnioskują prawidłowo. Dlatego zresztą matematyka jest dla wielu taka trudna, bo tam wynikanie jest ścisłe, nie ma dowolności.

I trzeba tego pilnować.

A w życiu niekoniecznie. Wiem, że coś jest złe, szkodliwe, ale co z tego? Ja i tak sobie uzasadnię, że jest dobre.

Kolejny przejaw mądrości to jest to, co filozofowie nazywają metapoziomem, czyli umiejętność spojrzenia na siebie jakby z zewnątrz. Wejścia „na drugie piętro" i dokonania oceny samego siebie, przede wszystkim – własnego poznania. Np. tego, czy moja dedukcja jest prawidłowa. W jednej z prac poświęconych teorii poznania przeczytałem kiedyś, że przeciętny człowiek posługuje się nieświadomie czterema stopniami takiego metamyślenia: wiem, że on myśli, że ja myślę, co on myśli. Ale tak na zdrowy rozsądek wystarczy, żeby już pierwszy stopień był dobrze opanowany. A to jest niezmierne trudne – umiejętność krytycznej oceny samego siebie.

Druga ważna cecha świadcząca o mądrości to umiejętność prawidłowego wyciągania wniosków. Dedukcja. Jeśli uznaję coś za prawdę, to i konsekwencje tego czegoś muszę uznać za prawdę. Niestety, w życiu ludzie często nie są konsekwentni.

Najprostszym przykładem byłaby sytuacja, w której człowiek zadaje sobie pytanie: o co mi naprawdę chodzi?

Albo rachunek sumienia. Co ciekawe, rachunek sumienia nie jest wcale wynalazkiem chrześcijańskim, jak często myślimy. Pierwsi asceci chrześcijańscy zaczerpnęli go od Greków. W greckich szkołach filozoficznych jednym z podstawowych ćwiczeń było rachowanie swoich dobrych i złych uczynków. Tego zresztą dotyczy słynne zdanie przypisywane Markowi Aureliuszowi: *Nulla dies sine linea*. Żaden dzień nie powinien minąć bez kreski, czyli bez zaznaczenia, że zrobiło się coś dobrego. Słynna metoda św. Ignacego z Loyoli polega właśnie na tym: zakładasz zeszyt, w którym zapisujesz swoje postanowienia, a następnie odnotowujesz, co udało ci się wypełnić, a czego nie.

Jak nie będziesz dokonywać samooceny, to się nie rozwiniesz.

Dziś nacisk pada na samo działanie: nie ograniczaj się, próbuj wszystkiego. A tymczasem krytyczna ocena samego siebie pomaga w dokonywaniu wyborów. Bez wyborów, bez świadomego zawężenia, człowiek nie jest w stanie funkcjonować. Im wcześniej to zrozumie, tym lepiej.

To zresztą wiąże się z ostatnim przejawem mądrości, jakim jest właściwa hierarchia wartości. Jeżeli ktoś dla niższej wartości poświęca wyższe, nie jest mądry. W tym miejscu ujawnia się ścisły związek mądrości z dobrem. Już Sokrates zwrócił uwagę, że dobro jest przejawem mądrości: jak ktoś robi źle, jest to po prostu głupie. Ja natomiast powiedziałbym, że te dwa pojęcia są ze sobą sprzężone: to, co mądre, zawsze będzie dobre, i na odwrót, jednak oba te pojęcia zachowują coś ze swej indywidualności.

Kiedy Ci wspomniałem, że jednym z tematów naszych rozmów będzie mądrość, pierwszym, co przyszło Ci na myśl, było sformułowanie: moralność myślenia. Mądrość jest moralnością myślenia. To by się wiązało z tym, o czym przed chwilą powiedziałeś.

To prawda. Napisałem kiedyś nawet taką książkę, której dałem tytuł „Moralność myślenia". To była książka z filozofii nauki – o tym, jak myśleć poprawnie. Teraz dodałbym jeszcze to pojęcie sprzężenia. Ono jest znane w matematyce. Dość trudno je przełożyć na język potoczny, ale kiedy patrzy się na wzory, to bardzo ładnie widać, kiedy dwa elementy – powiedzmy: dwa systemy – nawzajem się warunkują. Strzałki biegną w obu kierunkach jednocześnie. I ja bym tu widział jakąś analogię: nie jest tylko tak, że dobro pociąga za sobą mądrość, a mądrość pociąga za sobą dobro. To powiązanie jest bardziej subtelne: jest właśnie sprzężeniem.

Są na pewno tacy myśliciele – także spośród tych największych – z którymi się nie zgadzasz. Których sposób myślenia, formułowania problemów wydaje Ci się nieadekwatny, prowadzący donikąd. Czy powiedziałbyś, że oni nie byli mądrzy? A jeśli byli, to co w ich przypadku świadczyłoby o mądrości? Pamiętam nasze prywatne rozmowy o Heglu czy o Heideggerze...

eprasa.pl 6b5ff1c250

Kiedy czytam autora, z którym się nie zgadzam, rzeczywiście mam pokusę, żeby powiedzieć: to nie jest mądre. Ale sprawa nie jest taka prosta. Na ogół chodzi o brak odpowiedniej wiedzy. Dobry jest tu przykład Husserla. Edmund Husserl był matematykiem z wykształcenia, ale na przełomie wieków XIX i XX porzucił matematykę i zajął się filozofią. A w matematyce właśnie wtedy dokonywał się przełom. Pojawili się uczeni tacy jak Hilbert, Russell czy Whitehead i matematyka zupełnie zmieniła swoje oblicze. Husserl już tego nie śledził. I to bardzo zaciążyło na jego filozofii. Walczył, zmagał się z europejską nauką, ale taką, jaka właśnie odchodziła w przeszłość.

To jest niebezpieczeństwo, które grozi każdemu. Sam niekiedy łapałem się na tym, że brak mi wykształcenia w pewnych dziedzinach, a zabieram głos na ich temat. Dlatego w naszych rozmowach tak się pilnuję.

U Ciebie w kuchni wisi nad stołem napis: „Mądrze jemy". Czy poczucie humoru to też objaw mądrości?

Poczucie humoru świadczy o tym, że potrafimy wejść na poziom meta, spojrzeć na siebie z dystansu. Poza tym kiedy człowiek traktuje samego siebie zbyt poważnie, zaczyna patrzeć na innych z góry. A od tego już tylko krok do uznania, że wszyscy, prócz mnie, się mylą.

Jakiś czas temu napisaliście wspólnie z Jerzym Stelmachem i Bartoszem Brożkiem książkę, która nosi tytuł „Szkice z filozofii głupoty". Piszesz tam m.in., że od dawna zajmuje Cię problem, jak głupota jest możliwa. Czy po latach przemyśleń masz jakiś pomysł, wyjaśnienie tego fenomenu?

Sam problem pojawił się w moich myślach pod wpływem Kanta. Kant na początku swojego filozofowania postawił sobie pytanie: jak możliwe są nauki empiryczne? Nie pytał, czy są możliwe, bo w jego czasach bujnie się rozwijały i nie było sensu o to pytać. Ale zapytał, jak są możliwe. To znaczy – jak to się dzieje, że odnoszą takie sukcesy. Co nam to mówi o rzeczywistości, którą te nauki usiłują poznać? I to mi nasunęło trochę przewrotne pytanie, jak możliwa jest głupota.

Bo że jest możliwa, dowodów nie brakuje.

> Kolejny przejaw mądrości to metapoznanie, czyli umiejętność spojrzenia na siebie jakby z zewnątrz. Dokonania oceny samego siebie, przede wszystkim – własnego poznania. Na przykład tego, czy moja dedukcja jest prawidłowa.

W tej książeczce, o której wspomniałeś, przytaczam odpowiedź, którą usłyszałem od mojego przyjaciela Andrzeja Staruszkiewicza. Andrzej jest fizykiem, ale lubimy czasem podyskutować na tematy filozoficzne i kiedyś omawialiśmy problem głupoty. Andrzej powiedział, że dla niego istnienie głupoty jest dowodem na duchowość człowieka. I ja się z tym zgadzam. Dlaczego? Bo świat materii nie może zaprzeczyć prawu ciążenia i innym prawom fizyki – jest to po prostu niemożliwe. A człowiek na pytanie, ile jest dwa razy dwa, może odpowiedzieć: lampa. I nic się nie dzieje, świat nie wywraca się do góry nogami.

Jaki stąd wniosek?

Że człowiek potrafi się wznieść ponad materię, która jest ograniczana prawami logiki.

Powiedziałbym, że to dość kłopotliwy dowód na istnienie wymiaru duchowego.

Moim zdaniem – niezbity.

Ale nie należy tego rozumieć w ten sposób, że im bardziej uduchowiony człowiek, tym większe ryzyko głupoty?

Im głupszy, tym bardziej uduchowiony? Nie. Chodzi tylko o to, że nawet najmniejsza kropla głupoty jest już zaprzeczeniem logiki. Przejawem czegoś, co się logice wymyka.

A może należałoby powiedzieć raczej, że głupota jest czymś w rodzaju antyjęzyka? W „Szkicach..." piszesz tak: „Mowa głupiego to nie tylko szum, trudny do uniknięcia element każdego przekazywania informacji. Mowa głupiego udaje Słowo, ale nim nie jest". Co miałeś na myśli?

To, co napisałem: że mowa głupiego tylko udaje, iż coś komunikuje. Głupota przede wszystkim nie przejmuje się regułami wynikania. A bez tego nie można sformułować sensownego zdania. Głupota może pozorować wynikanie, ale tak naprawdę ma za nic reguły logiczne.

Sławomir Mrożek w „Małych listach" pisze: „Głupota jest zawsze wystarczająca. Mądrość nigdy. Podobnie jak niewiedza, która jest zjawiskiem naturalnym, i wiedza, która jest anomalią". Jak byś tę myśl skomentował?

Wykręcę się od odpowiedzi wprost i posłużę anegdotą z mojego dzieciństwa. Były imieniny ojca i moja siostra Basia, młodsza ode mnie o rok, składała mu życzenia. I pamiętam, jak stanęła przed nim, taka malutka, nie chodziła chyba jeszcze wtedy do przedszkola, i powiedziała: „Życzę tatusiowi, żeby tatuś zmądrzał". Piękne życzenia, bo przecież mądrości nigdy nie jest za dużo.

Ale muszę jeszcze coś dodać *à propos* głupoty. Bardzo lubię rozważania na temat tego, czym ona jest i jak jest możliwa, natomiast nie lubię, kiedy kogoś nazywa się głupim. Bo są ludzie, którzy mają problem z logicznym myśleniem z powodów biologicznych, fizjologicznych. Jest jakiś cielesny brak, który im takie myślenie uniemożliwia. I z tej perspektywy trzeba powiedzieć, że mądrość, o której rozmawiamy, jest darem. Czasem wystarczy drobny uraz i mądrość znika, człowiek zachowuje się tak, jakby niczego nie rozumiał.

W historii refleksji nad tym, czym jest mądrość, jest słynna scena, kiedy przyjaciel Sokratesa poszedł do wyroczni delfickiej dowiedzieć się, kto jest najmędrszym z ludzi. I Pytia odpowiedziała: Sokrates. Ale sam Sokrates nie chciał tej odpowiedzi uznać. „Ja ani się do wielkiej, ani do małej mądrości nie poczuwam".

Powstał problem moralny... ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

... a poniekąd nawet religijny.

Bo przecież Pytia nie może się mylić. Mimo to Sokrates wyrusza na miasto, żeby znaleźć kogoś, kto byłby od niego mądrzejszy. I okazuje się, że Pytia ma rację: wszyscy, których spotyka, są przekonani, że coś wiedzą, a nie wiedzą. „A ja, jak nic nie wiem, to mi się nawet nie zdaje, że wiem", powiada Sokrates. „Więc może o tę odrobinę jestem od nich wszystkich mądrzejszy".

A powiedz, jak wychowywać do mądrości? Przypominam sobie lektury z historii wychowania. Przez całe wieki mówiło się i pisało o tym, że trzeba wychowywać ludzi mądrych. Ale czy w praktyce ważniejsze nie są jednak inne cele, bardziej przyziemne?

Wróciłbym do źródłowego znaczenia słowa „edukacja". Edukować to wyprowadzać na właściwą drogę. Ma to oczywiście bardzo silne moralne konotacje. Niestety, rzeczywistość szkolna często koncentruje się na czymś innym. Każda reforma szkolnictwa szuka recepty, jak je naprawić, ale na ogół pogarsza tylko sytuację. Jako nauczyciel akademicki przez kilkadziesiąt lat przeżyłem wiele reform i po każdej było gorzej, to znaczy poziom nauczania się obniżał.

Powinniśmy uczyć myślenia, dedukcji, podstawowych zasad logiki. Tymczasem dostarczamy głównie informacji. A przecież gdy uczniowie opuszczają szkołę średnią, to wiele z tych wiadomości, które sobie przyswoili, jest już przestarzałych. Wszystko idzie naprzód, tylko umiejętność wyciągania wniosków się nie starzeje. Powinniśmy też uczyć języka, ojczystego języka, żeby tym językiem ładnie operować. W języku naturalnym jest zaklęta pewna mądrość i doświadczenie pokoleń. Jeśli ktoś posługuje się językiem na poziomie karykatury, językowego bohomaza, to nie korzysta z tej zgromadzonej mądrości. Tak więc logika, matematyka – ale niekoniecznie rachunki – i język. To jest podstawa.

W jednym ze swoich esejów przywołujesz piękne zdanie Davida Hume'a: „Brak wiedzy jest cierpieniem umysłu". Ale czy nie jest tak, że i z mądrości płynąć może cierpienie? Choćby z odkrycia, że ostatecznie „wszystko to marność"?

> Ważnym przejawem mądrości jest właściwa hierarchia wartości. Jeżeli ktoś dla niższej wartości poświęca wyższe, nie jest mądry. W tym miejscu ujawnia się ścisły związek mądrości z dobrem.

W człowieku jest głos natury, który każe mu cierpienia unikać. I człowiek powinien za tym głosem iść. A jednocześnie trzeba zdawać sobie sprawę – i to jest kolejny element mądrości – że cierpienie i śmierć są nieuniknione. Mądrość musi zawierać w sobie stosunek do nieuniknionego. Unikanie myślenia o nieuniknionym jest symptomem głupoty.

Pamiętam, w młodości dyskutowaliśmy na ten temat w gronie przyjaciół. Po co właściwie zdobywać wykształcenie, wiedzę, po co działać, skoro i tak ostatecznie wszystko skończy się tak samo? Młodość ma to do siebie, że chętnie na podobne tematy dyskutuje. No dobrze, a co w sytuacji, gdy śmierć jednak nie kończy wszystkiego? Ktoś powiada, że kończy – ale skąd on to wie? Może oznaką mądrości jest wziąć pod uwagę i taką możliwość, że to jednak nie jest koniec?

W potocznym języku używa się sformułowania „mądrość życiowa". Mam wrażenie, że najczęściej jest ona utożsamiana z rezygnacją, pogodzeniem się z tym, co nieuchronne. Ale może też oznaczać taką postawę wobec życia, w której człowiek nie ma wobec tego życia nadmiernych oczekiwań. I jest jakoś wewnętrznie poukładany, integralny. Co o tym sądzisz?

Według mnie między mądrością życiową a mądrością w ogóle nie ma zasadniczej różnicy. Dystans, wewnętrzna równowaga to są elementy mądrości jako takiej. Prawdziwa mądrość zawsze będzie miała przełożenie na życie codzienne. Z mądrym człowiekiem łatwiej się żyje, przyjemniej spędza się czas.

Bo na przykład jest bardziej skłonny do kompromisów?

Tak, kompromis jest elementem mądrości. Można by go nawet umieścić wśród jej symptomów: że człowiek skłonny jest się porozumieć, a nie upiera się przy swoim zdaniu. Logika spotyka się tu z retoryką. W logice chodzi o to, żeby wyciągnąć prawidłowy wniosek, a w retoryce – żeby postawić na swoim, przekonać rozmówcę niezależnie od tego, jaka jest prawda. Chodzi o to, żeby moje stanowisko wygrało, żebym ja był górą. W starożytnej Grecji i Rzymie retoryka była jednym z najważniejszych przedmiotów, których nauczano, bo przygotowywała do życia publicznego – jako sztuka przemawiania, perswadowania. Ale Grecy nie odrywali jej od logiki. Mądrość życiowa zasadniczo musi polegać na logice, nie na retoryce.

Ciekawe, że słowo „kompromis" jest dziś słowem nacechowanym negatywnie, może nawet skompromitowanym. Czy to nie wpływ retoryki właśnie? Ileż tyrad wygłoszono przeciwko kompromisom.

To prawda. Oczywiście, są też granice kompromisu. Wyznacza je hierarchia wartości. Nie zawsze należy ustępować, zwłaszcza gdy ktoś, zamiast przekonywać, usiłuje nas przekrzyczeć albo manipuluje faktami. Ale rzeczywiście, jest coś takiego, że dziś docenia się raczej bezkompromisowość niż umiejętność dogadania się.

Spotkałeś na swojej drodze ludzi, o których mógłbyś powiedzieć, że byli przykładem życiowej mądrości?

Jak wysłałeś mi to pytanie, długo się nad nim zastanawiałem. Mądrych ludzi jest dużo, ale tu chodzi o coś więcej: o jakiś przykład, wzorzec, ideał. Wskazałbym moich rodziców. Ojciec był mądry nie tylko w tym sensie, że był dobrze wykształcony, bystry, potrafił wyciągać wnioski, ale był też mądry w takim potocznym tego słowa znaczeniu, życiowo mądry. A mama z kolei miała bardzo zdecydowane i instynktowne poczucie słuszności, prawości, wiedziała, co jest dobre, a co złe. I razem tworzyli bardzo mądrą kombinację, czego dowodem było to, że wiele potrafili zrobić dla innych.

A czy o zwierzętach możemy powiedzieć, że są mądre?

eprasa.pl 6b5ff1c250

W szerszym znaczeniu tego słowa na pewno tak. Mówimy: mądry pies, bo rzeczywiście zachowuje się tak, jakby rozumiał, czego się od niego oczekuje. Natomiast pozostaje kwestią nierozstrzygniętą, czy mądrość u zwierząt łączy się z dobrocią. Innymi słowy, czy wśród zwierząt istnieje moralność, czy tylko instynkt. Póki co, nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi.

Ale przy okazji chciałbym opowiedzieć pewną historię z mojego życia.

Mianowicie ja, w przeciwieństwie do Ciebie, specjalnie kotów nie uwielbiam. Ale jak byłem nastolatkiem, któregoś dnia, wracając ze szkoły, znalazłem w naszym ogrodzie w Mościcach małego kotka, takiego pręgowanego. Ktoś prawdopodobnie przerzucił go przez ogrodzenie i on zaczepił się o gałąź i tak został. Był bardzo wychudzony, kto wie, ile tam wisiał. Oczywiście zabrałem go do domu, nakarmiłem i już z nami został. Nazwałem go Purcel, bo akurat wtedy czytałem o wielkim kompozytorze Purcellu, a ponieważ nie wiedziałem, jak się wymawia jego nazwisko, to wymawiałem tak, jak było napisane. I kot też był odtąd Purcelem, tyle że przez jedno „l".

Purcel był rzeczywiście bardzo mądry, nawet mówiło się, że ma psie zwyczaje. Rozpoznawał bezbłędnie wszystkich członków rodziny. Gdy ktoś z nas szedł ulicą, a on akurat hulał po ogrodzie, to zaraz przybiegał i szedł obok, przy nodze, niczym pies. I do tego stopnia mnie polubił, że jak już byłem w seminarium i przyjeżdżałem na wakacje, to wystarczyło, że otworzyłem drzwi, a on już był w przedpokoju, wskakiwał mi na sutannę i po sutannie wspinał się na ramię.

To był taki kot zawadiaka. Nocami wymykał się na polowania, a może żeby tłuc się z innymi kotami, a rano wracał i urzędował jako kot domowy. Ale pewnej nocy nie wrócił. I wyobraź sobie, że jakieś dwa lata temu mi się przyśnił. Nie myślałem już o nim wcale, a on niespodziewanie pojawił się w moim śnie. Śniło mi się, że leży na parapecie okna, ja go głaszczę, a on mruczy i wyraźnie chce mi coś powiedzieć. I mówi niby ludzkim głosem, ale z trudem, tak że ja nic nie rozumiem. Po tonie głosu zorientowałem się jednak, że o coś mnie pyta. Nie miałem pojęcia o co, ale nie chciałem go urazić, więc powiedziałem tylko: „Słuchaj, to, co mówisz, jest bardzo logiczne". A on mi na to ochrypłym głosem, ale dość wyraźnie odpowiedział: „A co to znaczy logiczne?". I wtedy się obudziłem. Niech to wystarczy za mój komentarz do pytania, czy zwierzęta mogą być mądre.

KAMILA BUTURLA DLA „TP"

Ks. prof. Michał Heller podczas wykładu „Geniusze Wszechświata" na Copernicus Festival. Kraków, 23 maja 2015 r.

> Trzeba zdawać sobie sprawę, że cierpienie i śmierć są nieuniknione. Mądrość musi zawierać w sobie stosunek do nieuniknionego. Unikanie myślenia o nieuniknionym jest symptomem głupoty.

Został mi jeszcze jeden wątek – sztuczna inteligencja. Wszyscy o niej teraz mówią. Jedni wiążą z nią ogromne nadzieje, inni boją się, że stracą pracę i że w przyszłości sztuczna inteligencja przejmie kontrolę nad światem. Niedawno ogłoszono, że już ponad połowa treści obecnych w internecie nie jest wytwarzana przez żywych ludzi. Wiadomo, że ten proces będzie narastał. I powstaje pytanie: jakie będą rzeczywiste konsekwencje tej sytuacji? Czy człowiek jest w odwrocie?

Nie chcę bawić się w proroka, ale nasuwają mi się trzy możliwe scenariusze na przyszłość. Pierwszy to totalny chaos. Jak już wszystko będzie projektowane przez roboty, to rzeczywiście człowiek znajdzie się w odwrocie, rozsądek będzie w odwrocie i nastąpi wielki karambol. Druga możliwość jest taka, że wszystko samo się rozwiąże, bo na przykład będzie wojna atomowa i jej pierwszym rezultatem, jeszcze zanim dotrą do nas jakiekolwiek fale uderzeniowe, będzie to, że padnie internet.

Wielka katastrofa.

A trzeci scenariusz jest optymistyczny. Przewiduje on, że racjonalność jednak zwycięży. W tej chwili wydaje się dość mało prawdopodobne, żeby ludzie na wielką skalę zaczęli nagle myśleć racjonalnie. Ale może gdy zobaczą, że jako ludzkość mamy nóż na gardle, nie będzie wyjścia. Zaczną słuchać uczonych, ograniczać swoje apetyty, i tak dalej.

Na razie jest tak, że we wszystkich prognozach mniej mówi się o korzyściach, a więcej o zagrożeniach. Czy to jest typowa reakcja na kolejną nowość w świecie technologii, czy też mamy do czynienia z naprawdę zasadniczą zmianą?

Jestem skłonny przyznać, że raczej z tym drugim. Że to jest zmiana o zupełnie innym charakterze niż wynalezienie komputera czy internetu. Na pewno w nauce mamy do czynienia z zupełnie nową sytuacją. Weźmy przykład astronomii. W tej chwili mamy ogromny napływ danych, nieporównywalny z niczym, co było przedtem. Teleskopy orbitalne i nieorbitalne dostarczają nam tyle informacji, że nawet duże ludzkie zespoły nie są w stanie nad tym zapanować. A sztuczna inteligencja może to zrobić, tylko trzeba ją nauczyć, jak te dane segregować i analizować.

A gdybyś miał komuś wyjaśnić, co to jest sztuczna inteligencja, tak w pigułce?

To jest narzędzie, które zbudowano na podobieństwo ludzkiego mózgu. Z tym że – mówiąc nieco obcesowo – sztuczna inteligencja jest głupia jak but. Ale szybko się uczy. Jak dostarczyć jej danych, to ona na zasadzie czystego rachunku prawdopodobieństwa zacznie tymi danymi operować. I będzie to robić coraz sprawniej. Jeżeli postawi się ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ jej zadanie, to ona z początku zrealizuje je całkowicie na oślep i pierwsze wyniki mogą być zupełnie bezsensowne. Ale jeżeli się jej zwróci uwagę, gdzie popełniła błąd, to ona w kolejnej próbie się poprawi. Taki trening trochę trwa, ale jak już się nauczy, to jest niezmiernie skuteczna.

Rozmawiasz z nią?

Oczywiście. Gdy sztuczna inteligencja tłumaczy mi jakiś tekst z jednego języka na drugi, to mnie to nie dziwi. Ale jak daję jej zadanie matematyczne i ona je rozwiązuje perfekcyjnie, a do tego jeszcze dostarcza mi kontekstu, to jestem zdziwiony. Można wręcz odnieść wrażenie, że ona rozumie, co się do niej mówi. Chociaż wiem, że tak naprawdę nie rozumie...

... tylko działa na zasadzie skojarzeń.

Szuka relacji między danymi. Nie pojedynczych elementów, ale właśnie relacji. I jeśli coś z czymś często się łączy, to ona to powtarza. I jest w tym niesłychanie sprawna. Wiele procesów w naszym mózgu odbywa się w ten sam sposób. Z tą różnicą, że mózg jest komputerem biologicznym, nie ma drutów, tylko przewody „cielesne". A nerwy przewodzą prąd znacznie wolniej niż drut.

Czy coś może zatrzymać postęp w tej dziedzinie? Lub spowolnić?

Jest jedna bariera – energia. Część firm wycofuje się z prac nad sztuczną inteligencją, bo są po prostu zbyt kosztowne, zbyt energochłonne.

A myślisz, że sztuczna inteligencja może w przyszłości rozwiązać za nas jakiś poważny, globalny problem? Choćby ten problem energii?

Tak, ale równie dobrze może pokazać, że nie ma rozwiązania.

Albo że najlepsze rozwiązanie już było.

To mi przypomina pewną anegdotę. Jeden z moich znajomych był niedawno w Rosji. I opowiadał, że w stołówce podano mu obiad, ale zimny. Poskarżył się kelnerce, a ona oburzona mówi: „To już było gorące".

Jak w góralskim dowcipie: „Macie wrzątek?" „Mom, ale wystygł".

No właśnie. Więc może się okazać, że mądrzy już byliśmy.

Czytałem niedawno kwestionariusz Marcela Prousta wypełniony przez znanego satyryka Andrzeja Poniedzielskiego. I tam na pytanie, co budzi twój największy lęk, Poniedzielski odpowiedział: że głupota umrze później niż nadzieja.

To ładne zdanie.

I poruszające. A Twój lęk co budzi?

Chyba to, żebym ja sam nie zgłupiał. Ale nie chodzi o to, że zachoruję czy coś mi się stanie w głowę, tylko żeby nie stało się ze mną coś takiego jak z Salomonem. On był ideałem człowieka mądrego, a na starość, jak mówi Biblia, zgłupiał, po prostu zgłupiał. Czegoś takiego się boję.

A jeśli chodzi o nasz świat, to rzeczywiście chyba zgodziłbym się z Poniedzielskim.

To ostatnie pytanie. Czy filozofia może być sposobem na życie? Co sam zawdzięczasz filozofii?

Może Cię zaskoczę, ale moja odpowiedź będzie następująca: filozofia tak, ale tylko pomocniczo. Bo sama filozofia nie sprosta wszystkiemu, czego wymaga od nas życie. Prawdziwym sposobem na życie może być tylko religia. Ale nie byle jaka religia – tylko religia przeżywana jako filozofia życia. Tyle mogę na to pytanie odpowiedzieć.

To mocna deklaracja. I jednocześnie wieloznaczna.

I tak ją zostawmy.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Wywiad jest fragmentem książki „Siedem ważnych słów. Michał Heller w rozmowie z Wojciechem Bonowiczem", która ukazała się 11 marca nakładem wydawnictwa Znak. Dziękujemy Wydawnictwu za udostępnienie tekstu. Skróty pochodzą od redakcji.

Racjonalny wszechświat

TOMASZ MILLER

Zdaniem Michała Hellera świat przypomina odwieczną, matematyczną strukturę, a sukcesy nowożytnej fizyki niosą w sobie znaczny ładunek filozoficzny i teologiczny.

Jeśli jest jakieś jedno pojęcie, które przenika bodaj wszystkie książki Michała Hellera dotyczące filozofii przyrody i filozofii w nauce, jakaś fundamentalna własność, którą przypisuje on światu, to jest to „racjonalność".

Oczywiście nie chodzi tu o antropomorfizację – przyroda nie jest racjonalna w takim sensie, w jakim bywają ludzie – lecz o „cechę, dzięki której można [przyrodę] racjonalnie badać". Cecha ta, jak przekonuje Heller, nie jest trywialna. Wprost przeciwnie – jego zdaniem skuteczność ścisłych nauk przyrodniczych, a nawet sama możliwość ich uprawiania, mówią nam coś bardzo głębokiego o Naturze.

Matematyczność świata

Zacznijmy od truizmu: od czasów Galileusza i Newtona fizyka potężnie się rozwinęła. Od mechaniki klasycznej, zdolnej opisywać (i przewidywać!) ruch spadających jabłek, kul armatnich i planet, dotarliśmy do zakrzywionych czasoprzestrzeni kosmologii relatywistycznej, która zajmuje się Wszechświatem w największej skali, oraz do kwantowej teorii pola, która wnika w dziwaczny świat cząstek subatomowych, przewidując ich zachowanie z zadziwiającą dokładnością. Choć dzieło fizyki wciąż jest dalekie od ukończenia, oszałamia swoim rozmachem.

Jednocześnie, choć zakres zjawisk obejmowanych teoriami fizycznymi stale się poszerza, następuje też ich stopniowa unifikacja: od Newtona, którzy pożenił fizykę ziemską z mechaniką niebieską, przez dziewiętnastowieczne

eprasa.pl 6b5ff1c250

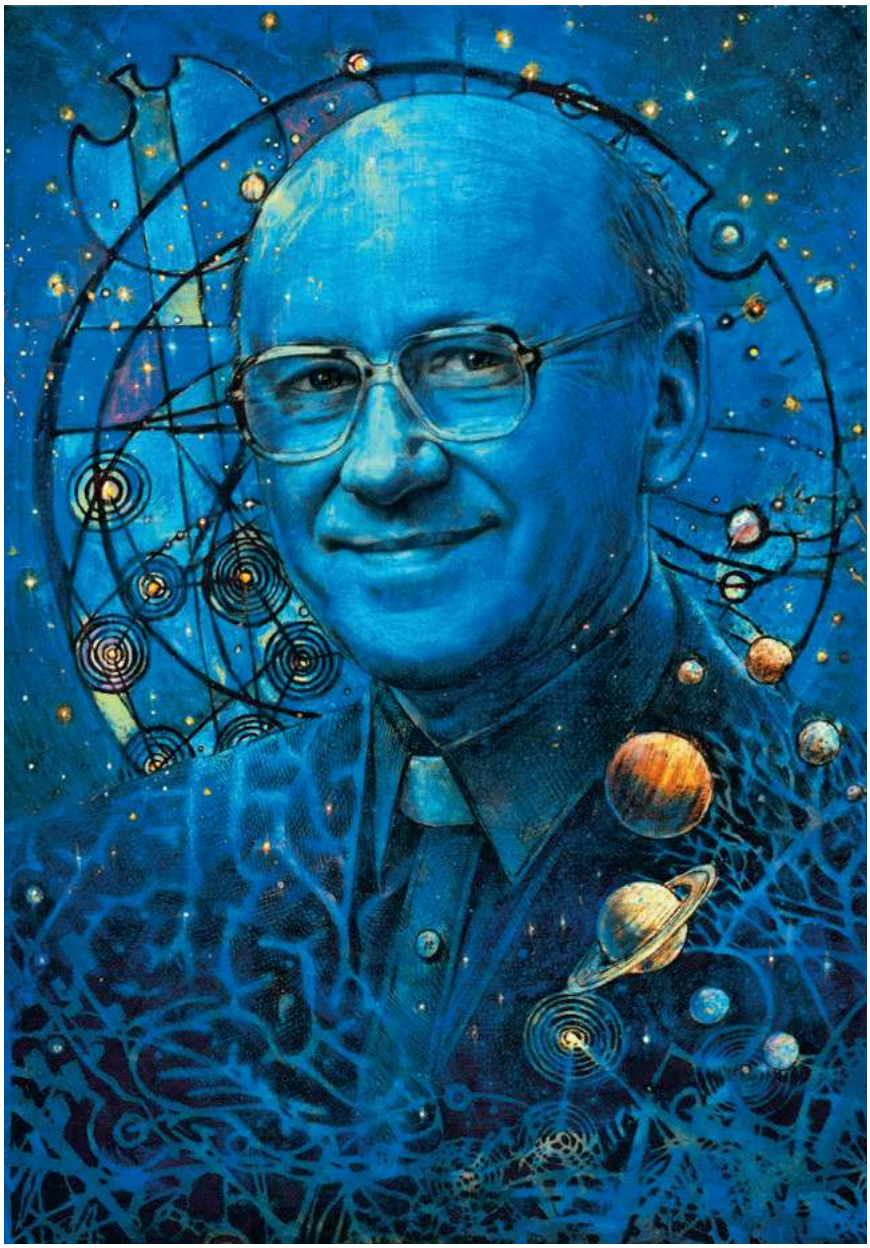

MARCIN BONDAROWICZ DLA „TP"

scalenie elektryczności z magnetyzmem oraz termodynamiki z mechaniką (o czym za chwilę), po dwudziestowieczną teorię względności z jej czasoprzestrzenią oraz model standardowy z jego zestawem klocków – cząstek elementarnych. Umiemy wyjaśnić coraz więcej, wychodząc z coraz mniejszego zestawu podstawowych praw. Jednak tym, co prawdziwie ujednolica i spaja fizykę od jej zarania, jest matematyka. To właśnie w jej języku, jak to ujął już Galileusz, napisana została „księga wszechświata".

Zdaniem Hellera, matematyka jest jednak dla fizyki czymś więcej niż tylko językiem. Nie idzie bowiem tylko o to, że wielkości fizyczne wyraża się wzorami, a wynikami pomiarów są liczby. W istocie każda teoria fizyczna jest w całości „zbudowana z matematyki" – stanowi matematyczną strukturę, która nie tyle opisuje daną grupę zjawisk, ile ją *modeluje*.

Takie matematyczne modele rzecz jasna mają swoje ograniczenia, a wiele z nich nie wytrzymuje późniejszej konfrontacji z coraz dokładniejszymi obserwacjami. Sztandarowym przykładem jest tu mechanika klasyczna, która mimo iż święciła triumfy przez ponad 200 lat, ostatecznie okazała się tylko granicznym przypadkiem dwóch innych struktur: ogólnej teorii względności i mechaniki kwantowej. A i tych teorii nikt raczej nie uważa za ostateczne.

Niemniej, mimo niedoskonałości naszych modeli, zdaniem Hellera to zadziwiające, iż taka strategia badań, polegająca na tworzeniu matematycznych modeli zjawisk, a następnie konfrontowaniu ich przewidywań z eksperymentem, jest *aż tak* skuteczna.

Fizyk-noblista Eugene Wigner pisał w tym kontekście wręcz o „niepojętej skuteczności matematyki w naukach przyrodniczych". Podawał przy tym szereg przykładów z historii fizyki, gdy jakaś teoria fizyczna okazywała się poprawnie modelować zjawiska, o których nikomu się nawet nie śniło w momencie jej formułowania.

Teoria mądrzejsza od twórcy

Bodaj najbardziej spektakularnego przykładu dostarcza powstanie ogólnej teorii względności. Gdy w 1907 r. Einstein zabierał się do pracy nad stworzeniem relatywistycznej teorii grawitacji, przyświecała mu garść postulatów, na których chciał ją oprzeć. Najistotniejsze były tzw. zasada względności, głosząca, iż prawa fizyki powinny mieć taką samą postać we wszystkich układach odniesienia, oraz tzw. zasada równoważności, która w uproszczeniu stwierdza, że lokalnie grawitacji nie da się odróżnić od przeciążenia wynikającego z poruszania się z przyspieszeniem (czyli np. w przyspieszającej do góry windzie wszystko dzieje się dokładnie tak, jak gdyby wzrosła siła ziemskiego przyciągania).

Gdy Einsteinowi po latach wytężonej pracy udało się wyrazić te postulaty w terminach geometrii różniczkowej (nowego wówczas działu zaawansowanej matematyki), otrzymał równania pola grawitacyjnego – znane dzisiaj jako równania Einsteina. Te jednak okazały się kryć w sobie znacznie więcej, niż oczekiwał. Opisywany przez nie wszechświat musiałby się rozszerzać lub kurczyć, czasoprzestrzeń mogłaby falować albo ulegać miejscowo tak silnemu odkształceniu, że nawet światło nie mogłoby uciec z takiej pułapki.

Einstein nie mógł się pogodzić z żadną z tych konsekwencji jego własnych równań. Tymczasem wszystkie po latach okazały się realizowane w przyrodzie. Jak to możliwe, że struktura matematyczna wybrana po to, by wyrażać dwa stosunkowo niewinne postulaty fizyczne, poprawnie (i wbrew wyobrażeniom autora) ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ przewidziała istnienie fal grawitacyjnych i czarnych dziur?

Oddajmy ponownie głos Michałowi Hellerowi: „Światu należy przypisać cechę, dzięki której szczególnie skutecznie można go badać za pomocą metody matematycznej. Świat posiada więc racjonalność szczególnego typu – typu matematycznego". Tę filozoficzną propozycję nazywa „hipotezą matematyczności świata".

Z hipotezą tą – jak z każdą hipotezą filozoficzną – można oczywiście polemizować. Może to nie tyle świat jest matematyczny, ile matematyka jest „światowa"? W końcu pojęcia liczby, punktu i prostej wyabstrahowano z otaczającego nas świata. Nic tedy dziwnego, że możemy je do tegoż świata z powodzeniem stosować.

To oczywiście prawda, ale jak zauważają Heller i Wigner, to wciąż nie wyjaśnia aż takiej skuteczności metody matematycznej. Praktyczno-fizyczne korzenie arytmetyki i geometrii nijak nie tłumaczą, dlaczego nieskończenie wymiarowe przestrzenie Hilberta albo grupy i algebry Liego, opracowane po setkach lat mozolnej wspinaczki na kolejne piętra matematycznej abstrakcji, tak dobrze sprawdzają się w modelowaniu świata subatomowego.

Świata, z którym nigdy nie mieliśmy bezpośredniej styczności, by móc coś z niego abstrahować. Świata, którego elementy nierzadko wręcz odkrywamy najpierw „na papierze", analizując matematyczną strukturę teorii. To właśnie w taki sposób, na lata przed ich doświadczalną obserwacją, przewidziano istnienie takich cząstek jak pozyton, kwarki, gluony czy słynny bozon Higgsa.

Mało tego, wygląda na to, że bez matematyki nie da się nawet sensownie mówić o świecie kwantów. Język naturalny i codzienna intuicja zupełnie nie radzą sobie np. z uchwyceniem sensu splątania kwantowego, które ma bardzo precyzyjną matematyczną definicję. W fizyce kwantowej to nasza wyobraźnia musi nadążać za matematyką, a nie odwrotnie.

Przez duże M

Hipotezę matematyczności świata Heller wyraża niekiedy nieco silniej: „struktura Wszechświata jest przedziwnie podobna do tych struktur, których studiowaniem zajmuje się matematyka". Gdy się jednak z tym zgodzimy, natychmiast pojawia się pytanie, dlaczego właściwie przyroda sięga po abstrakcyjne struktury badane przez matematyków często bez żadnego związku z fizyką. „Dlaczego – pyta Heller – przyroda tak łatwo stosowałaby się do ludzkich wymysłów?".Rozważmy dla przykładu liczby zespolone, czyli system liczbowy rozszerzający znane ze szkoły liczby rzeczywiste o pierwiastki z liczb ujemnych. Natknęli się na nie przypadkiem szesnastowieczni włoscy uczeni poszukujący ogólnego sposobu na rozwiązywanie równań wielomianowych (problem czysto akademicki, motywowany wówczas głównie względami prestiżowymi).

KS. MICHAŁ HELLER:

Światu należy przypisać cechę, dzięki której szczególnie skutecznie można go badać za pomocą metody matematycznej. Świat posiada więc racjonalność szczególnego typu – typu matematycznego.

Liczby te, jako pozbawione geometrycznego sensu, uznano za bezużyteczne i zgoła podejrzane, czego dobitnym wyrazem było nazwanie pierwiastków z liczb ujemnych „liczbami urojonymi" przez Kartezjusza. Matematycy zmienili o nich zdanie dopiero w XIX w., gdy okazało się, że liczby zespolone upraszczają wiele obliczeń i mają głęboki związek z różnymi działami matematyki. Co jednak najciekawsze, liczby te okazały się absolutnie kluczowe w fizyce kwantowej.

Jak pisze Roger Penrose: „To tak, jak gdyby Przyroda sama była pod [...] wrażeniem zakresu i spójności systemu liczb zespolonych i oddała w ich władanie precyzyjne operacje swojego świata w najbardziej mikroskopijnej skali".

Dlaczego struktura świata miałaby być w jakimkolwiek sensie podobna do dziwacznego systemu liczbowego odkrytego (niechcący) w renesansie? Zdaniem zarówno Hellera, jak i Penrose'a ma to swoje źródło w tym, iż same obiekty studiowane przez matematyków w pewnym sensie istnieją obiektywnie.

Aby lepiej wyjaśnić, o co chodzi, posłużmy się stosowanym przez Hellera rozróżnieniem na „matematykę przez małe m" i „Matematykę przez duże M". Ta pierwsza jest wytworem ludzkiego umysłu – to wszystkie nazwy i symbole, definicje, twierdzenia i dowody opracowane w ciągu wieków przez matematyków i zebrane w podręcznikach, traktatach i artykułach naukowych. Druga natomiast to pozafizyczny „świat" abstrakcyjnych struktur i ich wzajemnych relacji, który „matematyka przez małe m" usiłuje badać.

W świecie tym to, co nazywamy liczbami zespolonymi, istniało zawsze, całkowicie autonomicznie wobec algebraicznych perypetii uczonych. Zdaniem Penrose'a, takie „obiektywne pojęcia matematyczne należy uważać za byty ponadczasowe, a nie powołane do życia z chwilą zauważenia ich, po raz pierwszy, przez człowieka". Takie stanowisko w filozofii matematyki przyjęło się nazywać platonizmem.

To właśnie „Matematykę przez duże M" ma na myśli Heller, gdy mówi o matematyczności świata. Natura posiada strukturę, która sama jest odbiciem pewnego fragmentu tej ponadczasowej „struktury struktur". Jak pisze filozof: „Matematyka przez duże M istnieje poza czasem, jest wieczna i niezmienna [...] Wszystko, co byłoby z nią sprzeczne, nie może istnieć. Wszystko, co istnieje, podlega jej logice".

Tym sposobem w filozofii Hellera wignerowska „niepojęta skuteczność matematyki" mówi nam coś głębokiego nie tylko o Wszechświecie, ale pośrednio także o naturze samej matematyki.

Mechanika ciepła

Ciekawą i zaskakującą ilustracją matematyczności świata jest zjawisko przypadku. Pozornie może się wydawać, iż ze względu na swoją nieprzewidywalność, zdarzenia losowe są czymś niematematycznym *par excellence*, z definicji pozbawione jakiejkolwiek struktury. Tymczasem, jak zauważa Heller na kartach „Filozofii przypadku", losowość nie tylko nie wyłamuje się spod reguł „Matematyki przez duże M", ile wręcz stanowi integralną część racjonalnej struktury świata.

Dział matematyki zajmujący się modelowaniem zjawisk przypadkowych to tzw. rachunek prawdopodobieństwa,

eprasa.pl 6b5ff1c250

zwany też probabilistyką. Historycznie wyrósł on z analizy gier losowych takich jak gra w kości, gdy spostrzeżono, iż choć wynik pojedynczego rzutu kośćmi jest nie do przewidzenia, to już zbiorcze wyniki długiej serii rzutów wykazują pewne intrygujące prawidłowości, które dają się ująć matematycznie.

Centralnym pojęciem jest tu wielkość liczbowa zwana prawdopodobieństwem, przypisująca każdemu potencjalnemu wynikowi zdarzenia losowego wartość od 0 do 1, która określa szanse jego zajścia (gdzie 0 oznacza niemożliwość, a 1 – stuprocentową pewność). Przykładowo, każdy wynik rzutu uczciwą kością odznacza się prawdopodobieństwem 1/6.

Kolejne pokolenia badaczy stopniowo rozszerzały obszar zastosowań rachunku prawdopodobieństwa. Metody probabilistyczne doprowadziły do powstania statystyki, wkroczyły do ubezpieczeń, finansów, a nawet etyki. Co jednak dla nas najistotniejsze, doprowadziły one do rewolucji w fizyce.

W drugiej połowie XIX w. James Clerk Maxwell, Ludwig Boltzmann i Josiah Willard Gibbs posłużyli się zaawansowanymi metodami statystycznymi do modelowania gazu, do tej pory opisywanego przez termodynamikę w terminach ciśnienia, temperatury i przepływu ciepła. Uczeni ci odkurzyli przewijającą się od ponad dwustu lat ideę, że każdy gaz w rzeczywistości składa się z gigantycznej liczby malutkich kotłujących się cząsteczek.

Przypisując tym hipotetycznym wówczas molekułom prędkość i energię losowo (zgodnie z pewnymi rozkładami prawdopodobieństwa), fizykom udało się zrekonstruować wszystkie pojęcia i prawa termodynamiki, tym samym redukując zjawiska cieplne do mechaniki. Narodziła się nowa „fizyka statystyczna", która mimo iż nie potrafiła przewidzieć ruchu poszczególnych molekuł, skutecznie modelowała ich zbiorowe zachowanie.

Kariera przypadku

Jak się okazało, powstanie fizyki statystycznej było tylko wstępem do kariery probabilistyki w fizyce. Wkrótce na scenę wkroczyła mechanika kwantowa, która modeluje Naturę jako immanentnie losową. O ile bowiem w fizyce statystycznej ruchem molekuł zasadniczo rządziły deterministyczne prawa Newtona, a stosowanie metod probabilistycznych było tam tylko sprytnym obejściem naszej niewiedzy na temat prędkości poszczególnych cząsteczek, to już według mechaniki kwantowej układy fizyczne mają niejako wbudowany element losowości. Sam układ kwantowy zwykle „nie wie", jaki będzie wynik przeprowadzonego na nim pomiaru – jego stan dostarcza tylko rozkładu prawdopodobieństwa uzyskania poszczególnych wyników.

Powstanie i rozwój mechaniki kwantowej nie tylko umieściły losowość w sercu fizyki – wpłynęły także na samą probabilistykę. Wkrótce bowiem okazało się, że kwantowa losowość wymaga głębszych i ogólniejszych struktur matematycznych niż klasyczny rachunek prawdopodobieństwa. Struktury te do dziś są intensywnie badane przez matematyków, a także fizyków zajmujących się teorią informacji kwantowej.

Także klasyczna probabilistyka nie przestała się rozwijać. W XX w. nie tylko otrzymała postać aksjomatyczną (co oznacza swoistą matematyczną dojrzałość teorii), ale i weszła w głębokie interakcje z niemal wszystkimi działami matematyki. Do grupy dziedzin, w których znajduje zastosowanie, obok wspomnianych już ubezpieczeń i finansów, dołączyły biologia, ekologia, genetyka, kryptografia, teoria informacji, uczenie maszynowe i mnóstwo dalszych obszarów w fizyce (nie tylko kwantowej), nie wspominając o dziedzinach posługujących się wnioskowaniem statystycznym.

A zatem nawet przypadek i losowość dają się z powodzeniem modelować matematycznie. Świat i w tym aspekcie okazuje się „strukturalnie podobny" do Matematyki przez duże M.

Racjonalność i Sens

Dla Eugene'a Wignera skuteczność matematyki była „niezwykłym darem, którego nie rozumiemy i na który nie zasługujemy". Dla Alberta Einsteina „najbardziej niezrozumiałą rzeczą dotyczącą Wszechświata jest to, że jest on zrozumiały". Michał Heller w matematyczności przyrody dostrzega coś więcej.

Jego zdaniem, dzięki sukcesom nauki „Kosmos przekonał nas, że jego głęboka struktura ma w sobie coś przyjaznego: pozwala się rozumieć, przynajmniej częściowo, a to, co już zrozumieliśmy, zawiera w sobie obietnicę, że proces rozumienia będzie postępować nadal. [...] Uważam, że racjonalność Wszechświata, ten zadziwiający i »niezrozumiały« fakt, że Wszechświat daje się zrozumieć, dostarcza – pośredniego, zapewne, ale jednak wymownego – argumentu za sensownością ludzkiego istnienia [...] Domyślamy się, że żyjemy w środowisku Racjonalności i Sensu".

Przez duże R i S.

© TOMASZ MILLER

Źródła cytatów:
M. Heller, „Filozofia i Wszechświat – wybór pism", Universitas, 2008
M. Heller, J. Życiński, „Matematyczność przyrody", Petrus, 2010
M. Heller, J. Życiński, „Wszechświat i filozofia", CCPress, 2015
M. Heller, „Ważniejsze niż Wszechświat", CCPress, 2018
R. Penrose, „Droga do rzeczywistości. Wyczerpujący przewodnik po prawach rządzących Wszechświatem", Prószyński i S-ka, 2006
E. Wigner, „Niepojęta skuteczność matematyki w naukach przyrodniczych", „Zagadnienia Filozoficzne w Nauce", nr XIII, 1991

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 11/2026
REDAKCJA: Łukasz Kwiatek | PROMOCJA: Anna Pietrzykowska | SKŁAD: Andrzej Leśniak
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara

PARTNERZY WYDANIA
Kraków
TARNÓW OD 1330 ROKU
znak
WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie
za KS sprzyjamy wyobraźni

eprasa.pl 6b5ff1c250

Marszałek
Województwa Małopolskiego
Łukasz Smółka

Kraków, 2 marca 2026 r.

Czcigodny
Ksiądz Profesor Michał Heller

Wielce Szanowny Jubilacie, Księże Profesorze!

Z okazji 90. rocznicy urodzin proszę o przyjęcie serdecznych życzeń, gratulacji oraz wyrazów głębokiego szacunku. W imieniu własnym oraz Samorządu Województwa Małopolskiego dziękuję Księdzu Profesorowi za dzieło życia, które buduje prestiż polskiej nauki i kultury intelektualnej, a jednocześnie pozostaje zakorzenione w naszej małopolskiej ziemi.

Małopolska ma szczególny powód do dumy: urodził się Ksiądz Profesor w Tarnowie, a Kraków stał się miejscem, w którym pasja badawcza, kapłańska wrażliwość i niezwykły talent do łączenia dyscyplin znalazły tutaj swoją dojrzałą formę. Związki Księdza Profesora z krakowskim środowiskiem akademickim – wieloletnia praca dydaktyczna na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II, współpraca z Uniwersytetem Jagiellońskim, a także inicjatywa powołania Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych – są trwałą częścią historii miasta i regionu. To dzięki takim przedsięwzięciom stolica Małopolski pozostaje miejscem, w którym nauka, filozofia i refleksja religijna mogą spotykać się w rozmowie uczciwej, wymagającej i twórczej.

Droga Księdza Profesora – naznaczona doświadczeniami dzieciństwa, a później konsekwentną pracą badawczą w obszarze kosmologii, filozofii nauki i teologii – jest świadectwem tego, że odwaga myślenia może iść w parze z pokorą wobec prawdy. W świecie, w którym łatwo ulec uproszczeniom, Ksiądz Profesor od lat przypomina, że wiara nie potrzebuje łatwych „potwierdzeń" w nauce, a nauka nie jest skazana na konflikt z religią. Ten styl dialogu – cierpliwy, rzetelny i otwarty – stał się inspiracją dla wielu uczniów, badaczy i czytelników.

Z dumą odnotowujemy, że dorobek Księdza Profesora został doceniony najważniejszymi wyróżnieniami w kraju i za granicą. Nagroda Templetona, Order Orła Białego, członkostwo w Papieskiej Akademii Nauk oraz w Polskiej Akademii Umiejętności to znaki uznania dla pracy, która przekracza granice specjalizacji i łączy naukowców, ludzi kultury i osoby poszukujące sensu. Dla Krakowa, istotne pozostaje również współtworzenie środowiska badań kosmologicznych oraz obecność Księdza Profesora w debacie publicznej – choćby poprzez teksty publikowane w „Tygodniku Powszechnym" – które przez lata kształtowały wyobraźnię intelektualną kolejnych pokoleń czytelników.

Z uznaniem przyjmuję także wkład Księdza Profesora w popularyzację wiedzy: setki tekstów, wykładów i publikacji sprawiły, że tematy tak trudne jak struktura czasoprzestrzeni, osobliwości kosmologiczne czy filozoficzne znaczenie matematyki stały się bliższe szerokiemu gronu odbiorców. To ogromna zasługa dla kultury publicznej – również w Małopolsce, gdzie tradycja uniwersytecka i duchowa od wieków współtworzy wspólnotę.

Raz jeszcze gratulując Księdzu Profesorowi wspaniałego jubileuszu, wyrażam uznanie dla wielkości dorobku naukowego Księdza Profesora, a także istotnych zasług dla krzewienia i rozwoju nauki oraz poszukiwania pomostów między nauką i religią. Składam jednocześnie życzenia zdrowia, pogody ducha i niegasnącej energii. Niech kolejne lata przynoszą spokój, a także satysfakcję z drogi, którą Ksiądz Profesor wytyczył – drogi tak ważnej dla Krakowa, Małopolski i całej Polski.

Z uszanowaniem

Łukasz Smółka

eprasa.pl 6b5ff1c250

PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ALEKSANDER MISZALSKI

Ksiądz Profesor Michał Heller

Wielebny Księże Profesorze,

z okazji dostojnego jubileuszu dziewięćdziesiątych urodzin proszę przyjąć najserdeczniejsze gratulacje oraz wyrazy najwyższego szacunku. To szczególny moment nie tylko dla środowiska naukowego i kościelnego, lecz także dla całej wspólnoty naszego miasta, które od wielu lat ma zaszczyt pozostawać przestrzenią Księdza życia, pracy i twórczego namysłu.

Dziewięć dekad życia wypełnionych niestrudzonym dążeniem do prawdy, odwagą intelektualną oraz niezwykłą konsekwencją w łączeniu refleksji naukowej z duchową jest świadectwem rzadkiej harmonii umysłu i serca. Dorobek Księdza Profesora na trwałe wpisał się w historię współczesnej myśli humanistycznej i naukowej, przekraczając granice dyscyplin, języków i kultur.

Kraków od wieków był miejscem spotkania tradycji z nowoczesnością, refleksji metafizycznej z precyzją nauk ścisłych, a także przestrzenią wymiany myśli ludzi różnych wrażliwości i dróg poznania. W osobie Księdza Profesora wartości te znalazły szczególnie wyraziste urzeczywistnienie.

Nie sposób też nie docenić faktu, że w świecie tak mocno dziś naznaczonym podziałami przypomina Ksiądz Profesor, że dochodzenie do prawdy może i powinno być wspólną drogą różnych tradycji myślenia.

Dziewięćdziesiąte urodziny są nie tylko okazją do podsumowań, lecz przede wszystkim momentem wdzięczności – za dorobek, który inspiruje, za myśl otwierającą nowe perspektywy oraz za świadectwo życia uczące odpowiedzialności za dar rozumu i wrażliwości duchowej.

Proszę przyjąć serdeczne życzenia zdrowia, spokoju, pogody ducha oraz spełnienia. Niech kolejne lata przynoszą satysfakcję z owoców wieloletniej pracy oraz życzliwość tych wszystkich, którzy czerpią z Księdza wiedzy i mądrości.

Z wyrazami najwyższego uznania i serdecznej pamięci

marzec 2026 r.

eprasa.pl 6b5ff1c250

TARNÓW
OD 1330 ROKU

Czcigodny Księże Profesorze,

Dostojny Jubilacie!

Z okazji 90. rocznicy urodzin składam Księdzu wyrazy najgłębszego szacunku oraz najserdeczniejsze gratulacje.

Dla kosmologa, na co dzień obcującego z ogromem Wszechświata, dziewięć dekad może wydawać się zaledwie mgnieniem oka. Jednak z perspektywy ludzkiej to jubileusz piękny i imponujący – wypełniony pracą, która rzuca światło na największe tajemnice istnienia.

Jesteśmy Księdzu Profesorowi wdzięczni za to, że mimo światowej sławy to właśnie Tarnów niezmiennie nazywa Ksiądz swoim domem. To dla nas niezwykły zaszczyt, że te same historyczne ulice, które przemierzamy na co dzień, są miejscem Księdza spacerów i twórczej pracy. Swoją obecnością nobilituje Ksiądz nasze miasto, czyniąc z Tarnowa swoistą „stolicę mądrości" – punkt na mapie świata, w którym nauka spotyka się z wiarą w najdoskonalszej harmonii.

Dziękujemy za dar ukazywania nam Wszechświata jako dzieła logicznego i pełnego sensu. Jako Honorowy Obywatel Naszego Miasta, jest Ksiądz dla nas wzorem intelektualnej odwagi i pokory wobec Prawdy.

Życzę Księdzu Profesorowi niesłabnącego zdrowia, sił witalnych oraz tej samej, niezmiennej ciekawości świata, która prowadzi Księdza przez meandry nauki. Niech każda kolejna chwila przynosi radość z odkrywania nowych horyzontów, a wdzięczność Tarnowian będzie dla Księdza codziennym wsparciem.

Z wyrazami najwyższego poważania

Jakub Kwaśny
Prezydent Tarnowa

Tarnów, marzec 2026 r.

eprasa.pl 6b5ff1c250

Wielebny Księże Profesorze!
Czcigodny Jubilacie!
Drogi Przyjacielu!

Jesteśmy szczęśliwi, że wraz z Tobą możemy świętować ten wspaniały jubileusz.

Cieszymy się, że przez znaczną część tych 90 lat, które minęły, mogliśmy iść wspólną drogą. Twój pierwszy artykuł w miesięczniku „Znak" ukazał się dokładnie w Twoje 32. urodziny. Pierwszą książkę, zatytułowaną „Wobec Wszechświata", Wydawnictwo Znak opublikowało w 1970 roku. Przez następne dekady regularnie pojawiałeś się i na łamach pisma, i w katalogu naszej oficyny. Nie tylko publikowałeś własne artykuły i książki, ale też inspirowałeś powstanie i wydanie innych. To wspaniałe, że również obecny jubileusz możemy uczcić Twoją nową książką, „Siedem ważnych słów", opublikowaną wspólnie z oficyną Copernicus Center Press.

Jesteśmy Ci wdzięczni za to, że przez te wszystkie lata dzieliłeś się z nami swoją mądrością, wiedzą, przenikliwością i humorem. I że robisz to nadal. Życzymy Ci – ale i sobie – żeby trwało to jak najdłużej. Wiemy, że nie opuszcza Cię ani ciekawość świata, ani chęć przekazywania innym owoców swojej pracy.

Nie ma co ukrywać – jesteś nam bardzo potrzebny. Jako przewodnik, jako autorytet, jako przyjaciel. Przez całe swoje życie budowałeś mosty między różnymi światami, w tym w szczególności między światem nauki a światem wiary. Uczyłeś wrażliwości na tajemnice i Tajemnicę. Uświadamiałeś, jak ważne jest, aby wiedzieć, jak naprawdę wygląda i funkcjonuje świat, ale też umieć powiedzieć „nie wiem" tam, gdzie wiedza jest niepewna i trzeba z pokorą prowadzić dalsze poszukiwania. Twoje kompetencje w dziedzinie filozofii, teologii, kosmologii, historii nauki połączyły się z rzadkim, niezwykłym darem przystępnego pisania i mówienia o nawet bardzo skomplikowanych zagadnieniach.

Drogi Księże Profesorze! Drogi Michale!

Dziękujemy Ci za to wszystko i życzymy Ci na kolejne lata dużo zdrowia, niewyczerpanych sił twórczych i zachowania tej pogody ducha, z której jesteś znany!

Przyjaciele ze Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak
oraz miesięcznika „Znak"

eprasa.pl 6b5ff1c250

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Rzeszów, 12 marca 2026 roku

Czcigodny i Dostojny Jubilat ks. prof. Michał Heller!

Księże Jubilacie,

od prawie 20 lat mamy zaszczyt współpracować z Księdzem Profesorem. To dla nas wielki honor, ponieważ mamy do czynienia z niepospolitym Człowiekiem, o niepospolitym umyśle.

Dokonania Księdza Profesora zostały potwierdzone wieloma honorowymi doktoratami, Nagrodą Templetona, a także Orderem Orła Białego — najwyższym państwowym odznaczeniem.

W tym szczególnym dniu kłaniamy się Księdzu Profesorowi nisko i wyrażamy wdzięczność za odkrywanie przed nami piękna nauki i pobudzanie odwagi w stawianiu ważnych pytań i ciągłym poszerzaniu horyzontów myślenia. Niestrudzona aktywność Księdza Profesora motywuje nas nieustannie do podejmowania nowych wyzwań w próbach rozumienia świata. Dla nas Jubilat będzie zawsze wzorem Człowieka dialogu, skutecznie budującego pomosty między nauką a religią. Dlatego z wielkim poruszeniem i najwyższym uznaniem pragniemy podziękować za wszystko, czym nas obdarowuje obecność i dzieła Księdza Profesora.

Z dumą podkreślamy, że tak wybitny Uczony należy do grona Profesorów Honorowych naszej Alma Mater. Współpraca z Księdzem Profesorem stanowi dla nas prawdziwy zaszczyt, wyjątkowy przywilej oraz źródło głębokiej inspiracji i intelektualnego wzbogacenia.

W imieniu całej społeczności akademickiej Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, licznego grona mieszkańców Podkarpacia uczestniczących w rzeszowskich wykładach Księdza Profesora oraz swoim własnym kierujemy do Księdza Profesora najserdeczniejsze życzenia dalszych osiągnięć, niegasnącej pasji poznawczej oraz dobrego zdrowia. Życzymy nadto, aby działalność naukowa Księdza Profesora przynosiła stałą satysfakcję osobistą i pełnię zawodowego spełnienia.

Czcigodny Księże Profesorze,

obchody 90. rocznicy urodzin stanowią znakomitą okazję, aby złożyć Księdzu Profesorowi wyrazy bezgranicznej wdzięczności za wyjątkową otwartość, niezmienną życzliwość oraz wieloletnią, owocną współpracę.

AD MULTOS ANNOS!

Z darem wdzięczności i uznania, pozostajemy z wyrazami szacunku

Rektor
Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania
w Rzeszowie
dr Małgorzata Gosek

Wiceprezydent
Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania
w Rzeszowie
dr Wergiliusz Gołąbek

Prezydent
Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania
w Rzeszowie
dr hab. inż. Tadeusz Pomianek, prof. WSIiZ

Jednym z licznych owoców współpracy Jubilata z Uczelnią są wykłady i spotkania z Księdzem Profesorem udostępnione szerokiej publiczności na uczelnianym kanale YouTube. Filmowe relacje dostępne są pod adresem: **https://linktr.ee/heller**

eprasa.pl 6b5ff1c250

Warszawa, 12 marca 2026

Czcigodny Księże Michale,
Drogi Jubilacie!

Od lat mądrze rozważasz, jak połączyć wiarę z dokonaniami nauki, której teoretykiem i praktykiem jesteś od dziesięcioleci.

Twoja wiedza i umiejętności są cenione na świecie, czego dowodem przyznana Ci w 2008 roku Nagroda Templetona, podkreślająca Twoje zaangażowanie w duchowy wymiar życia – czego ponownie dowiodłeś, przeznaczając ją na stworzenie Centrum Kopernika w Krakowie, wiodącej jednostki badań interdyscyplinarnych.

Bliska Ci koncepcja *creatio continua*, nieustannego kreowania universum, starająca się połączyć dogmat o stworzeniu z teorią ewolucji – to Twoje przemyślane, wyważone podejście do świata i ludzi. To dziś rzadkość, by tak długo i konsekwentnie być wiernym sobie i wyznawanym wartościom.

Dziękujemy Ci za to i życzymy wiele zdrowia, wielu lat życia i wielu Twoich mądrych przesłań, które uczą nas sztuki życia w najpiękniejszy sposób.

W imieniu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS

Miłosz Bembinow
Prezes Zarządu

Michał Komar
Wiceprezes Zarządu

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

eprasa.pl 6b5ff1c250

eprasa.pl 6b5ff1c250

KULTURA

DUSIOŁEK Z POWIŚLA

EMI BUCHWALD, REŻYSERKA:

Razem z przyjaciółmi tworzyliśmy jako dzieci wieloosobową bandę. To w niej upatruję źródeł mojego podejścia do robienia filmów. Gram zespołowo.

BARTOSZ MARZEC: Jak to jest z tymi duchami?

EMI BUCHWALD: Myślę, że są. I chociaż sama nie do końca jestem w stanie określić, na czym ich obecność w naszym życiu polega, to – odkąd pamiętam – poświęcam jej swoją uwagę.

Kino daje narzędzia do duchologicznych badań?

Najlepsze z możliwych. Sam pierwotny nośnik – taśma filmowa, jej naświetlanie mogą przywoływać takie skojarzenia. Kino pozwala na eksperymenty, przenoszenie się w czasie i przestrzeni, umożliwia przyspieszanie albo spowalnianie biegu wskazówek zegara, swobodne przekraczanie granicy tego, co realne. Rejestruje rzeczywistość, ale pozwala uchwycić też jej metafizyczny wymiar.

I materializuje się on czasem w postaci dusiołka.

Jako nastolatka przeczytałam wiersz Bolesława Leśmiana, którego bohater, Bajdała, podróżuje przez świat, a kiedy zasypia, nawiedza go Dusiołek, próbując odebrać oddech. Kiedy Bajdale udaje się z tego koszmaru obudzić, pyta Boga, dlaczego stworzył tak straszne istoty.

Później zobaczyłam Dusiołka na obrazie „Nocna mara" Johanna Heinricha Füssliego – znajduje się on w kolekcji Detroit Institute of Art. Scenografki Ewa Mroczkowska i Zosia Wilczkowska zrobiły jego kopię.

Od razu wiedziałaś, że pojawi się w filmie?

Początkowo miał być obecny tylko w rozmowach bohaterów i na obrazie. Ale w pewnym momencie dałam scenariusz do przeczytania Kasprowi Bajonowi, który powiedział, że jego zdaniem Dusiołek powinien pojawić się także fizycznie na ekranie. Uruchomiło to moją wyobraźnię. A że w kinie ważne jest delikatne zakrzywianie rzeczywistości, dzięki tej postaci możemy wpisać zmagania bohaterów w szerszy kontekst.

Gdyby Dusiołek miał imię, mogłoby ono brzmieć „Przygnęba".

Bohaterowie moich filmów zawsze komunikują się własnym, specyficznym językiem. Podobnie jest z rodzeństwem – Benkiem, Nastką, Janą i Frankiem z „Duchów". Inspirowałam się językiem, którym porozumiewamy się z piątką mojego rodzeństwa i to właśnie z niego wywodzi się słowo „przygnęba".

Chodzi o rodzaj niepokoju charakterystyczny dla niedzielnego popołudnia, ale też poważniejszych smutków, wywołanych trudnymi doświadczeniami.

W „Duchach" pokazujemy zresztą cały przekrój przygnęb. W ogóle dziwne, że ja to słowo tłumaczę, bo zawsze wydawało mi się oczywistym elementem języka. Wszyscy mówimy trochę inaczej, mamy swoje mikrosłowniki. Uśrednianie sposobu komunikacji w kinie nie ma sensu – szczególnie języka młodych ludzi, który szybko się zmienia.

Twoje relacje z rodzeństwem były ważną inspiracją w pracy?

Film rzeczywiście powstał pod wpływem naszych relacji i zmian, które nastąpiły w nich kilka lat temu. Inspiruję się literaturą i kinem, ale przede wszystkim staram się czerpać z życia, własnych doświadczeń i obserwacji. Bohaterowie mojej codzienności są dla mnie istotniejsi niż teksty kultury.

My w ogóle zaczynaliśmy jako dzieci od teatru w ogrodzie rodzinnego domu. Ze względu na miejsce ulokowania nazwaliśmy go Teatrem Szopka. Nasi rodzice mieli wtedy grono przyjaciół, które spędzało u nas dużo czasu ze swoimi dziećmi. Razem tworzyliśmy wieloosobową bandę, w której dorastaliśmy. W tym doświadczeniu upatruję źródeł mojego podejścia do robienia filmów, które opiera się na wspólnotowości i zespołowości.

Współpraca z każdym członkiem ekipy to osobna historia. Bardzo się cieszę, że przy „Duchach" pracowałam z ludźmi, z którymi zaczynałam moją filmową ↦

EMI BUCHWALD (ur. 1991) – reżyserka i scenarzystka. Absolwentka reżyserii Szkoły Filmowej w Łodzi i kursu dokumentalnego w Szkole Reżyserii Filmowej Andrzeja Wajdy. Twórczyni nagradzanych krótkich metraży, m.in. „Piękna łąka kwietna" (2022), „Heimat" (2017) i „Nauka" (2016). Jury 50. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni przyznało jej Złote Lwy za reżyserię pełnometrażowego debiutu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej", a film, wchodzący właśnie do kin, okazał się rewelacją festiwalu.

eprasa.pl 6b5ff1c250

↦ drogę: z operatorem Tomkiem Gajewskim, montażystką Anią Łuką, reżyserką dźwięku Olą Landsmann, kostiumografką Hanką Podrazą. „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" to debiut wielu z nas.

Filmy inspirowane własnymi doświadczeniami i językami bywają nieprzystępne dla widzów. Jak zabezpieczyć się przed takim ryzykiem?

Pisząc scenariusz, biorę to pod uwagę. Jednocześnie osobista perspektywa ma wielką wartość, bo nikt inny nie przeżył tego, co ty. Istotna jest dla mnie współpraca ze współscenarzystą Karolem Marczakiem. Opowiadamy sobie historie, z których później konstruujemy fabułę. Zadajemy sobie pytania, podważamy i sprawdzamy nasze pomysły. To otwiera głowę. Oczywiście nie przekładamy naszych doświadczeń jeden do jednego, bierzemy z nich to, co jest nam potrzebne, i splatamy ze sobą, żeby stworzyć możliwie uniwersalną opowieść.

Czy podobnie jak Marek Koterski podczas pracy na planie dbasz, aby nie pominąć żadnego słowa zapisanego w dialogach?

Ciekawe, że wspominasz o tym reżyserze. W wypadku filmów Marka Koterskiego taka skrupulatność wydaje się niezbędna, bo dzięki niej dialogi i monologi są bardzo oryginalne – jednocześnie literackie i bliskie życiu. Całkiem niedawno obejrzałam jego debiutancki „Dom wariatów" z 1984 roku: w naprawdę mistrzowski sposób oddaje surrealizm życia rodzinnego.

I faktycznie, bardzo dbam o dialogi. Zazwyczaj słyszę je i piszę tak, żeby nie wymagały obudowywania półsłówkami, które aktorzy tak uwielbiają. Są po prostu przyzwyczajeni, że dialogi mają charakter szkicu, trzeba je dopracować na planie. Tymczasem jeśli coś jest napisane sensownie, powinno się obronić. „Zagadywanie" scenariusza rozcieńcza język bohaterów, sprawia, że postaci tracą charakter.

Aktorzy odnaleźli się w tym modelu pracy?

Iza, Bartek i Karolina to niezwykle zdolni i ambitni profesjonaliści. Tymek jako muzyk ma świetne wyczucie słowa i rytmu oraz doskonale wytrenowaną pamięć. Wszyscy wierzyli w to, co robimy, ufali mi.

Przed rozpoczęciem zdjęć należy bardzo dobrze przygotować się do pracy na planie. Dlatego spotykamy się, robimy próby, rozmawiamy o scenach. Aktorzy dobudowują do napisanych bohaterów i sytuacji swoje doświadczenia, osobiste konotacje. W ten sposób dokładają swoje światy do mojego i film zaczyna coraz intensywniej żyć, robi się coraz bardziej konkretny. Osobisty także dla nich.

Akcja filmu toczy się na warszawskim Powiślu.

Warszawa, jak wiemy, jest pełna duchów. Za ulicą Dobrą, która w nim występuje, stoją osobiste powody. Przez jakiś czas mieszkałam na Powiślu z siostrą. A na Dobrej ulokowali się nasi bracia. Oczywiście, gdyby to była inna nazwa, pewnie bym jej nie wykorzystała.

Dobra intryguje, gra z opowieścią. Bo przecież duchy, demony, dusiołki to często „siła, która wiecznie zła pragnąc, wiecznie dobro czyni". Poza tym nasi bohaterowie to przede wszystkim dobrzy ludzie pragnący dobra dla siebie nawzajem. Działający z dobrych pobudek.

Czym się zajmuje Twoje rodzeństwo?

Kuba jest grafikiem. Moja młodsza siostra, Sara, projektuje przedmioty, ostatnio łączy technologię druku 3D z organicznymi materiałami. Tymek robi filmy animowane i zajmuje się montażem. Z kolei Jonasz rozwija swoje umiejętności w grafice 3D i chciałby tworzyć rzeczy w stylu „Dusiołka". Najstarsza w rodzeństwie Ania jest trenerką pilatesu – wnosi do naszej rodziny niezwykle istotny element fizycznej pracy nad sobą.

Zdarzało się Wam rywalizować?

Nie pamiętam, żebyśmy rywalizowali. Raczej wspieraliśmy się i rozwijaliśmy wspólne zajawki muzyczne, filmowe, książkowe. Wymienialiśmy się różnymi tytułami, razem słuchaliśmy i oglądaliśmy. Ja godzinami pozowałam Kubełkowi, gdy przygotowywał teczkę na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. On projektował gazetkę szkolną, do której pisałam recenzje filmowe. Razem chodziliśmy do kina.

W Przedszkolu Filmowym w Szkole Wajdy złożyłam do teczki czarno-białe zdjęcia wykonane starym zenitem, na którym każde z nas uczyło się fotografować. Przedstawiały moich braci w szale wyimaginowanych walk. Mój pierwszy nauczyciel dokumentu Piotr Stasik poradził, żebym zrobiła o nich film, bo mają w sobie coś magnetycznego.

W efekcie powstała etiuda szkolna „Bracia"?

Tak, to był mój pierwszy przedszkolny film. Pamiętam, że Andrzej Wajda po obejrzeniu go powiedział, że czuje niedosyt i czeka na kolejną część. To samo powiedział Kazimierz Karabasz podczas egzaminu wstępnego do Szkoły Filmowej w Łodzi, gdzie pokazywałam film.

Można powiedzieć, że „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" jest kontynuacją rozpoczętej w tamtym czasie drogi. Myślę, że kiedyś nakręcę po prostu wielką sagę rodzinną w stylu „Buddenbrooków" Tomasza Manna. Trochę oczywiście żartuję, ale scenariusz, nad którym teraz pracuję, niebezpiecznie zbliża się w stronę pokoleniowych opowieści!

W Twojej drużynie jest także reżyser Maciej Buchwald.

Podczas pracy nad „Duchami" Maciek nie był na planie tak często jak wtedy, gdy pomagaliśmy sobie przy krótkich filmach. Pracował w tym czasie nad serialem „1670". Zawsze jednak czytamy swoje scenariusze i konsultujemy je nawzajem. Maciek ma bardzo dobrą intuicję. Kiedy poszukiwałam piosenki ze słowem „serce", puścił mi kawałek „Serce" Syberii TDW, który stał się hymnem naszego filmu. Scena, w której rozbrzmiewa, nawiązuje do osiemnastych urodzin mojego brata.

Trzy z czterech głównych ról zagrali aktorzy profesjonalni. W czwartej obsadziłaś Tymoteusza Rożynka, który nim nie jest.

Już w moim dyplomowym filmie „Heimat" (2017) obok Justyny Wasilewskiej wystąpili Roman Szymczyk i Nastasja Tuszyńska, moi przyjaciele, rodzeństwo bez wykształcenia aktorskiego. W takim układzie to często zawodowi aktorzy próbują doskoczyć do naturalności i prostoty tak zwanych naturszczyków, którzy potrafią być nieprzewidywalni.

Dzięki temu moment kręcenia sceny staje się jeszcze intensywniejszy. Z kolei aktorzy niezawodowi chcą uczyć się od aktorów profesjonalnych, obserwują ich,

eprasa.pl 6b5ff1c250

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

Bartłomiej Deklewa, Izabella Dudziak, Tymoteusz Rożynek i Karolina Rzepa w filmie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”

podchwytują narzędzia. Takie obsadzanie jest już w jakiś sposób wskazówką reżyserską, wpływa na konwencję gry. Z punktu widzenia prowadzenia aktorów jest to jeszcze bardziej ekscytujące, bo pracuję z grupą wymagającą różnorodnego podejścia.

Bohaterowie noszą kostiumy w różnych kolorach, ale dominantą filmu jest błękit.

Kolorem Benka jest niebieski, Nastce towarzyszy czerwony, a z Janą kojarzy się biel. Franek jest bardziej zróżnicowany, ale jego ubrania korespondują z resztą rodzeństwa. Jeśli chodzi o ultramarynę, już w prezentacjach na temat filmu używałam tego koloru zainspirowana niebieskim tytułem filmu „Kobieta pod presją” Johna Cassavetesa.

Potem Kuba, mój brat, wykorzystał go nie tylko w napisach, ale również na plakacie z Dusiołkiem. Bardzo mnie cieszy świetne przyjęcie tego plakatu, jest nieodłączną częścią filmu. Dystrybutorzy powinni mieć odwagę, żeby kreować modę i gusta, a plakat jest do tego doskonałym narzędziem.

Skoro o modzie: na Instagramie prowadzisz „Dobre stylówki starszych pań”.

Cieszę się, że o tym mówisz, bo ten profil łączy moją zajawkę fotograficzną, dokumentalną i modową. Obserwuję i czerpię inspiracje od pań, które mają świetny gust i wyróżniają się na tle dominującej mody sieciówkowej. Ostatnio brakuje mi przestrzeni na prowadzenie „Dobrych stylówek”, ale czasem intuicja podpowiada mi, że gdy wyjdę z domu, spotkam świetnie ubraną starszą panią.

Kino pozwala podróżować w czasie i w przestrzeni, przekraczać granicę tego, co realne.

Twoje wcześniejsze filmy, zrealizowane w Studiu Munka krótkie metraże „Echo” i „Piękna łąka kwietna”, a także „Heimat” i „Nauka”, czyli dyplomy ze Szkoły Filmowej w Łodzi, zostały bardzo dobrze przyjęte. Czy pomogło Ci to zadebiutować w pełnym metrażu?

Zastanawiam się nad tym, co właściwie wpływa na możliwości robienia pełnometrażowych filmów w naszych realiach. „Heimat” i „Nauka” na pewno zwróciły na mnie uwagę producentów i pomogły zrealizować kolejne krótkie filmy w Studio Munka. Ale od zaistnienia w świadomości do współpracy jest bardzo długa droga.

„Duchy” napisaliśmy z myślą o niskobudżetowym filmie, który ma szansę powstać w krótkim czasie. Studio Munka daje wolność artystyczną, ale niestety nie jest wystarczająco dofinansowane. Pomijając możliwości realizacyjne, nawet niskie budżety powinny zapewniać twórcom wynagrodzenie pozwalające w czasie produkcji skupić się tylko na pracy nad tak ważnym filmem, jakim jest debiut.

Studio Munka prowadzi programy, które są przeznaczone m.in. dla twórców debiutujących w pełnym metrażu. Kolejne długie filmy muszą zrealizować już w innym miejscu.

I tu chyba pojawiają się największe schody. Często mam wrażenie, że twórcy, których debiuty zdobyły uznanie krytyki i publiczności, odniosły sukces festiwalowy, muszą dużo dłużej czekać na możliwość zrobienia kolejnego filmu niż osoby realizujące kino komercyjne. Przydałaby się tu jakaś zmiana.

Co miałoby się zmienić?

Producenci powinni mieć odwagę Jerzego Kapuścińskiego i Katarzyny Malinowskiej ze Studia Munka, którzy wierzą w kino autorskie. W większych instytucjach brakuje zaufania do twórców i przestrzeni na odchodzenie od schematu – nawet jeśli są mocne przesłanki, że może się udać.

Swoją drogą nieudane eksperymenty też są potrzebne, bo pozwalają się kinu rozwijać. Dominujące platformy streamingowe inwestują w filmy i seriale, które wpisują się w algorytmy. „Duchy” nie mają nic wspólnego z algorytmami, a patrząc na reakcje widzów i krytyków, okazuje się, że taki film był potrzebny. Zdarzają się wyjątki w polityce platform, jak w przypadku wspomnianego serialu „1670”. Kuba Razowski z Netfliksa miał odwagę zaufać twórcom i opłaciło się, bo ten serial stał się fenomenem.

Potrzebujemy zatem producentów, którzy zainwestują w kino, które nie jest koniunkturalne ani schematyczne, ale szczere i oryginalne. Więcej intuicji, mniej algorytmów.

© Rozmawiał BARTOSZ MARZEC

eprasa.pl 6b5ff1c250

Proroctwo

KINGA PIOTROWIAK-JUNKIERT

KSIĄŻKI | Pełne rozmachu dzieło Bánffyego okazało się czytelne nawet dla mieszkańców odległych zakątków globu. Czas zweryfikował jego wartość.

SCHERL / SZ-PHOTO / FORUM

Hrabia Miklós Bánffy jako minister spraw zagranicznych Węgier, 1922 r.

Zanim Miklós Bánffy napisał „Trylogię siedmiogrodzką" (w oryginale „Erdélyi történet"), nazywaną wielką „powieścią monarchiczną", dał się poznać jako wszechstronnie uzdolniony przedstawiciel siedmiogrodzkiej elity. Swoje talenty rozwijał w najróżniejszych dziedzinach – od polityki po życie artystyczne. Był posłem i ministrem spraw zagranicznych, w czasie II wojny światowej negocjował wyjście Węgier z państw osi. Kiedy po wojnie król Rumunii wymógł na nim złożenie przysięgi, że zaniecha aktywności politycznej, zaangażował się w spółdzielczość i rozwój edukacji wśród węgierskojęzycznych Seklerów.

Znakomicie wykształcony, wychowany wśród luksusów barokowego pałacu Bánffych („transylwańskiego Wersalu"), wzrastał w duchu ugody z 1867 r. Wierzył, że pamięć o patriotycznych porywach Lajosa Kossutha z 1848 r. i polityka pierwszych dekad XX w. będą prowadziły kraj ku niezależności.

Odpowiedzialność za ojczyznę i dbanie o sytuację Węgrów w Siedmiogrodzie łączył z niezwykle intensywnym życiem towarzyskim, jak na hrabiego przystało. Bywał na balach i polowaniach, podobno świetnie grał w bilard i karty, a przy tym stale malował, rzeźbił i tworzył karykatury (także w trakcie konferencji w Genui w 1922 r.). Na dodatek przez sześć lat piastował stanowisko dyrektora budapeszteńskiej opery i to za jego kadencji (1912-1918) wystawiono dwa najważniejsze dzieła Béli Bártoka – „Drewnianego księcia" i „Zamek Sinobrodego" – uznane przez wcześniejszych decydentów za perwersyjne i godzące w mieszczańską wrażliwość.

Kiedy Bánffy proponował odważne inscenizacje i marzył o przewietrzeniu konserwatywnych głów melomanów, był już uznanym dramaturgiem. Debiutował w 1906 r. pod pseudonimem Miklós Kisbán sztuką teatralną „Naplegenda", którą przyjęto entuzjastycznie, określając ją jako przykład „europejskiego pisania", w niczym nieodbiegającego od poziomu „Peer Gynta" Ibsena. Jego drugą sztukę, „Nagyúr" (1913), wystawiono na deskach Teatru Narodowego, także z sukcesem. Mimo to kolejne teksty nie były już dramatami, bo autor postanowił zająć się prozą.

Pisane z wewnątrz

Przyglądając się burzliwej biografii Bánffyego można odnieść wrażenie, że całe swoje życie (obywatela i twórcy) opierał na znakomitym refleksie i umiejętności dostrzegania najbardziej palących potrzeb społeczeństwa. Wiedział, kiedy wykorzystać koneksje i olbrzymie zasoby finansowe rodziny, by skutecznie domagać się praw mniejszości węgierskiej, a przy tym, mimo licznych powiązań z ludźmi polityki, zanegował słuszność sojuszu z Hitlerem. Kiedy rozpoczął karierę artystyczną, podjął niezwykle ważny dla Węgrów temat praojca narodu, Attyli, bezbłędnie wyczuwając, że u progu kryzysu wojennego rodacy pragną symbolicznego wzmocnienia.

Podobnie było z jego *opus magnum*, trzytomową „Trylogią siedmiogrodzką" (publikowaną w latach 1934-1940), która stała się jednym z najważniejszych tekstów, łączących wiedzę historyczną i obyczajową na temat węgierskich elit w Siedmiogrodzie.

Antal Szerb, świetny badacz, redaktor i pisarz, autor znanej w Polsce książki „Podróżny i światło księżyca" (przełożonej przez Jana Zimierskiego) zauważył, że dużą zaletą tej powieści jest „pisanie z wewnątrz", ponieważ „o epoce Franciszka Józefa napisał człowiek, który nie tylko tę epokę przeżył, ale także tworzył jej historię".

Dodajmy, że w 1916 r. Bánffy był inscenizatorem koronacji ostatniego cesarza

eprasa.pl 6b5ff1c250

monarchii, Karola I Habsburga, następcy Franciszka Józefa. Badacze wspominają, że hrabia postanowił pokazać nowemu władcy realia walk pierwszowojennych i na ceremonię zaprosił zasłużonych i okaleczonych żołnierzy, którzy w chwili oddania hołdu podchodzili do nowego cesarza o kulach, obwiązani bandażami, pozbawieni kończyn, z widocznymi bliznami, co miało uzmysłowić Karolowi I, że toczenie wojen to nie decyzje podejmowane w zacisznym gabinecie, ale posyłanie poddanych na śmierć.

Dzieło Bánffyego jest nie tylko popisem wiedzy o życiu elit, ale przede wszystkim opisanym w najdrobniejszych detalach atlasem obyczajów, encyklopedią rytuałów, przewodnikiem po świecie polowań, ekskluzywnych wnętrz i okolicznościowych uczt. To także świetnie skonstruowana, wielopoziomowa powieść, w której możemy równocześnie śledzić tło historyczne, miłosne perypetie głównych bohaterów i przemiany społeczeństwa.

Liczące w węgierskim wydaniu 1250 stron dzieło porównywano z symfoniami, które, podobnie jak „Trylogia", komponuje się zachowując zasadę zmiennych temp. Po wesołym i skocznym temacie przechodzimy do fragmentów pełnych nostalgii i zadumy, po nich pojawiają się części opisowe, a po nich znowu dynamiczne wątki.

Ta zasada sprawdza się świetnie, bo mimo obszernego materiału pisarskiego czytelnik nie odczuwa znużenia. Bánffy zadbał nie tylko o muzyczną, symetryczną konstrukcję, ale także udowodnił, jak dobrze zna ludzką psychikę, a przy tym zachwyca malarskim spojrzeniem na przyrodę.

Na podbój świata

Kiedy zastanowimy się chwilę nad tym, z czego autor utkał swoją opowieść, przypomnimy sobie niezliczone szczegóły ukazujące lokalny koloryt, unikatowe gatunki roślin i zwierząt, detale uprzęży i strojów, tańce czy potrawy towarzyszące balom charytatywnym po Środzie Popielcowej, wówczas zrozumiemy, jakim wyzwaniem było tłumaczenie „Trylogii".

Irena Makarewicz, determinacji której zawdzięczamy istnienie Bánffyego na polskim rynku (właśnie ukazał się drugi tom powieści), brawurowo oddała maestrię oryginału. Wymagało to tytanicznej pracy w polszczyźnie, oddania subtelnego stylu, przeprowadzenia śledztw ornitologicznych i modowych, a przede wszystkim wypracowania językowej i strukturalnej polifonii, z której ta powieść słynie. Nie mam wątpliwości, że sukces Bánffyego w Polsce należy podzielić na pół między autora i tłumaczkę.

Trudno też uwierzyć, że przez wiele dekad dzieło to było na Węgrzech prawie nieznane. Po tym, jak w 1945 r. autora (przedstawiciela burżuazji) objęto *silentium*, książka trafiła na indeks. Nigdzie jej nie drukowano. Pięć lat później objęto zakazem druku także pozostałe dzieła pisarza. Władzy nie podobało się pochodzenie hrabiego, jego udział w życiu kulturalnym Siedmiogrodu, reprezentowanie mniejszości seklerskiej, właściwie cała biografia (zwłaszcza rozpoznawalność na arenie międzynarodowej). „Trylogia" powróciła dopiero w 1982 r., ponad 30 lat po śmierci autora, w ocenzurowanej wersji, w której zabrakło fragmentów dotyczących pokojowego nastawienia elit seklerskich względem Rumunów.

Gdyby nie Katalin Bánffy, córka twórcy, która postanowiła przetłumaczyć dzieciom dzieło ojca, prawdopodobnie nie poznalibyśmy losów dumnego Bálinta Abádyego i jego kuzyna László Gyerőffyego. „Robocza" wersja książki powstawała przy kuchennym stole w Casablance, a kiedy okazało się, że wzbudza zainteresowanie bliskich, trafiła do profesjonalnego tłumacza, a potem ruszyła na podbój świata.

Pełne rozmachu dzieło Bánffyego okazało się czytelne nawet dla mieszkańców odległych zakątków globu. Czas zweryfikował jego wartość. Być może dlatego, że przesłanie zawarte w tytułach trzech tomów cyklu – „policzone", „zważone" i „podzielone" (czyli *mene*, *tekel*, *fares* z Księgi Daniela) – brzmi dziś bardzo aktualnie. Przepowiednia katastrofy i upadku, a przede wszystkim zapis końca pewnej epoki, odchodzenia świata, który wydawał się stały i niezniszczalny, jest naszym wspólnym, globalnym doświadczeniem.

Nawet jeśli podczas lektury sięgamy po inne książki, żeby lepiej zrozumieć kontekst fabuły, albo potrzebujemy większej wiedzy o tle historycznym, dobrze rozumiemy niepokoje bohaterów, motywacje i decyzje, które zmieniały ich życie. Jeśli mamy odrobić jedną lekcję z lektury Bánffyego, niech będzie nią przekonanie, że jakość i talent zawsze się obronią. ©

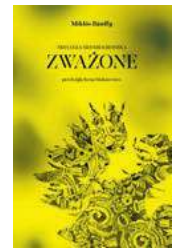

Miklós Bánffy, **ZWAŻONE**, *tłum. Irena Makarewicz, Officyna, Łódź 2026*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek specjalny **Zakład Narodowy im. Ossolińskich**

- rozmowa z dyrektorem Ossolineum, Łukaszem Kamińskim
- fotoreportaż z przebogatych zbiorów Zakładu
- podróże w głąb siebie
- przegląd najciekawszych nowości wydawnictwa Ossolineum

i wiele więcej

OSSOLINEUM

ZAPRASZAMY DO LEKTURY!

eprasa.pl 6b5ff1c250

ARŠEN PETROVYCH / TVP X2

Spektakl „Wycinka" w reż. Krystiana Lupy można obejrzeć na stronie teatrtv.vod.tvp.pl.

Powrót mistrza

JACEK WAKAR

TEATR | Odrodzenie „Wycinki" można traktować w kategoriach cudu. Czas odcisnął na arcydziele Krystiana Lupy piętno, ale dodatkowo pogłębił i wyostrzył jego znaczenia. A przede wszystkim pozwolił doznać wzruszenia – że jeszcze raz wchodzimy w ten świat.

Wydawało się, że to rozdział zamknięty. Że wszystko, co możemy dostać – a i tego nie mogliśmy się spodziewać – to telewizyjna wersja słynnego przedstawienia Krystiana Lupy, która z inicjatywy Teatru TV powstała w roku ubiegłym. Rzecz absolutnie nie do zlekceważenia, bowiem legendarna inscenizacja, traktowana jako bezpowrotnie utracona, nagle została utrwalona i stało się jasne, że przetrwa, zostanie w archiwach, będzie można do niej wracać.

Gdy się o tej inicjatywie dowiedziałem, pomyślałem, że choćby z tego powodu warto było odbudowywać telewizyjną scenę, choć dzisiejszy Teatr TV pod wodzą Michała Kotańskiego wydaje mi się przechwalony i często nie dołączam do chóru zachwyconych. Nie zaprzeczając oczywiście, że wśród licznych (może zbyt licznych nawet) propozycji zdarzały się dzieła ważne i spełnione. Tyle że na moje oko było ich chyba jednak mniej, niż utarty pogląd głosi.

Z „Wycinką" od początku sprawa była jednak specyficzna. Czekałem na telewizyjną realizację jako jeden z tych, co sceniczną wersję widzieli. Jej los, zaskakująco zbieżny z historią literackiego pierwowzoru Thomasa Bernharda, też zadziałał piorunująco, każąc zobaczyć w spektaklu odbicie księgi zakazanej i aresztowanej, którą decyzją bezdusznej i głupiej władzy skazano na unicestwienie.

Najpierw telewizyjne przedstawienie, a teraz powrót „Wycinki" do teatru żywego planu wskazały jednak, że cuda się zdarzają, a po pogrzebie – raz na wieczność – może nastąpić zmartwychwstanie.

Anihilacja

Nie ma sensu z upodobaniem babrać się w czasach mrocznych i na szczęście minionych, ale przypomnieć trzeba, że dzieje „Wycinki" Krystiana Lupy stały się emblematyczne dla opowieści o anihilacji Teatru Polskiego we Wrocławiu po tym, jak przy aprobacie ówczesnej władzy centralnej, ale dzięki decyzjom dolnośląskich samorządowców reprezentujących inną niż PiS opcję, zamontowano na dyrektorskim stołku Cezarego Morawskiego. A ten niezwłocznie przystąpił do niszczenia jednej z najlepszych wówczas scen w kraju.

Z zimną krwią rozwalił zespół aktorski, reżyserów zastąpił ludźmi miernymi, ale wiernymi, a najważniejsze, że niepodnoszącymi wysoko głów. Doprowadził do wieloletniej degradacji Polskiego, zamieniając go, mimo trzech scen i technicznego potencjału, w placówkę smutną i prowincjonalną, margines marginesu

eprasa.pl 6b5ff1c250

życia teatralnego nie tylko w skali szerszej, ale nawet w stolicy Dolnego Śląska. Część aktorów i aktorek zwolnił, część zmusił do odejścia, po czym wykorzystywał to choćby do blokowania wyjazdów „Wycinki", argumentując obłudnie, iż członków obsady nie ma już w zespole Polskiego.

Efekt był taki, że lutowe pokazy były pierwszymi prezentacjami przedstawienia we Wrocławiu od dziesięciu lat. A tak w ogóle to powrotem „Wycinki" po niemal ośmiu latach, gdyż ostatni raz zagrano ją, z ogromnym zresztą sukcesem, na festiwalu Mostra Internacional de Teatro w São Paulo w Brazylii. Był marzec 2018 r. Po tamtych prezentacjach wydawało się, iż przedstawienie przestanie istnieć.

Arcydzieło

Zespół rozjechał się po Polsce, zmuszony znaleźć nowe miejsca życia i pracy. Dawnych ludzi Polskiego możemy dziś odnaleźć pod wieloma adresami, przede wszystkim w Warszawie – w Powszechnym, Studio, Narodowym, Polskim, Ateneum. Dość regularnie spotykają się w projektach Teatru Polskiego w Podziemiu, który stanowi coś na kształt dawnego Polskiego na uchodźstwie. Nic nie wskazuje jednak, by kiedykolwiek wrócił do budynku przy Zapolskiej. Tamten Polski to już dawno zamknięta historia.

Wszystko to sprawiło, że 20 lutego na widowni wrocławskiej Piekarni ukonstytuowała się samoistnie i niezauważalnie powołana przez samą siebie wspólnota wyznawców scenicznej „Wycinki", którzy przybyli razem świętować nieoczekiwane odrodzenie pogrzebanego na dobre dzieła. Jak powiedziałem wcześniej, wersja telewizyjna pozwalała skupić się na detalach, przypomnieć role, dialogi i frazy, poza tym siłą rzeczy charakteryzowała się bardziej kameralnym od oryginału wymiarem. Dla takich jak ja widzów pozostała jednak szlachetnym substytutem arcydzieła, czymś podanym zamiast, zdolnym przywołać ślad dawnych emocji.

No właśnie, tylko ślad, bo pełne doświadczanie mistrzowskiego spektaklu Krystiana Lupy możliwe jest wyłącznie w żywym z nim kontakcie. W ten lekko mroźny lutowy wieczór okazał się on faktem. I nikomu nie przeszkodziło, że tuż przed seansem dowiedzieliśmy się, iż pokaz będzie miał charakter próby generalnej, dlatego trzeba brać pod uwagę ingerencje reżyserskie w jego przebieg, no i w ogóle różnych rzeczy można się spodziewać. Koniec końców do niczego takiego nie doszło, obsada sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie pożegnała się z postaciami.

I to jednak byłoby za mało, bo przecież w ramach ogólnej dewastacji Polskiego przed laty dokonano anihilacji scenografii spektaklu. Odbudowała ją TVP na potrzeby własnej realizacji, a potem przekazała Teatrowi Polskiemu w Podziemiu. Bez tego na powrót „Wycinki" nie byłoby jakichkolwiek szans.

Aktorki

Z premierowej obsady przedstawienia zabrakło jedynie Krzesisławy Dubielówny. Wspaniała aktorka, niezapomniana choćby z „Immanuela Kanta" w inscenizacji Lupy, tym razem partię miała niedużą, więc jej odejście, chociaż jest wielką stratą dla teatralnego świata, na „Wycince" nie zaważyło.

Poza tym wszystkie i wszyscy wrócili do swych ról, do niezmienionych słów, do takich samych lub bliźniaczych kostiumów, a przede wszystkim do portretów ludzkich, jakie wówczas stworzyli.

Adam Szczyszczaj, Michał Opaliński, Andrzej Szeremeta, Jan Frycz w spektaklu „Wycinka"

Na pierwszy rzut oka bowiem oglądamy po raz kolejny tę samą inscenizację, nie jej nową wersję, a co najwyżej rekonstrukcję, bowiem zmieniły się parametry przestrzeni, trzeba było odtworzyć relacje między postaciami, sytuacje, a wreszcie to, co najważniejsze – wewnętrzne pejzaże w ludziach.

Tyle że jest to pierwsze powierzchowne spojrzenie, tylko pozory, bo w istocie nowa-stara „Wycinka" przynosi fascynującą, niespotykaną w teatrze grę z czasem, może nawet niejednym. Powrót aktorek i aktorów do ról przynosi nie tylko powtórne ich stopienie z postaciami z Bernharda. Pozwala także na nałożenie na nie zaklętej w ciałach i myślach pamięci z czasu premiery przedstawienia w 2014 r. i późniejszej, zbyt krótkiej jego eksploatacji.

Aspekty

Osobliwe to doświadczenie, bo przenosi się także na nas, publiczność. Siedzę zatem na widowni Piekarni, chłonę spektakl i wydaje mi się, że słyszałem już przecież te kadencje, załamania głosu i zaśpiewy, widziałem te grymasy i gesty, raz zawieszone w pół, za chwilę gwałtowne, te nogi zakładane na siebie i to niedbałe niby, a w istocie obsesyjne nimi machanie. Pamięć partytury zaklęta w wykonawcach pozwala tego nie odtwarzać, a stworzyć na nowo, nie popadając nawet przez chwilę w mechaniczne kopiowanie.

Niby tak, niby wszystko się zgadza, oni to ciągle oni, ale... Ci sami, a jednak nie ci sami. Krystian Lupa i jego zespół podejmują bezkompromisową grę z czasem, rozgrywkę w przywoływanie przeszłości, wreszcie nie unikają pytania, co się ze mną, aktorką lub aktorem, stało przez czas od „Wycinki" do „Wycinki" i jak to wpływa na postać i całą inscenizację. Otwiera ją filmowa sekwencja z Joaną Thul (Marta Zięba) nagrana gdzieś w pomieszczeniach Teatru Polskiego. O tym, co najważniejsze w aktorstwie i dlaczego nigdy nie przeprowadzi warsztatów w Teatrze Narodowym.

Wyznanie wiary Joany Thul zrymuje się szybko z doświadczeniem aktorki, ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

dzisiaj związanej z warszawskim Studiem, ale chcącej pozostać wierną swej niezależności pielgrzymującej po różnych scenach w Polsce. W projekcjach z roku 2014 Zięba zdaje się bardziej łagodna, pastelowa, w retrospekcjach przed samobójstwem w spektaklu w roku 2026 ma w sobie więcej dzikości, desperacji. Emocje łączą się w niej w sposób fascynujący.

Projekcje pozostały bowiem oryginalne, są takie jak podczas premiery przed dwunastu laty. Uśmiech budzi dawny dyrektor Polskiego (a dziś poseł) Krzysztof Mieszkowski jako ksiądz na czele konduktu pogrzebowego. Przejmujące są zaś zbliżenia, bo tu i ówdzie widać bruzdy lat, ktoś całkiem zmienił fryzurę, komuś zmatowiał wzrok, w kogoś wkradła się dziwna rezygnacja, bo w istocie jest już poza zawodem.

Nie da się powiedzieć, iż w nowej „Wycince" zespół – sieroty po dawnym Polskim – opowiadają siebie z ostatnich lat, lecz przecież każde doświadczenie zostawiło w nich znamię. W dodatku, jak sygnalizowałem, los widowiska koresponduje z treścią książki Bernharda i zawartym w niej wielkim oskarżeniem samozwańczych elit.

Austria

Bernhard opisał „artystyczną kolację" organizowaną przez niejakich Auersbergerów (Halina Rasiakówna i Wojciech Ziemiański). Atrakcją wieczoru ma być przybycie Aktora Teatru Narodowego (Jan Frycz), w oryginale Burgtheater, tuż po zagraniu Ekdala w „Dzikiej kaczce" Ibsena. Bernhard (Piotr Skiba) zasiada na uszatym fotelu i z mieszaniną pogardy i drwiny obserwuje niezwykle zadowolone z siebie towarzystwo. Wreszcie dochodzi do przesilenia.

W „Wycince" rozpoznała się para ówczesnych wiedeńskich celebrytów, co doprowadziło do zakazu rozpowszechniania książki, jej faktycznego zaaresztowania, pisarza zaś zmusiło do ostatecznego zerwania więzi z Austrią. Cała twórczość Bernharda jest pełnym furii atakiem na swój kraj, ale tu nabiera on wyjątkowej siły. Właśnie fragmenty o mordowaniu geniuszy, mieście hipokryzji i wszechwładzy miernot zawsze najsilniej rezonowały też z publicznością spektaklu Krystiana Lupy, w zależności od momentu grania nabierając nowych znaczeń.

Dziś jest podobnie, tyle że słowa nie uderzają już w PiS ani przysłowiowego Morawskiego, nie załatwiają spraw bieżących, ale trafiają głębiej, boleśnie diagnozując stan rzeczywistości. Punktują, co się z nami stało, gdzie się znaleźliśmy, jak bardzo zapomnieliśmy o swoich wartościach, zatraceni we własnym wypaleniu.

W późniejszym, mocno pękniętym spektaklu Lupy „Imagine" pada pytanie o to, jak doszło do tego, że spieprzyliśmy wszystko. W „Wycince" nie ma takiej kwestii, ale znaczenie jest podobne, w dodatku wybrzmiewa mocniej, choć bez dosłowności.

Artyści

„Wycinka" przy całym rozmachu i skali nabrała dziś bardziej osobistego, wręcz intymnego wymiaru. Tyrada Aktora Teatru Narodowego w fenomenalnym wykonaniu Jana Frycza wydaje się dziś bardziej stłumiona, chwilami wręcz zduszona, a przez to jeszcze bardziej gorzka. Klęska pani Auersberger Haliny Rasiakówny nie pozwala na wyszydzenie bohaterki, ale buduje wobec niej współczucie. Furia Wojciecha Ziemiańskiego nabiera nowego wymiaru w połączeniu z dzisiejszą fizycznością aktora. Piotr Skiba jako Bernhard mniej ma w sobie oskarżycielskiej pasji, a więcej rezygnacji, jakby wiedział, że już nie ma co udawać, że świat można chociaż w małym stopniu naprawić.

Krystian Lupa zawsze mówił o sobie słowami najważniejszych dla siebie autorów, ale „Wycinka" wydaje się dziś jego szczególnie osobistą wypowiedzią. Artysta, który pod rządami poprzedniej ekipy nie widział dla siebie miejsca w Polsce, potem próbował bronić się przed oskarżeniami o przemoc, walcząc, by ktoś chciał wysłuchać jego wersji zdarzeń.

Próba pozbawienia go pozycji mistrza nie powiodła się, pracował za granicą, teraz słychać o planach związanych z najważniejszymi rodzimymi scenami.

Spotkałem go w sobotę, pogadaliśmy chwilę o tamtym wieczorze. Ma w sobie ogień, nie bez przyczyny wielu uważa go za jednego z najmłodszych artystów teatru. O „Wycinkę" już na nowo zaczynają pytać festiwale. A ja mam marzenie, by powracała do Wrocławia, choćby na jeden weekend w roku. By trwało przedstawienie i wspólnota wokół niego.

© JACEK WAKAR

Autor jest szefem działu kultury Polskiej Agencji Prasowej

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **ZIELONA GÓRA,** czwartek, 12 marca, godz. 19.00, klasztor OO. Franciszkanów, sala katechetyczna (ul. Kilińskiego 5), „Katechezy papieskie o Stworzeniu i Patronie Ekologów". Prowadzenie o. Stanisław Jaromi.
- **WARSZAWA,** piątek, 13 marca, godz. 18.30, Domek Fiński PM, „Dziennikarstwo, które zmienia", spotkanie z Michałem Choińskim, amerykanistą, autorem książki „New Yorker. Biografia pisma, które zmieniło Amerykę".
- **WARSZAWA,** czwartek, 19 marca, godz. 18.00, prezentacja filmu dokumentalnego „byłam przy tym...", opowiadającego o dawnej siedzibie redakcji „Tygodnika Powszechnego" przy ul. Wiślnej 12, z udziałem producentki, Heleny Plewińskiej. Film sfinansowany przez Next Generation EU z funduszy Krajowego Planu Odbudowy.
- **BIELSKO-BIAŁA,** czwartek, 19 marca, godz. 17.00, Willa Sixta (ul. Mickiewicza 24), „Chrześcijaństwo spotkania i Kościół z synodalną uważnością", spotkanie z o. Maciejem Biskupem.
- **SŁUPSK,** czwartek, 19 marca, godz. 17.00, Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3), „Żołnierze wyklęci, żołnierze przeklęci", wykład prof. Rafała Wnuka, historyka, dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

eprasa.pl 6b5ff1c250

■ **KRYSTYNA WOJTYNA-DROUET. JA DLA SIEBIE NIE ISTNIEJĘ,** *Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, wystawa czynna do 4 kwietnia*

MATERIAŁY PRASOWE ZACHĘTY

W ostatnich latach muzea i galerie na powrót zainteresowały się tkaniną. Coraz częściej sięgają też po nią artyści i artystki młodego pokolenia. Bywa, że przypominana jest twórczość osób, które w II połowie ubiegłego wieku uczyniły z tkaniny samodzielną dyscyplinę artystyczną. Najczęściej są to wystawy Magdaleny Abakanowicz, postaci dla tej zmiany symbolicznej. Jednak nie tylko Abakanowicz tworzyła tzw. Polską Szkołę Tkaniny, która odniosła swego czasu wielki, międzynarodowy sukces. Jedną z tych artystek była Krystyna Wojtyna-Drouet, obchodząca w styczniu tego roku setne urodziny. W warszawskiej Zachęcie trwa właśnie jej wystawa. Znalazło się na niej 20 gobelinów i kilimów tworzonych od lat 50. przez pół wieku, udowadniających, jak różnorodna jest twórczość tej artystki. Przedstawiała ona zarówno sceny z codziennego życia miasta, kwietne pejzaże, ale też całkowicie abstrakcyjne przedstawienia. Bardzo malarskie, bo (jak pisała w 1965 r. jej nauczycielka Eleonora Plutyńska, odnowicielka polskiej tkaniny) Krystyna Wojtyna-Drouet „pozostała przede wszystkim malarką, ale zdobyła nowe środki wyrazu – niekoniecznie pędzlem i farbą na płótnie". Łączyła wełnę, konopie i sizal, ale też wplątywała w swoje prace metalowe elementy. Grała z fakturą, wykorzystując różne grubości splotu. Ważny był dla niej zawsze fizyczny wymiar tworzenia, w tym na przykład sam proces barwienia materiałów według tradycyjnych receptur przekazanych jej przez Wandę Szczepanowską, która jeszcze przed II wojną zajmowała się tkactwem. Wojtyna-Drouet była nowatorką, a jednocześnie dobrze znała historię swego rzemiosła. Wykorzystywała jego wielowiekową tradycję, w tym użytkowy charakter – na wystawie są projekty jej tkanin planowane do przemysłowej produkcji, jak i ubrania szyte dla rodziny. „Z Akademii wyniosłam postawę dużego szacunku do rzemiosła" – podkreśla artystka. Z ograniczeń, jakie narzuca sam materiał oraz mozolny proces tworzenia, Wojtyna-Drouet uczyniła zaletę, wykorzystując wszystkie jego możliwości. © PIOTR KOSIEWSKI

■ *Sebastian Barry,* **TYMCZASOWY DŻENTELMEN,** *tłum. Agnieszka Walulik, ArtRage*

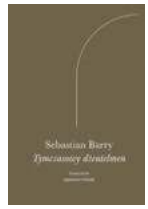

Ma w sobie coś z poety jezior, sporo z egzystencjalisty, najwięcej pewnie z dawnych mistrzów w rodzaju Ernesta Hemingwaya. Pisze prosto, bez udziwnień i większych eksperymentów. Jego zwyczajne zdania składają się raczej na nokturny niż skoczne irlandzkie melodie. A jednak jest w nich coś lokalnego. Sebastian Barry to irlandzki powieściopisarz, dramaturg i poeta, który otrzymał aż pięć nominacji do Nagrody Bookera. Polscy czytelnicy znają go choćby z „Czasu starego Boga" – przygniatającej opowieści o starym policjancie, który mierzy się z demonami przeszłości – czy „Po stronie Kanaanu", w którym sędziwa Lily Bere wspomina Irlandię z początku XX w., wojnę domową i ucieczkę za ocean przed polityczną zemstą. Choć bohaterowie książek Barry'ego rzucani są po całym świecie, kanon motywów interesujących pisarza pozostaje zwykle niezmienny: wojny światowe, powidoki wewnętrznych, irlandzkich konfliktów, rozbite rodziny, starość, smutek, obezwładniająca pamięć o dawnych błędach, melancholia. Nie inaczej jest w wydanym niedawno „Tymczasowym dżentelmenie". Serce tego tekstu bije w ghańskiej Akrze. To tu, u kresu życia, za pióro chwyta irlandzki inżynier, obserwator ONZ i – przede wszystkim – życiowy rozbitek Jack McNulty. Opowiada o wspaniałej uniwersyteckiej młodości, wojnach i ukochanej żonie Mai, z którą przeszedł drogę od wielkich ambicji, przez drobne alkoholowe ekscesy, aż po drenujące lata współuzależnienia. Barry jest mistrzem światłocienia. Losy współczesnego świata obserwujemy tu z niezwykłego przyczółka, gdzieś między Irlandią a zachodnią Afryką. Losy głównych bohaterów jawią nam się ze wzruszającej (choć niezbyt wiarygodnej) perspektywy nawróconego pijaka. Ta powieść to wycieczka w przeszłość, a zarazem „most w przyszłość" – choć obu tych podróży wolelibyśmy uniknąć. © ADAM WOŹNIAK

MATERIAŁY PRASOWE

■ **POSADA**, *reż. Ermanno Olmi, Netflix*

Streaming przyzwyczaja nas do podpowiadanych przez algorytm nowości, ale skrywa także niedostępną nigdzie indziej klasykę kina. W tym stogu siana, jakim jest wór rekomendacji na platformie Netflix, błyszczy pewna włoska igiełka. To „Posada", pierwszy pełnometrażowy film Ermanno Olmiego, który w czasach swojej premiery (1961) zgarnął trzy nagrody festiwalu w Wenecji. Jest jednocześnie satyrą na ówczesne miejskie życie, jak i opowieścią o pierwszej pracy i młodzieńczej miłości. Nastoletni Domenico (w tej roli naturszczyk Sandro Panseri) ze względu na problemy finansowe rodziny musi porzucić edukację na rzecz pracy w nowoczesnej firmie w Mediolanie. Podczas przedziwnej rekrutacji poznaje ciemnowłosą Antoniettę (jedyna rola Loredany Detto), która patrzy na chłopaka przychylnym okiem. W przerwie piją kawę, spóźniając się niemal na dalsze testy. Nastolatek wkłada ostatecznie nieco za duży płaszcz dorosłości i przyjmuje posadę gońca. Pech polega na tym, że dziewczynie zlecono zadania w innym budynku. Ciemne oczy Domenica z powagą obserwują nowy świat, wypatrując możliwości spotkania sympatii, która jest tak blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko. Chłopak poznaje także z czasem biurowe zależności i reguły. Okazuje się, że otaczający go pracownicy przynależą do niemal kafkowskiego porządku. Albo po prostu stanowią kontrast względem świata, z którego Domenico pochodzi. Kiedy chłopak awansuje, brzmiąca jak spełnione marzenie obietnica stałej pracy zaczyna przypominać wyrok dożywocia. To wysmakowane kino czasów innego zupełnie filmowego tempa zachwyca i zaskakuje aktualnością obaw i diagnoz. I niemal siedemdziesiąt lat od premiery wciąż bez wstydu mierzy się z teraźniejszością. © MARIA DUTKIEWICZ

eprasa.pl 6b5ff1c250

Szczyle i typiary

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Jesteśmy tu w samym środku rodzinnej dynamiki, w rozkminach śmiertelnie poważnych i bardzo niepoważnych, pośród codziennych niezręczności i drobnych czułości.

Rzadko zdarza się film, szczególnie polski, w którym nie czułoby się kalkulacji i sformatowania. Taki, do którego wchodzi się jak w swojski świat – nawet jeśli daleki od znanego. Bo nie każdy przecież, jak jeden z bohaterów tego filmu, chciałby uciekać z własnych urodzin.

Co ciekawe, „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" od początku wystawia tę swojskość na próbę: kamera krąży po zamieszkałych, choć pustych pokojach rodzinnego domu, gdzie zagnieździł się włochaty dusiołek, wzięty prosto z polskiej poezji albo z „gotyckich" płócien. Ryzykowny to pomysł, bo zaburza wygodne umoszczenie się w tych pokojach.

Ale debiutująca reżyserka Emi Buchwald i współtwórcy tego filmu nie boją się ani banałów, ani ekscentryzmów. Potrafili z tego zbudować coś w rodzaju filmowego schronu, w którym kłębią się bliskie więzi i emocjonalne wędzidła. A historia czwórki dorosłego rodzeństwa, które – każde na swój sposób – próbuje dorosnąć, opowiedziana została z pozbawionym kokieterii wdziękiem.

Trochę niezgrabnym, bo tak właśnie zachowują się niegdysiejsi i obecni mieszkańcy lokum przy ulicy Dobrej w warszawskim Śródmieściu. Dzisiaj w mieszkaniu po rodzicach zostali już tylko bracia, czyli Benek (Bartłomiej Deklewa) i najmłodszy z rodzeństwa Franek (Tymoteusz Rożynek), podczas gdy ich siostry, Nastka (Izabella Dudziak) i Jana (Karolina Rzepa) mieszkają osobno.

Wszyscy oni są w wieku pomiędzy 20+ a 30+, zawieszeni między samodzielnością a współzależnością – „Nie ma duchów..." to znowu ten nieczęsty w naszym kinie przypadek, kiedy przerabia się dogłębnie relacje między dorosłym, w dodatku licznym rodzeństwem. Trudno zrazu rozgryźć, kto jest kim dla kogo i jakie tworzy z innymi konstelacje, albowiem Buchwald i Karol Marczak napisali swój scenariusz językiem żywym i rwanym, a całość podzielona została na osobne rozdziały, opatrzone zdawkowymi tytułami. Z tych luźnych epizodów wyłania się jednak spoisty obraz. Podobnie rzecz się ma z bohaterami – bardzo różni od siebie i fizycznie mało podobni, tworzą wspólnie jeden dziwny czterogłowy organizm.

I także o tym – o byciu ze sobą blisko, czasem aż za blisko – opowiada Buchwald. To ostatnie dotyczy zwłaszcza bliźniaków, Nastki i Benka, którzy na różne sposoby radzą sobie ze swoim organicznym wręcz przywiązaniem. Ktoś tu za bardzo, albo dla odmiany za mało, martwi się o to drugie. Ktoś komuś niespodziewanie zwala się na chatę, a potem nagle znika, to znów zakłada bez pytania czyjeś ciuchy... Jesteśmy w samym środku nieprzewidywalnej rodzinnej dynamiki, w rozkminach śmiertelnie poważnych i bardzo niepoważnych jednocześnie, pośród codziennych niezręczności i drobnych czułości.

Fakt, iż w gronie aktorów profesjonalnych znaleźli się amatorzy, w tym wspomniany Rożynek, czyli raper Szczyl, nadaje tym rozmaitym „stylom przywiązania" (bo o nich też na ekranie się rozprawia) niewymuszone kształty. Dzięki temu film, który jest w dużej mierze o wczesnodorosłej „przygnębie", ma w sobie rześkość i autentyzm, nieprzedobrzone wyluzowanym dialogiem czy hiphopową muzyką.

„Tacy właśnie jesteśmy" – słyszy się często po seansie od rówieśników Nastki czy Benka, cytujących tytuł serialu Luki Guadagnino. Chociaż trudno dopatrzyć się u Buchwald ambicji stworzenia kina programowo „pokoleniowego", w każdym razie nic na siłę. Oglądamy po prostu zainscenizowany wycinek znajomego jej świata, komicznie pokomplikowany i zarazem wzruszająco naiwny. Oczywiście, patrząc na te problemy ze sobą i z innymi, łatwo byłoby zarzucić reżyserce środowiskową wsobność. Oglądamy przecież ludzi, którym obce zdają się przyziemne sprawy większości młodych.

Benek i Franek zmuszeni są współdzielić odziedziczone lokum na Dobrej, lecz pracują sobie raczej bezwysiłkowo w hipsterskiej kawiarni (fakt: ten drugi trochę jeszcze dorabia nielegalnie). A życie Na-

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA

W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 6b5ff1c250

MATERIAŁY PRASOWE KINO ŚWIAT

NIE MA DUCHÓW W MIESZKANIU NA DOBREJ
– reż. Emi Buchwald. Prod. Polska 2025. Dystryb. Kino Świat. W kinach od 13 marca.

Emi Buchwald ukończyła Szkołę Filmową w Łodzi. Za swe krótkie metraże dokumentalne i fabularne – „Nauka" (2016), „Heimat" (2017), „Piękna łąka kwietna" (2022) czy „Echo" (2013) – otrzymała wiele nagród. „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" jest jej debiutem pełnometrażowym, nagrodzonym w Gdyni m.in. za reżyserię i Złotym Pazurem im. Andrzeja Żuławskiego. Rozmowa z reżyserką na s. 72.

Powyżej: Tymoteusz Rożynek w filmie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"

stki związane jest z uczelnią, Jany zaś z galeriami sztuki, co także nie nastręcza im dylematów czysto bytowych. Buchwald nie bawi się jednak w socjologiczne rozpoznania.

Cała historia nie wykracza poza siostrzano-braterski mikrokosmos i siłą filmu jest to, że rozrasta się on na naszych oczach do rozmiarów gęstej, trudnej do ogarnięcia – i do rozerwania – międzyludzkiej grzybni. Nic dziwnego, że w pewnym momencie Franek, ten rzekomo najbardziej problematyczny, zawoła: „Mam dosyć bycia nami!". Zazwyczaj filmy spod znaku „żyć własnym życiem" dotyczą relacji między rodzicami a dziećmi albo partnerami w związku i „Nie ma duchów..." wyraźnie przełamuje ten schemat.

Wiele tu sprzecznych przekazów, wysyłanych do drugiej osoby i do widza. Sporo też znaczących przemilczeń, takich jak na przykład nieobecność rodziców Nastki, Benka, Franka i Jany. Są gdzieś poza kadrem, czasami się o nich mówi, aczkolwiek duchy z mieszkania na Dobrej mają niewiele wspólnego z typowymi demonami dzieciństwa, fundowanymi przez matki czy ojców. Każdy ma swoje, trudne do zdefiniowania.

Nawet Jana, najstarsza i pozornie najdojrzalsza z całej czwórki, opanowana i zajęta pracą twórczą, okaże się bardzo delikatnym ogniwem. Nikt jednak nie jest tutaj zupełnie sam – ze swoimi atakami paniki, obsesjami czy lękami. Ciekawe, że znowu pełnoprawnym i niekoniecznie pozytywnym bohaterem filmu staje się wypełniony dawnymi głosami dom. Niedawno była o tym mowa przy okazji „Wartości sentymentalnej" Joachima Triera i „Wpatrując się w słońce" Maschy Schilinski.

W przypadku filmu Buchwald następuje podobne ożywienie domu – przestronne mieszkanie w starej kamienicy pamięta dzieciństwo czwórki bohaterów, nadal przechowuje ich dziecięce strachy i najwyraźniej domaga się rytualnego oczyszczenia. I nawet gdy Buchwald traktuje to dosłownie, nie pozbawia filmu emocjonalnej szczerości.

Ona waży więcej niż proste odpowiedzi na pytanie, o czym właściwie jest ten film. Czy o wygnaniu z dzieciństwa i nierównoległym wchodzeniu w dorosłość? O „stylach przywiązania" i komunikacji? Czy może po prostu o wspólnotowym budowaniu „bazy" z pościeli, w której można się schować, ale z której też czasem dobrze jest uciec. Najważniejsze, że sama Buchwald nie robi z tej bazy artystycznej instalacji, lecz subtelne, wrażliwe na szczegół kino. Wpisane w żywą tkankę miasta, przenikliwe i zabawne w portretowaniu rozmaitych „typów" i „typiar", nakręcone zdawałoby się lekką ręką, choć przede wszystkim ręką bardzo pewną. ©

Lektor:
Przekroczenia

▪ *Zbigniew Majchrowski,*
TRANS/DYGRESJE. ESEJE O PRZEKRACZANIU GRANIC,
Słowo / obraz terytoria, Gdańsk 2025

NIGDY SIĘ NIE SPOTKALIŚMY, CHOĆ CZYTAŁEM OD DAWNA JEGO teksty, a współredagowaną przez niego serię „Transgresje" mam na półce. Gdy nadeszła era Facebooka, okazało się, że łączy nas fascynacja chmurami. Z gdańskim plastykiem Wojtkiem Kołyszką założyliśmy nawet kółko chmurolubów i planowaliśmy spotkanie – ot, żarty starszych panów. Aż w październiku 2023 r. pojawiło się na fejsie to zdjęcie: uśmiechnięty, opalony mężczyzna brodzi w piasku na skraju morza. I podpis: „Takim mnie zapamiętajcie, gdy mnie już tu nie będzie". Zrozumiałem, że to koniec naszych planów.

Zbigniew Majchrowski (1955-2023), absolwent i profesor Uniwersytetu Gdańskiego, uczeń Marii Janion i uczestnik jej słynnych seminariów, zmarł w grudniu. Pisał o Mickiewiczu („Cela Konrada" i „Krypta Gustawa"), Gombrowiczu i Różewiczu. Nad książką, wydaną teraz pod redakcją Doroty Buchwald, pracował do końca – jak rozumiem, będzie jeszcze tom drugi. Tytuł jest oczywiście świadomym nawiązaniem do janionowskiej serii, to zbiór studiów o przekroczeniach radykalnych, które Majchrowskiego szczególnie interesowały.

Fascynująca to jest lektura, właściwie niestreszczalna. Zaskakuje rozległością tematów, nieoczywistością skojarzeń, a też bogactwem ilustracyjnym. „Literatura, teatr, sztuki wizualne, performanse społeczne przenikają się w zebranych tu esejach z wirtuozerską swobodą, wynikającą nie tylko z erudycji, ale i z wyjątkowej wrażliwości autora, pozwalającej zobaczyć różnorakie związki i zależności, przepływy i wpływy z przenikliwością i uważnością, umożliwiającymi wydobycie ze znanych powszechnie historii spraw pozornie niewidocznych" – pisze Dorota Buchwald, wspominając wspólną pracę nad książką.

Podkreśla przy tym, że ilustracje są w niej częścią narracji. Tak jest choćby w „Mapie lektury »Króla-Ducha«" – aneksie do szkicu „Mapa i książka, czyli Juliusz Słowacki w podróży". Albo w „Ulicznych przejściach Gombrowicza". Albo w pasjonującym eseju „Literaci pod Belwederem nocą 12/13 maja 1935" – chodzi o noc śmierci Marszałka Piłsudskiego, które to wydarzenie zbiegło się... z przyjęciem imieninowym u Zofii Nałkowskiej.

Wiele tu o Różewiczu, są także kartki od poety. Przypomniany zostaje okrutny teatr Ireneusza Iredyńskiego. Jest Andy Warhol, ale też Parasolnik z Sopotu – uliczny performer i lokalna sława. „Stanisław Przybyszewski, aktor i męczennik" – a obok esej „Futbol i gender studies". I jeszcze, i jeszcze... Co za bogactwo! ©℗

eprasa.pl 6b5ff1c250

PAWEŁ

Bravo:
Nici z szafranu

Cztery, pięć nitek szafranu wystarczy na zwykłe risotto *alla milanese* dla paru osób. Kiedyś zaszalałem, dałem pół łyżeczki, wyszło niejadalne. Metaliczne. Szafran mniej wybacza przesadę niż inne, niegdyś równie niebotycznie egzotyczne przyprawy z tej samej półki, jak goździk czy wanilia. Jest najbardziej dorosły, nie przymila się do podniebienia, chociaż są ludy, które dodają go także do słodkich bułeczek. Persowie oczywiście, ale też Szwedzi, jeśli przez chwilę zrobią sobie przerwę z cynamonem.

Teraz już jestem ostrożny. Otwieram małe puzderko otrzymane od serdecznego Persa, który prowadzi w środku Krakowa świetną pizzerię (!), z napisami, o których tylko wiem, że są w farsi. Głupio, że w swojej eurocentrycznej tępocie do dziś nie nauczyłem się rozróżniać tego pisma od arabskiego. Teraz trzeba te nitki – wiem, nieścisłość, to są znamionka, żeński organ rozrodczy, jak się uczyliśmy z wypiekami w piątej klasie, tyle że na nieszlachetnym tulipanie, ale nie bądźmy aż tacy botaniczni – a więc te nitki należy po jednej podnieść czubkiem noża, chyba że ktoś ma kuchnię wyposażoną aż tak doszczętnie, że dysponuje pęsetką z odpowiednio kosztownego stopu. Jakby wam zalegała zbędna, to pamiętajcie, że urodziny mam w grudniu.

I teraz moment zaiste magiczny. Wrzucam do odrobiny ciepłej wody, ale koniecznie w białej miseczce, żeby obserwować, jak w mgnieniu oka staje się intensywnie złotożółta, chociaż owe nitki są raczej koralowo czerwone. Moc tego barwnego spektaklu równać się może tylko niegdyś powszechnej łazienkowej scenie, gdy kryształek nadmanganianu potasu potrafił zamienić całą wanienkę wody w fioletowoszkarłatną toń. Ale to jest już podobno zakazane, może dlatego że okazało się szkodliwe, a może po prostu zbyt proste i tanie, podobnie jak poczciwa woda utleniona, spychana z półek przez kolorowe mikstury do ust.

Szafran też jest „sztuczny", ten specjalny krokus, z którego się wyrywa pręciki i znamiona, nie istnieje w stanie dzikim, to efekt hodowli i agrotechniki, tyle że tak dawnej, sumeryjskiej, że dziś może uchodzić za naturalny. Nic od starożytności się nie zmieniło, jeśli chodzi o pracochłonny zbiór: setki tysięcy kwiatów trzeba oskubać w strasznym pośpiechu, tylko wczesnym rankiem przez kilkanaście dni krótkiego okna dojrzałości. A mimo to trwa, niezastąpiony, niepodrabialny. Równie drogi jak w czasach, gdy kupieckie pijawki z Wenecji – uznacie, że mam obsesję tego miasta, ale to moje pół ojczyzny i stale czuję się wezwany, by przepraszać za jego historyczne grzechy – budowały pałace w zamian za woreczek przypraw.

Teraz pewnie będzie jeszcze droższy. Kiedyś na kursach kucharskich żartowałem, że z dwóch składników risotta *alla milanese* paradoksalnie łatwiej o ten egzotyczny, bo starczy mieć pieniądze na zakup szafranu, podczas gdy drugi – czyli szpik – bywa w dzisiejszym handlu masowym nieosiągalny. Ale to się zaraz może skończyć. Wszyscy kiwają się zatroskani ceną benzyny, a że szafran wystrzeli ponad kolejny sufit, bo Iran odpowiada za trzy czwarte światowej produkcji, tego już nikt nie podnosi. Rozumiem, w naszej rzeczywistości stołowej ta przyprawa prawie nie występuje, nie to co pieprz. Zmartwienie mają „etniczni" kucharze azjatyccy, bliskowschodni, także hiszpańscy.

No cóż, wasza paella będzie jeszcze mocniej doprawiona zastępczo kurkumą, która wizualnie daje prawie tę samą żółcień. Znawca martwych natur niderlandzkich zaprotestuje, ale dla gościa restauracji to naprawdę żadna różnica. Co innego smak, kompletnie inny i słabiutki, trzeba jej sypnąć kopiastą szuflę, by cokolwiek poczuć (a także, by osiągać rzekome efekty zdrowotne, np. dla wątroby). Dla mnie to nie jest wcale wada, mogę dzięki temu używać kurkumy jako neutralnej dla języka farby dla warzyw i sosów, które mają smętny kolor ściery, takich jak brukiew albo kalafior. Nawet starym białym ziemniakom dochodzącym w piecu, które nabierają pod wpływem ciepła szarego odcienia, kurkumowy rumieniec doda apetyczności, niech wam dmuchnie ciepły monsun. A trzeba było nie brać białych!

eprasa.pl 6b5ff1c250

ADOBE STOCK

– powiecie, i przyznam wam rację. Ale np. na Mazowszu wcale nie jest łatwo o żółte.

Powiecie także, że mieszam porządki i frywolnie podchodzę do kolejnej wojny, jakby ta za wschodnim płotem nie nauczyła nas solidnie bać się jutra. Cóż, nawet Lenin, wbrew obiegowo przekręconemu cytatowi, w którym rzekomo powierzał mojej profesji władzę, powiadał: „Nie jesteśmy utopistami. Nie każdy robotnik, nie każda kucharka, z dnia na dzień będą potrafili rządzić państwem". Jestem „nie każdy" i niewiele z tego rozumiem, poza tym, że zbyt łatwo ulegamy bogom gwałtu, mamrocząc mantrę o bezpieczeństwie. Może nie da się inaczej i na te drgawki już nie ma lekarstwa, ale ja z kąta kuchni, wyciągając ostatnie nitki szafranu z puzderka, powiem wam, gdy kłócimy się o tę nową megapożyczkę na broń: dobra, kupmy te wszystkie armaty, skoro trzeba, ale bez podniecania się karuzelą miliardów, raczej ze wstydem. Wstydem, że nikt nawet nie pomyśli, ile dobrego by się dało zrobić, gdyby drobną cząstkę tego złota wydać na masło, czyli np. ciągle za biedne szpitale albo godną opiekę nad starcami. Albo i zupy dla ludzi, dla których problem, czy istnieją zamienniki szafranu, jest abstrakcyjny.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Zapiekanka kalafiorowa

Oto dobry na przednówek sposób na wykorzystanie szafranu, zwłaszcza jeśli mamy taki nie najwyższej jakości, z torebki z logo jednej z dużych firm wyspecjalizowanych w przyprawach. Jego smak i tak zostanie nieco zbilansowany przez słone anchois – gdyby się okazało, że za bardzo, można ich ilość następnym razem zmniejszyć. Ale za to wszystko nabierze pięknego, słonecznego koloru, którego nam bardzo teraz trzeba.

SKŁADNIKI: 600 g drobnych różyczek kalafiora 300 g krótkiego makaronu 0,3-0,5 g szafranu (jedna trzecia typowej torebki ze sklepu) lub mniej, jeśli mamy wysokiej jakości z bazaru w Iranie 4 fileciki anchois 200 g wędzonego sera scamorza (lub podobny, np. gryficki) 100 g tartego parmezanu 100 ml śmietanki 30% ▪ oliwa

Zagotowujemy duży garnek wody, gdy zawrze, dodajemy szafran, łyżeczkę soli i różyczki kalafiora. Gotujemy ok. 3-5 minut, aż trochę zmiękną, ale zachowają chrupkość, chyba że wolimy uzyskać docelowo kalafior całkiem rozmiękły, jak w przedszkolu. Równocześnie obok na dużej patelni podgrzewamy 4 łyżki oliwy, dodajemy anchois i opcjonalnie posiekaną ostrą papryczkę (w ilości, która odpowiada naszym standardom ostrości), delikatnie podgrzewamy, mieszając drewnianą łyżką, aż rybki się rozpuszczą. Do garnka z kalafiorem wsypujemy makaron, gotujemy połowę czasu podanego na opakowaniu. Po tym czasie przekładamy na patelnię z oliwą i anchois, dobrze mieszamy, przerzucamy do naczynia żaroodpornego, dodajemy ser wędzony pokrojony w kosteczkę i połowę parmezanu oraz śmietanę. Znów mieszamy, posypujemy pozostałym parmezanem i wstawiamy do piekarnika rozgrzanego do 180 stopni. Zapiekamy ok. 20 minut, aż makaron będzie miękki. Jeśli obawiamy się, że wierzchnia jego warstwa może się zbyt szybko spalić, można przez pierwsze parę minut przykryć wszystko folią aluminiową. ©℗

ADOBE STOCK

eprasa.pl 6b5ff1c250

ZMYSŁY

O CZYM WIERZBY NIE SZUMIĄ. PIEŚŃ O ŚWICIE

Uśpione na co dzień zmysły, tęsknota za domem, doświadczenie obecności czegoś, co nas przekracza. To nie jest tylko bajka zwierzęca.

RADEK RAK

OD REDAKCJI: Dlaczego warto czytać stare książki? Co łączy Pana Ropucha z rodziną autora? Na jakie problemy natrafiają tłumacze „O czym szumią wierzby". Czy rzeka to osoba oraz czy warto ruszać w Szeroki Świat, a jeśli tak, to o jakiej porze roku? Przed tygodniem opublikowaliśmy pierwszą część opowieści Radka Raka o kultowej powieści Kennetha Grahame'a: można ją przeczytać na tyg-pow.pl/radekrak Dziś dokończenie eseju.

LOOK AND LEARN / BRIDGEMAN IMAGES / PHOTOPOWER

eprasa.pl 6b5ff1c250

SKORO W PIERWSZEJ CZĘŚCI TEKSTU OPARLIŚMY SIĘ POKUSIE Szerokiego Świata i szczęśliwie nie wyruszyliśmy w podróż, możemy przyjrzeć się kręgom, które w powieści Kennetha Grahame'a zatacza Szczur Wodny.

Puszcza znajduje się bliżej Rzeki niż Szeroki Świat, ma też z nią więcej wspólnego. Mieszkańcy obu miejsc odwiedzają się nawzajem, a niektórzy istnieją w obu obszarach.

Puszcza nie przynależy ani do brzegu Rzeki, ani do Szerokiego Świata. Rządzi się swoimi prawami, a dla przybysza z zewnątrz pozostaje miejscem niezrozumiałym i wrogim. A jednak nie może być to miejsce zupełnie złe i ponure, skoro mieszka tam np. Pan Borsuk.

PEWNEGO DNIA U PROGU ZIMY, gdy Szczur Wodny pogrąża się w drzemce, Kret wymyka się więc z domu, pragnąc odwiedzić Borsuka. Z początku Puszcza jawi mu się jako miejsce piękne i tajemnicze, lecz niebędące żadnym zagrożeniem. Gdy jednak zapada zmrok, jej mieszkańcy wychodzą z ukrycia. Bawią się kosztem Kreta – „pędzają go w kółko", powie jeden z królików. I choć Kreta nie spotyka ostatecznie żadna fizyczna krzywda, to jest na różne sposoby zastraszany. Szybko rozumie, że trafił do miejsca, w którym nikt nie jest mu życzliwy. Ratuje go dopiero Szczur Wodny, który wyrusza nocą na poszukiwanie zaginionego przyjaciela. „My, mieszkańcy Wybrzeża, prawie nie zapuszczamy się samotnie do Puszczy. Jeżeli zajdzie tego potrzeba, chodzimy co najmniej samowtór, wówczas wszystko idzie zwykle pomyślnie; a poza tym należy znać zaklęcia, o których my wiemy, a ty ich jeszcze nie znasz. Mam na myśli hasła, znaki i skuteczne powiedzonka, i zioła, które trzeba mieć w kieszeni, i wiersze, które trzeba powtarzać, i fortele, i sztuczki".

W gruncie rzeczy nie musi to być wcale opowieść o ciemnym lesie. Doświadczenie Kreta może nas spotkać w szkole czy w pracy, na osiedlu czy w dowolnym innym miejscu, gdzie gromadzi się dużo ludzi. Wszystkie te miejsca sprzyjają tworzeniu grupek i kręgów adoracji, i – co za tym zawsze idzie – prześladowaniu tych, którzy do żadnej z grupek nie należą. Bo też Kreta ratuje ostatecznie protekcja Szczura Wodnego, a przede wszystkim Borsuka. Wyłącznie dzięki nim zwierzątko staje się w Puszczy stosunkowo bezpieczne.

W PUSZCZY paradoksalnie znajdziemy jeden z najbezpieczniejszych azylów. A właściwie pod Puszczą, bo mowa o domu Borsuka.

To nie jest zwyczajny dom. To miejsce liczące setki lat, wieki temu zbudowane przez ludzi. Lecz ludzi dawno już tu nie ma, a dzieło ich rąk porósł las. Reszty dokonały kolejne pokolenia borsuków. Powstało coś, co przypomina zamczysko z gotyckiej powieści, mroczne, zapuszczone i rozległe. A jednak czujemy się mile widzianymi gośćmi, co w znacznej mierze jest zasługą gospodarza.

Sam Borsuk jest postacią o tyle szczególną, że jako jedyny w całej książce wydaje się być czymś więcej niż on sam. Jest przedłużeniem nie tylko swego domostwa, ale i tradycji, której jest kontynuatorem i która stoi za nim jak cień. Widzimy nie tylko samego Borsuka, ale stojące za nim pokolenia przodków, duchy przeszłości, całą szlachetną dawność, choć trochę zakurzoną i pokrytą pajęczynami.

W NORZE BORSUKA czułem się zawsze dobrze. Być może dlatego, że znajdowałem tam wiele z tego, co mi imponowało, no i chciałem mieszkać w wielkim starym domu. Teraz jednak, kiedy trochę mi ta chęć przeszła, widzę w swoim rodzinnym mieście, Dębicy, taką właśnie pradawną borsuczą norę. Bez trudu mogę wskazać miejsca, gdzie pradziadowie mieli kuźnię, albo inne, w jakiś sposób istotne dla mojej rodziny. Odwiedzam cmentarze, gdzie kości moich przodków sprzed pokoleń zamieniły się w proch na wiele lat przed moimi narodzinami i nawet dokładnie nie wiadomo, gdzie mogli być pochowani.

Siedziba Borsuka rozszerza więc znaczenie słowa „dom" (które w moim odczuciu jest jednym z najpiękniejszych słów na świecie). Dom staje się czymś więcej niż cztery ściany, nawet czymś więcej niż sami domownicy, i zaczyna rozciągać się w czasie, tak w przeszłość, jak w przyszłość.

O wiele milszy w tej książce wydaje mi się jednak inny dom. Właściwie domek, choć również podziemny. Jest to Krecie Zacisze, norka, którą Kret kiedyś opuścił, a o której przypomina sobie nagle i niespodziewanie. Pewnego zimowego wieczoru podczas wędrówki ze Szczurem Wodnym wyczuwa ją jednym z tych dziwnych zwierzęcych zmysłów, na które ludzie nie mają nazwy.

KRECIE ZACISZE okazuje się miejscem ciasnym i zagraconym, ale dzięki staraniom Szczura Wodnego prędko udaje się przekształcić je w prawdziwy dom. A gdy przychodzą mysi kolędnicy, gdy norka wypełnia się śpiewem, głosami, zapachami jedzenia i światłem, czujemy się już zupełnie świątecznie. Dom na nowo wita Kreta, i wita go z radością.

Najdziwniejsze wydawało mi się zawsze to, że Kret zapomina o swoim domu i nie myśli o nim przez blisko rok, pochłonięty nowymi sprawami nad Rzeką. Była to ta cecha – jedna z wielu – która wydawała mi się bardziej zwierzęca niż ludzka, po raz kolejny zadając kłam twierdzeniu, że „O czym szumią wierzby" są wyłącznie bajką o ludziach w zwierzęcych maskach. Ale teraz, ilekroć wracam do własnego rodzinnego domu i w ogóle w rodzinne strony, czuję się podobnie jak Kret. Wracam do miejsca, do którego nie do końca przynależę i do którego jednocześnie należał będę zawsze.

Ten moment podróży, gdy zaczynam już widzieć znajome wzgórza nad Dębicą, zawsze przynosi mi radość, a towarzyszące jej wrażenia (także somatyczne) są identyczne z tymi, których zimową nocą doświadcza Kret. Krajobraz uśmiecha się do mnie, kiedy się zbliżam. Rodzinny dom wie, że się zbliżam, na długo przed tym, jak w ogóle zaczynam o nim myśleć. I wiem, że czeka na mnie bezpieczna przystań, gdzie zawsze będę mile widziany. Wszystko to czuję, choć jestem człowiekiem i zwierzęce zmysły, na które nie ma nazwy, pozostają głęboko uśpione.

RZEKA RZADKO wychodzi na pierwszy plan: to jedna z najbardziej zastanawiających rzeczy w książce poświęconej Rzece. Oczywiście, od czasu do czasu bywa scenerią wydarzeń, miejscem spotkań, pracy i wypoczynku. A jednak przez długi czas nie doświadczamy jej niezwykłej natury, o której Szczur Wodny wspomina na samym początku, co może wydawać się trochę rozczarowujące. Zastanawiamy się nawet, czy wszystkich tych wzmianek rozsianych po pierwszym ↦

eprasa.pl 6b5ff1c250

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny” i odbieraj w Żabce, po sąsiedzku!

GLS. żabka

Pragniemy być jeszcze bliżej naszych Czytelników, dlatego z przyjemnością informujemy, że „Tygodnik” jest już **dostępny do odbioru w sieci sklepów Żabka**.

Co zyskujesz?

- **140 zł taniej** rocznie, niż przy zakupach w kiosku.
- Swój „Tygodnik Powszechny” **odbierasz już w środę**.
- **Darmowa dostawa** do tysięcy sklepów Żabka i innych punktów obsługiwanych przez kurierów GLS.

Wiemy, że zapachu papieru i szelestu stron nie zastąpi najlepszy ekran. Jeśli i Państwo cenią sobie tę formę lektury, zachęcamy do zamawiania naszego pisma z odbiorem po sąsiedzku.

Zamówienia prenumeraty z odbiorem w sklepach Żabka i innych punktach obsługiwanych przez GLS można dokonać **TYLKO** na naszej stronie internetowej: TygodnikPowszechny.pl

Prenumeruj Tygodnik!

TygodnikPowszechny.pl/dostawa_zabka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 6b5ff1c250

TOMASZ

Stawiszyński:
Przyspieszenie

16 października 2002 r. amerykański Kongres przyjął dokument pod nazwą „Authorization for Use of Military Force Against Iraq Resolution of 2002". W Izbie Reprezentantów przeszedł on stosunkiem głosów 296 do 133, w Senacie natomiast 77 do 23. Wymieniono tam liczne powody, dla których Irak stanowić mógłby niebezpieczeństwo dla światowego ładu – m.in. naruszanie aktów prawnych ONZ przyjętych po wojnie w Zatoce Perskiej, rozwijanie i ukrywanie broni masowego rażenia czy wspieranie organizacji terrorystycznych. Rezolucja wyrażała poparcie dla działań prezydenta USA w ONZ, mających na celu zniwelowanie niebezpieczeństwa, a zarazem upoważniała go do interwencji zbrojnej. Od dnia jej przegłosowania do rozpoczęcia inwazji upłynęło pięć miesięcy. W tym czasie administracje George W. Busha i Tony'ego Blaira, głównych włodarzy tej operacji, robiły wiele, żeby przekonać opinię publiczną o jej zasadności. Prezentowano analizy prawne i uzasadnienia, publikowano dokumenty, organizowano wystąpienia i konferencje.

Wiemy już dziś, że wiele spośród używanych wówczas argumentów było, delikatnie rzecz ujmując, naciąganych, wiemy również, że wynikło z tego znacznie więcej konsekwencji negatywnych niż pozytywnych. Cóż, demokratyczne głosowania, publiczne debaty, jak również działania najbardziej nawet wykwalifikowanych agencji wywiadowczych nie gwarantują ani uczciwości, ani nieomylności. Nie istnieją – i zapewne istnieć nigdy nie będą – idealne zabezpieczenia pozwalające chronić się przed niedoskonałością i złem. Niemniej kultura polityczna, w której tak poważne decyzje, jak zbrojna napaść na inny kraj, muszą być podejmowane gremialnie, z zachowaniem określonych procedur, za zgodą parlamentarnej większości, przy częściowej aprobacie uprzednio poinformowanej o szczegółach opinii publicznej, różni się fundamentalnie od kultury politycznej uosabianej przez Trumpa i jego ekipę.

W sprawie uderzenia na Iran nikt nie pytał o zdanie Kongresu. Nie było konferencji, prezentacji dokumentów, ani tym bardziej przekonywania opinii publicznej. Nie było nawet – i nie ma – żadnego spójnego wytłumaczenia, dlaczego akurat teraz, dlaczego akurat tam. Są jedynie rozproszone wypowiedzi, z których trudno zbudować jednolitą wykładnię. „Nie jest to wojna obliczona na zmianę reżimu, ale w jej trakcie reżim może się zmienić" – jak ze zręcznością klasycznego sofisty powiedział szef Pentagonu Pete Hegseth.

O co więc chodzi? O demonstrację siły i sprawczości? O pokazanie całemu światu, jak wygląda „epicka furia" w akcji? A może nikt tego tak naprawdę nie wie? Wydaje się, że mniej istotne jest w tym przypadku pytanie „co?", znacznie bardziej zaś: „jak?". Widać tu wyraźnie (który to raz?), że stan wojny wszystkich ze wszystkimi – z którego ludzkość ongiś się dźwignęła, tworząc zdolne do pokojowego współistnienia państwa demokratyczne – to nie jest tylko jakaś zaprzeszła faza rozwoju życia społecznego, lecz układ domyślny, w który w każdej chwili możemy się osunąć. Demokracja, towarzyszące jej procedury i instytucje, niekiedy sprawiające wrażenie niepotrzebnych i nadmiarowych, spełniają zaś funkcję opóźniającą wobec tej nieustającej tendencji do osuwania się w powszechną przemoc.

Na Zachodzie zapomnieliśmy o tym w ostatnich dekadach. Uwierzyliśmy, że świat, w którym funkcjonujemy, jest naturalnym ogniwem jakiejś oczywistej, cywilizacyjnej ewolucji. Nie dostrzegaliśmy nie tylko tego, że z perspektywy innych regionów świata, kultur i systemów wartości, nasz *modus operandi* jawi się zgoła odmiennie, ale też tego, że wymaga on starannego podtrzymywania i troski. Nie jest dany raz na zawsze, w każdej chwili może zniknąć, dyskretnie przejść do historii. A ponadto – posiada mnóstwo wad i wytwarza mnóstwo problemów. Z perspektywy ludzi usadowionych na wierzchołku społecznej hierarchii, problemy te przez długi czas wydawały się, niestety, zaniedbywane. Królowała wiara, że zastosowanie odpowiednich środków, tłumiących niezadowolenie i gniew tych, którzy owych problemów boleśnie doświadczali, okaże się wystarczające. Tyle że ledwie tłumiono w ten sposób stan zapalny, który choć przestawał być widoczny na powierzchni, pod spodem rozwijał się w sposób od pewnego momentu niekontrolowany. Kumulacja bogactwa w rękach niewielkiej grupy, rozkład klasy średniej, pogłębiające się problemy wywołane nieprzemyślaną polityką migracyjną, kryzys sensu, upadek zaufania do instytucji i nauki – to tylko kilka elementów składających się na trajektorię, która doprowadziła do pojawienia się Trumpa i podobnych mu polityków, wraz z ich uwodzicielsko brzmiącym w tylu uszach przekazem. Koniec z hipokryzją, koniec z udawaniem, robimy to, co chcemy i jak chcemy – oto nieznacznie uproszczona jego kondensacja.

Problem w tym, że wady dotychczasowego systemu oraz elit, które go współtworzyły i czerpały z niego korzyści, zdają się dziś przesłaniać całą resztę. W tym także – a nawet: w pierwszej kolejności – tę właśnie funkcję demokracji: opóźnianie ciążenia ku wojnie wszystkich ze wszystkimi. Myślę, że ci, którzy wciąż witają z takim entuzjazmem politykę Trumpa, w szczególności liczni zachwyceni nim konserwatyści, przekonają się wkrótce, że w praktyce oznacza ona wyłącznie owo niepokojące, mroczne przyspieszenie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 6b5ff1c250

TOMASZ

Stawiszyński:
Przyspieszenie

16 października 2002 r. amerykański Kongres przyjął dokument pod nazwą „Authorization for Use of Military Force Against Iraq Resolution of 2002". W Izbie Reprezentantów przeszedł on stosunkiem głosów 296 do 133, w Senacie natomiast 77 do 23. Wymieniono tam liczne powody, dla których Irak stanowić mógłby niebezpieczeństwo dla światowego ładu – m.in. naruszanie aktów prawnych ONZ przyjętych po wojnie w Zatoce Perskiej, rozwijanie i ukrywanie broni masowego rażenia czy wspieranie organizacji terrorystycznych. Rezolucja wyrażała poparcie dla działań prezydenta USA w ONZ, mających na celu zniwelowanie niebezpieczeństwa, a zarazem upoważniała go do interwencji zbrojnej. Od dnia jej przegłosowania do rozpoczęcia inwazji upłynęło pięć miesięcy. W tym czasie administracje George W. Busha i Tony'ego Blaira, głównych włodarzy tej operacji, robiły wiele, żeby przekonać opinię publiczną o jej zasadności. Prezentowano analizy prawne i uzasadnienia, publikowano dokumenty, organizowano wystąpienia i konferencje.

Wiemy już dziś, że wiele spośród używanych wówczas argumentów było, delikatnie rzecz ujmując, naciąganych, wiemy również, że wynikło z tego znacznie więcej konsekwencji negatywnych niż pozytywnych. Cóż, demokratyczne głosowania, publiczne debaty, jak również działania najbardziej nawet wykwalifikowanych agencji wywiadowczych nie gwarantują ani uczciwości, ani nieomylności. Nie istnieją – i zapewne istnieć nigdy nie będą – idealne zabezpieczenia pozwalające chronić się przed niedoskonałością i złem. Niemniej kultura polityczna, w której tak poważne decyzje, jak zbrojna napaść na inny kraj, muszą być podejmowane gremialnie, z zachowaniem określonych procedur, za zgodą parlamentarnej większości, przy częściowej aprobacie uprzednio poinformowanej o szczegółach opinii publicznej, różni się fundamentalnie od kultury politycznej uosabianej przez Trumpa i jego ekipę.

W sprawie uderzenia na Iran nikt nie pytał o zdanie Kongresu. Nie było konferencji, prezentacji dokumentów, ani tym bardziej przekonywania opinii publicznej. Nie było nawet – i nie ma – żadnego spójnego wytłumaczenia, dlaczego akurat teraz, dlaczego akurat tam. Są jedynie rozproszone wypowiedzi, z których trudno zbudować jednolitą wykładnię. „Nie jest to wojna obliczona na zmianę reżimu, ale w jej trakcie reżim może się zmienić" – jak ze zręcznością klasycznego sofisty powiedział szef Pentagonu Pete Hegseth.

O co więc chodzi? O demonstrację siły i sprawczości? O pokazanie całemu światu, jak wygląda „epicka furia" w akcji? A może nikt tego tak naprawdę nie wie? Wydaje się, że mniej istotne jest w tym przypadku pytanie „co?", znacznie bardziej zaś: „jak?". Widać tu wyraźnie (który to raz?), że stan wojny wszystkich ze wszystkimi – z którego ludzkość ongiś się dźwignęła, tworząc zdolne do pokojowego współistnienia państwa demokratyczne – to nie jest tylko jakaś zaprzeszła faza rozwoju życia społecznego, lecz układ domyślny, w który w każdej chwili możemy się osunąć. Demokracja, towarzyszące jej procedury i instytucje, niekiedy sprawiające wrażenie niepotrzebnych i nadmiarowych, spełniają zaś funkcję opóźniającą wobec tej nieustającej tendencji do osuwania się w powszechną przemoc.

Na Zachodzie zapomnieliśmy o tym w ostatnich dekadach. Uwierzyliśmy, że świat, w którym funkcjonujemy, jest naturalnym ogniwem jakiejś oczywistej, cywilizacyjnej ewolucji. Nie dostrzegaliśmy nie tylko tego, że z perspektywy innych regionów świata, kultur i systemów wartości, nasz *modus operandi* jawi się zgoła odmiennie, ale też tego, że wymaga on starannego podtrzymywania i troski. Nie jest dany raz na zawsze, w każdej chwili może zniknąć, dyskretnie przejść do historii. A ponadto – posiada mnóstwo wad i wytwarza mnóstwo problemów. Z perspektywy ludzi usadowionych na wierzchołku społecznej hierarchii, problemy te przez długi czas wydawały się, niestety, zaniedbywalne. Królowała wiara, że zastosowanie odpowiednich środków, tłumiących niezadowolenie i gniew tych, którzy owych problemów boleśnie doświadczali, okaże się wystarczające. Tyle że ledwie tłumiono w ten sposób stan zapalny, który choć przestawał być widoczny na powierzchni, pod spodem rozwijał się w sposób od pewnego momentu niekontrolowany. Kumulacja bogactwa w rękach niewielkiej grupy, rozkład klasy średniej, pogłębiające się problemy wywołane nieprzemyślaną polityką migracyjną, kryzys sensu, upadek zaufania do instytucji i nauki – to tylko kilka elementów składających się na trajektorię, która doprowadziła do pojawienia się Trumpa i podobnych mu polityków, wraz z ich uwodzicielsko brzmiącym w tylu uszach przekazem. Koniec z hipokryzją, koniec z udawaniem, robimy to, co chcemy i jak chcemy – oto nieznacznie uproszczona jego kondensacja.

Problem w tym, że wady dotychczasowego systemu oraz elit, które go współtworzyły i czerpały z niego korzyści, zdają się dziś przesłaniać całą resztę. W tym także – a nawet: w pierwszej kolejności – tę właśnie funkcję demokracji: opóźnianie ciążenia ku wojnie wszystkich ze wszystkimi. Myślę, że ci, którzy wciąż witają z takim entuzjazmem politykę Trumpa, w szczególności liczni zachwyceni nim konserwatyści, przekonają się wkrótce, że w praktyce oznacza ona wyłącznie owo niepokojące, mroczne przyspieszenie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 6b5ff1c250

REKLAMA

Kraków

ALEKSANDER MISZALSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

NOC KIN STUDYJNYCH
18 KWIETNIA

NOC MUZEÓW
15 MAJA

NOC TAŃCA
23 MAJA

NOC TEATRÓW
13 CZERWCA

NOC JAZZU
18 LIPCA

NOC CRACOVIA SACRA
14 I 15 SIERPNIA

NOC POEZJI
9–11 PAŹDZIERNIKA

KRAKOWSKIE noce 2026

www.krakowskienoce.pl

eprasa.pl 6b5ff1c250

REKLAMA

Albatros travel

Albatros 40 lat

Klasyczna podróż pociągiem przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Montreux nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. **Dz. 3** Przejazd Ekspresem Lodowcowym przez przełęcz Oberalp w kierunku St. Moritz. **Dz. 4** Celerina. Wycieczka z pilotem do St. Moritz lub dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Ekspresem Bernina do Tirano. Przejazd do Lugano. **Dz. 6** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. **Dz. 7** Przejazd pociągiem Lugano – Zurych. Wylot powrotny do Warszawy.

7 dni | Wyloty z Warszawy 11/04, 25/07, 04/09, 12/09 2026

od 11.998,-

USA – od wybrzeża do wybrzeża

NOWOŚĆ

Fantastyczna podróż przez USA od zachodniego po wschodnie wybrzeże z mnóstwem niezapomnianych wrażeń po drodze.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Los Angeles. Przejazd do Hollywood. **Dz. 2** Los Angeles: zwiedzanie miasta i wizyta w Getty Center lub Getty Villa. **Dz. 3** Los Angeles – miasto duchów Calico – pustynia Mojave – Las Vegas. Las Vegas nocą. **Dz. 4** Las Vegas – Zapora Hoovera – Las Vegas. **Dz. 5** Las Vegas – Seligman – Williams. **Dz. 6** Williams – Grand Canyon– Kanion Antylopy – Page. **Dz. 7** Page – Monument Valley – Grand Junction. **Dz. 8** Grand Junction – Golden – Denver – Cheyenne. **Dz. 9** Cheyenne – Fort Laramie – Rapid City. Mount Rushmore i pomnik Szalonego Konia. **Dz. 10** Rapid City – Park Narodowy Badlands – Sioux Falls. **Dz. 11** Z Sioux Falls do Chicago – przez Missisipi. **Dz. 12** Chicago – Lansing. **Dz. 13** Lansing – Wodospady Niagara. Rejs po stronie kanadyjskiej. **Dz. 14** Wodospady Niagara – Williamsport. **Dz. 15** Williamsport – Kraj Amiszów – Gettysburg – Waszyngton. **Dz. 16** Waszyngton DC. Zwiedzanie i czas wolny. Waszyngton nocą. **Dz. 17** Waszyngton – Filadelfia – Nowy Jork. **Dz. 18** Nowy Jork. Zwiedzanie miasta, rejs i czas wolny. **Dz. 19** Wylot z Nowego Jorku. **Dz. 20** Przylot do Polski.

20 dni | Wylot z Warszawy 22/09 2026

od 26.998,-

2 posiłki dziennie

W cieniu Wezuwiusza – Neapol, Pompeje i Amalfi

Historyczne bogactwa Neapolu, tragedia Pompejów, niespokojny i majestatyczny Wezuwiusz, malownicze wybrzeże Amalfi i wiele innych skarbów regionu Kampanii.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przejazd do hotelu. **Dz. 2** Wizyta w fabryce włoskiego makaronu w Gragnano, po południu opcjonalna wycieczka do krateru Wezuwiusza. **Dz. 3** Wizyta w Pompejach. Zwiedzanie Neapolu i jego słynnej starówki wpisanej na listę UNESCO. **Dz. 4** Wybrzeże Amalfi oraz greckie świątynie w Paestum. **Dz. 5** Wycieczka do Sorrento. **Dz. 6** Wycieczka na wyspę Capri. **Dz. 7** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Herkulanum. **Dz. 8** Transfer na lotnisko i wylot do Polski.

8 dni | Wyloty z Warszawy 13/05, 27/05 2026

od 6.298,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP05**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 6b5ff1c250